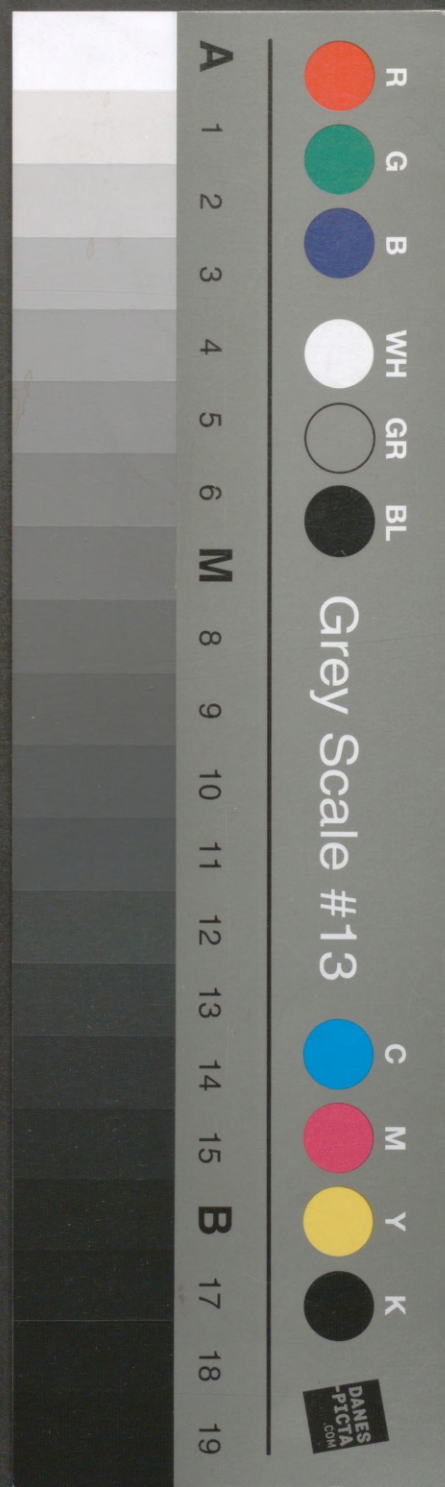
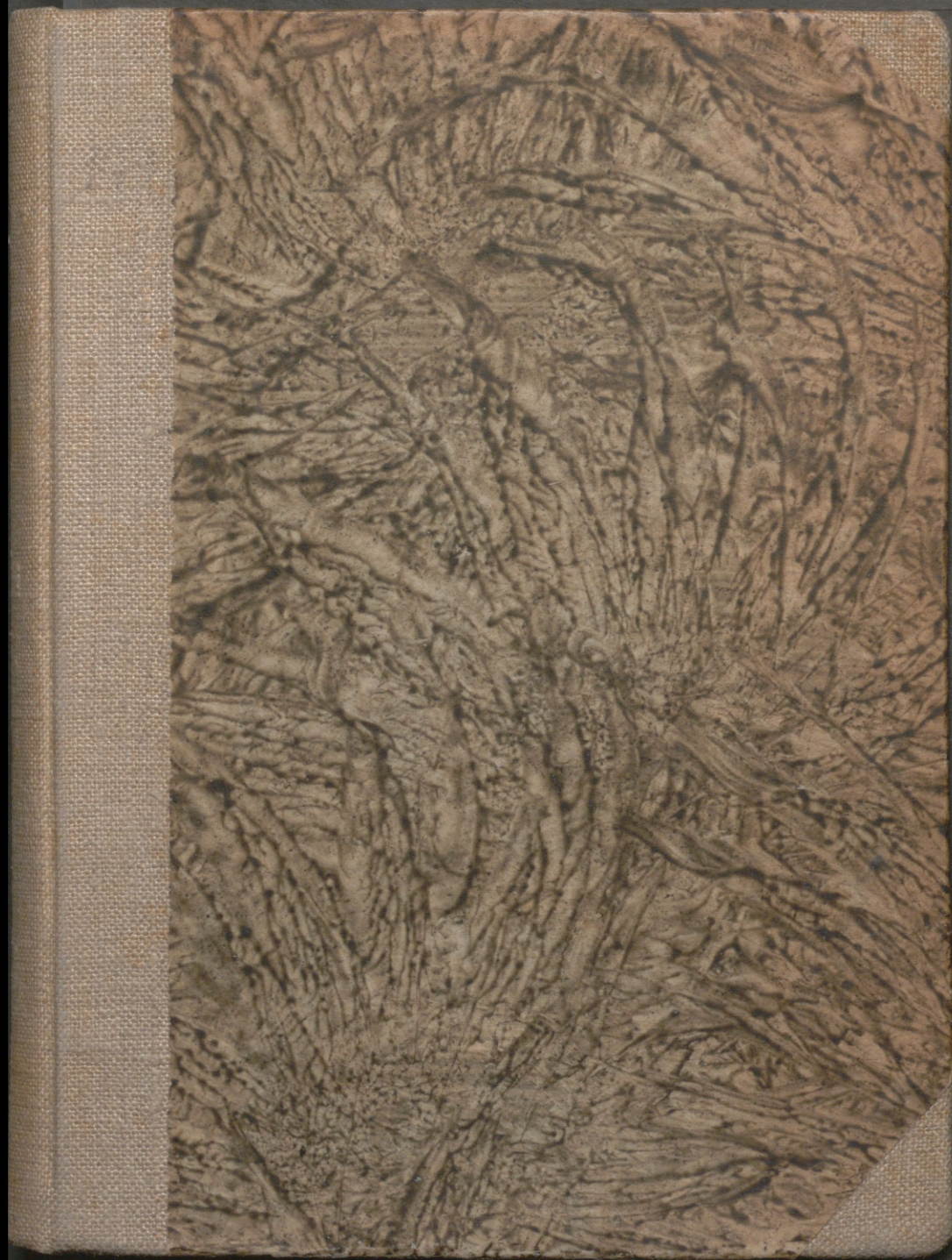
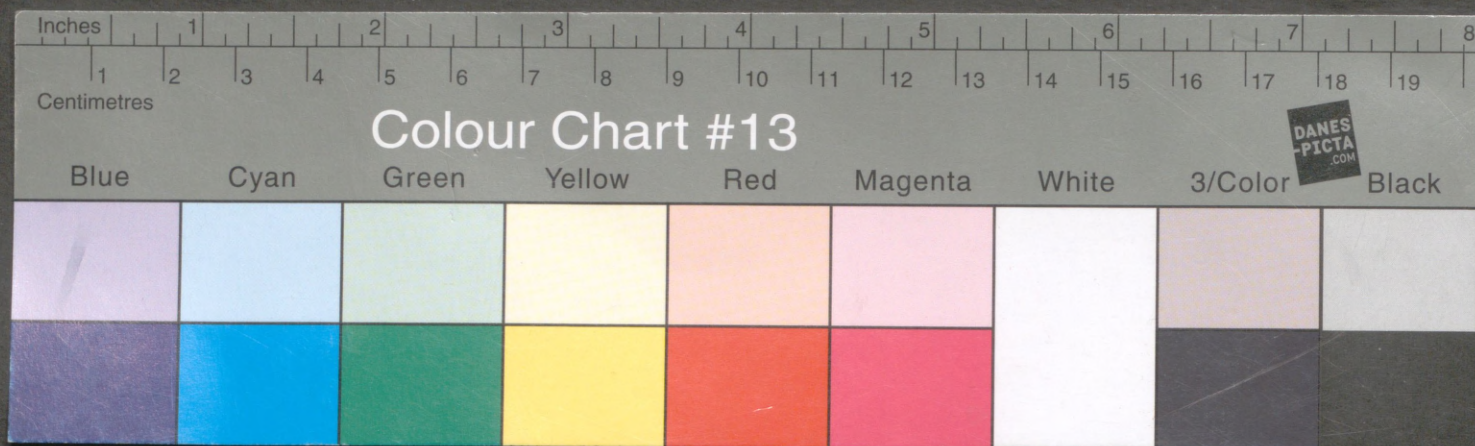
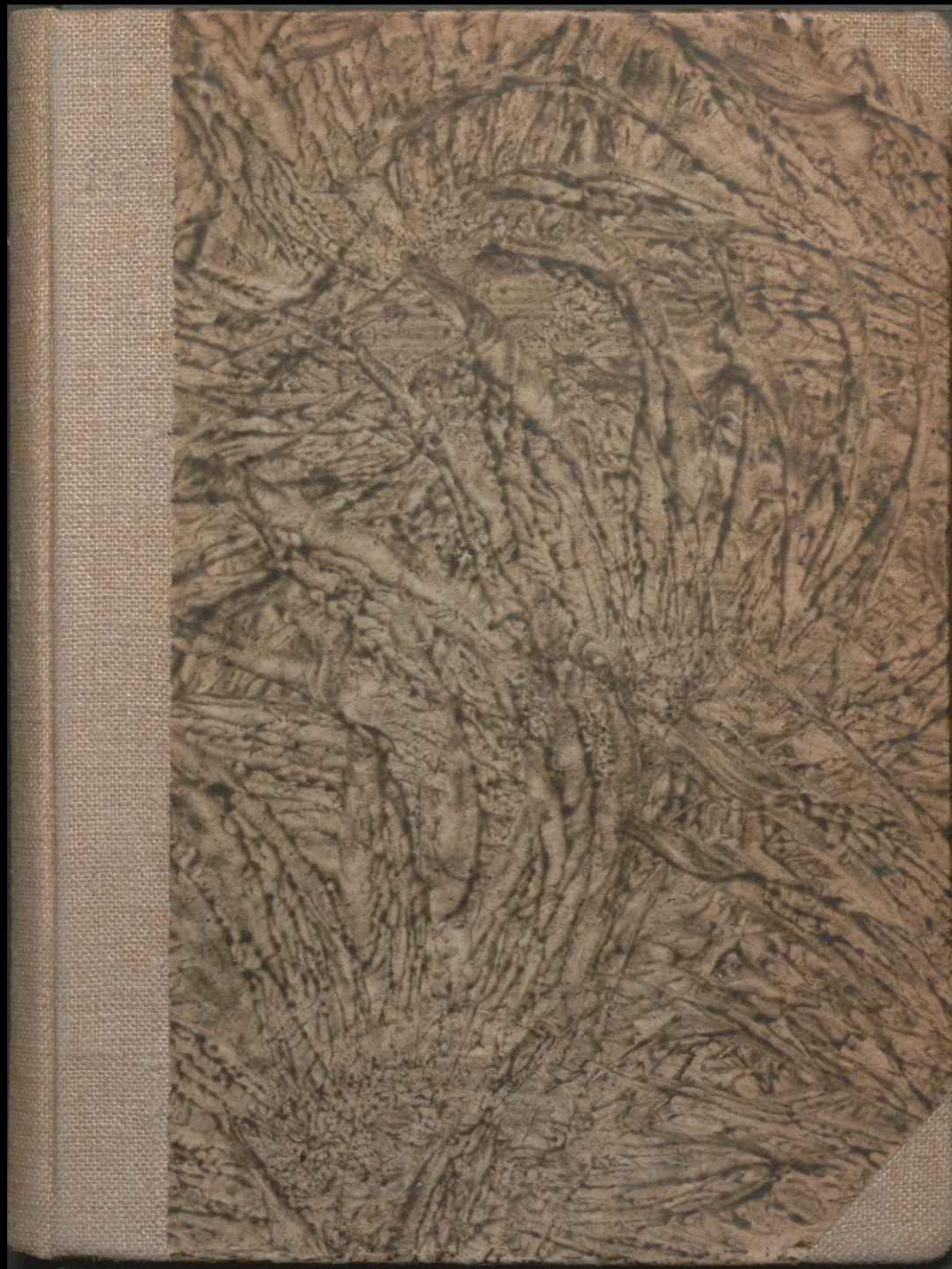






IV RZESZA ROŚNIE .

DE 02902

MARIAN PODKOWIŃSKI

174

IV RZESZA ROŚNIE

okop / 2

32 (43) - I

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA“
WARSZAWA 1948

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
MIECZYŚŁAW BERMAN

COPYRIGHT BY SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA „WIEDZA”
ALL RIGHTS RESERVED
WARSZAWA 1948
PRINTED IN POLAND

Wykonano 5.600 egz. na papierze dziel. zeberk. kl. V
Form. 61 × 86 — 80 g — Styczeń 1948 — F 22749

Drukarnia „Wiedza” nr 2, Wrocław, ul. Wierzbowa 30

Z A M I A S T W S T E P U

Właśnie minął rok, kiedy po raz pierwszy po wojnie przejechałem przez Brandenburger Tor w Berlinie. Było to w kilka miesięcy po upadku Niemiec.

Berlin przedstawiał widok zrujnowanego i pognębionego miasta. Gruzy i śmieci zalegały ulice, place i chodniki. Komunikacja tkwiła w prymitywie. Ludzie o żółtych twarzach i podniszczonym odzieniu szukali wśród odpadków jadalnych resztek, mężczyźni uganiali się za niedopalkami papierosów, uważnie obserwując sojusznicznych żołnierzy, którzy urządzali sobie z tego zabawę. Jeszcze człowiek nie zdążył z ust wyjąć papierosa, gdy spod ziemi wyrastał obszarpaniec, czatując na zdobycz. Większość kamienic pozbawiona była dachów, a ściany domów groziły tu i ówdzie zawaleniem. Wycięte drzewa na ulicach świadczyły, że i brak opału był wielki. W pięknym Tiengartenie sadzono kartofle, a pomniki dumnych Hohenzollernów i ich wiernych marszałków poniewierały się w dzikich zaroślach najpiękniejszej berlińskiej promenady.

Upadek Berlina znać było na każdym kroku. Na ulicy, w domu niemieckim czy w sklepie. Niemcy, skoro stracą swój tupet i butę, zachowują się podlej od najbardziej skatowanego psa. Kto widział w owych dniach ich żebrzące oczy, ich płaczliwe miny i pełne przerażenia gesty na widok sojusznicznego munduru czy samochodu, ten tylko może pojąć czym byli Niemcy w kilka miesięcy po upadku Berlina. Abnegacja i upodlenie Niemców napawały nas wtedy odrazą i nieufnością. Tak postępować może albo zupełny tchórz, albo przebiegły lis. Większość z nas gotowa była przypisać zachowanie się i sposób życia Niemców raczej ich rozumowi politycznemu, niż istotnej ekspiacji za popełnione zbrodnie.

To co widziałem wtedy w Berlinie, powtórzyło się bez wielkich zmian i w innych miastach niemieckich. Widziałem wówczas Kassel, Frankfurt, Würzburg, Norymbergę, Monachium,

Ansbach, Hanower, Braunschweig, Brandenburg, Magdeburg, Fürth i wiele innych miast i miasteczek we wszystkich strefach okupacyjnych. Widziałem wsie nie tknięte wojną i osiedla zmiecione z powierzchni ziemi, obserwowałem chłopów bawarskich i kupców heskich, rozmawiałem z inteligencją, mieszczaństwem i robotnikami różnych prowincji i regencji. Wszyscy byli przygnębieni i zdawali się więcej interesować kartkami żywnościowymi niż sprawami polityki i przyszłości Niemiec. Narzekali oczywiście na partię i Hitlera, dziwili się, że jeszcze nie powieszono Goeringa i towarzyszy, słowem nie mieli dość uznania dla lojalności i sprawiedliwości okupanta. Starali się za wszelką cenę wygrać sympatię tych, którym w danej chwili i na danym terytorium bezpośrednio podlegali.

Przejeżdżałem jeszcze niejednokrotnie przez te wszystkie miasta. Byłem wiele razy w Berlinie. Obserwowałem uważnie co się dzieje za kotarą marazmu powojennych Niemiec. I gdy po roku swych wędrówek po krainie niemieckiej zsumowałem wrażenia, sam się przestraszyłem swych myśli. W ciągu roku, który nie był przecież dla Niemców wcale pomyślny, pomijając nawet te czy inne wysoki władz okupacyjnych, naród ten bez pomocy, bez pieniędzy, bez żywności i surowców dokonał tego, czego wiele krajów zniszczonych ręką niemieckiego najeźdźcy, mimo sympatii i pomocy świata, nie mogło dotąd samoistnie dokonać.

Nie można powiedzieć, jak to czasem się słyszy, że Niemcy poważnie się odbudowują. To przesada. Ale to co zrobiono, musi wywołać uzasadnioną obawę, że dalsze lata mogą przynieść nam wiele niespodzianek, jeśli sami pozostaniemy w tyle.

Niemcy po klęsce były oszołomione, zwolna jednak wracają do siebie i zaczynają stawiać pierwsze kroki. Mają wprawdzie jeszcze słomiane nogi, ale chodzą.

Różnice poglądów na sprawę przyszłości Niemiec, panujące wśród sojuszników, dają im niemałe widoki w odbudowie kraju.

Pierwszy rok powojenny upłynął w Niemczech pod hasłem: „Patrzeć i budować”, co pozwoliło im otrząsnąć się i ująć prześladowaniom zwycięzców.

Dziś, po roku takiej polityki, miasta niemieckie przedstawiają zgoła odmienny widok. Berlin jest już dzisiaj normalnym miastem, które może stać się znowu stolicą. Komunikacja działa bez zarzutu, kina i teatry zapraszają do swych starannie odrestaurowanych wnętrz. Coraz więcej knajp, kabaretów, kawiarni i sklepów. Czarny rynek kwitnie i dziś człowiek, który zarabia, może

zdobyc tu wszystko. Na Kurfürstendamm spaceruje nowa arystokracja niemiecka: dorobkiewiczze i pracownicy urzędów władz okupacyjnych. Miasto jest uporządkowane, wiele domów wyremontowano, asfalty lśnią czystością. Gaz, elektryczność, kolej podziemna i zwykła działają bez zarzutu. Prasa bije prawie cztery miliony dziennego nakładu. Coraz więcej samochodów niemieckich na mieście. Kobiety znacznie lepiej ubrane i dobrze odżywione (choćby nawet i na wiktie żołnierskim, ale to nie jest tu źle widziane. Amazonki ratują ojczyznę, która jest w potrzebie...). Mężczyźni, tak dotąd potulni, patrzą hardo i sami kupują papierosy. Nikt już dziś tak łapczywie nie zbiera niedopałków, jak dawniej.

I dzieje się tak nie tylko w Berlinie. Tę przemianę zaobserwowałem wszędzie. W takim np. Monachium życie jest już prawie normalne. Oczywiście, że zachodzą pewne różnice między poszczególnymi strefami. Ale na pierwszy rzut oka są one raczej nieuchwytnie. Zewnętrznie życie dziś płynie prawie wszędzie jednakowo. Niemcy pracują wytrwale i cicho. Narzekają, ale budują. Bo wiedzą, że zdani są tylko na własne siły i to dodaje im widać otuchy i bodźca.

A politycznie?

Oślawiona mowa Byrnesa otworzyła oczy wszystkim, którzy bagatelizowali dotąd tę sprawę. Niemcy dostali po krzyżu i leżą na obie łopatki — mówiono wszędzie. Cóż z tego, że odbudują kino czy dom, skoro politycznie nic zrobić nie mogą... Nieraz spotykałem się z takimi powiedzeniami. Tymczasem okazało się, że Niemcy nie przespali sprawy. Powoli, bez wielkich słów i przesady, zorganizowali sobie życie partyjne. Mniejsza o to, jakich w tej chwili kierunków. Opierając się na prawie mimikry, politycy niemieccy postępowali wedle starego planu polityków włoskich z epoki Odrodzenia. Na pozór kłócili się między sobą, ale na tajnych zebraniach układali wspólny plan działania. Dziś mają już nazwiska, które w narodzie coś znaczą. Ruszają się. Manifestują i domagają się uprawnień. Wygłaszają przemówienia, jakie po tamtej wojnie wygłaszał Treviranus w dobre dziecięć lat po Wersalu. Stają się już partnerami gry politycznej.

Gdy w rok po przybyciu do Berlina przejeżdżałem przez Bramę Brandenburską w stronę lotniska Schoenefelde, pogoda była piękna i po schludnych ulicach Berlina spacerowały zakochane pary. W powietrzu była cisza, a w mieście spokój. Dzieci bawiły się na skwerach, a starsi panowie czytali gazety, siedząc w parku na ławkach. Tramwaje dzwoniły. U-Bahn dudnił pod

ziemią, a na mostach huczał S-Bahn. Wszędzie było pełno śmiechu, a przechodnie gapili się na polską flagę, która łopotała na błotniku naszego auta. I nikt nam się już nie kłaniał i nie zdejmował czapki na widok naszych mundurów, jak to jeszcze robiono rok temu.

Zresztą sam zdziwiłbym się dzisiaj, gdyby ktokolwiek z Niemców zdobył się na ten gest. A przecież jeszcze tak niedawno...

NA PERYFERIACH NORYMBERGI

1. NADZIEJE I ŻŁUDZENIA

Przez prawie dziesięć miesięcy toczył się przed trybunałem wojennym proces przeciwko przywódcom narodu niemieckiego, proces, którego znaczenie historyczne ocenia prawdopodobnie następne pokolenia. My, którzy z bliska, powiedziałbym może nawet za blisko, staliśmy kulis-i sali tej gigantycznej maszyny prawniczej, jaką zbudowali Amerykanie z godną podziwu inwencją i skrupulatnością, my dziennikarze, pisarze, prawnicy i politycy, którzy stanowiliśmy jedyną publiczność mającą dostęp na rozprawę, nie mamy po prostu koniecznej w tym wypadku perspektywy, by ocenić znaczenie tego historycznego widowiska. W każdym razie stanowiło ono sprawdzian moralności pokonanych Niemiec, busołą sumienia tego narodu.

Już pierwszych kilka miesięcy procesu norymberskiego wykazało, gdzie przebiega linia podziału odpowiedzialności „małego człowieka” ulicy niemieckiej, a gdzie kończy się jego reakcja na to wszystko, co się dzieje na sali sądowej. Sumarycznie biorąc, można zaryzykować twierdzenie, że proces norymberski interesował przede wszystkim cudzoziemców, naród niemiecki natomiast przechodził obok niego. I nie pomogą tu ani wypowiedzi pisarzy niemieckich na łamach miejscowej prasy, ani opinie przywódców partyjnych, ani kazania pastora Niemöllera, ani pokazy filmowe dla publiczności.

Naród niemiecki nienawidził tego procesu, pomijał go milczeniem, jak rzecz wstydliwą, która istnieje, ale o której nie należy mówić w towarzystwie. Gazety niemieckie nawet kontrolowane przez władzę amerykańską zamieszczały sprawozdania z procesu gdzieś ukradkiem na ostatniej stronie, podczas gdy na pierwszej kolumnie wielkimi literami podawały wyniki meczów piłkarskich lub wykaz artykułów żywnościowych, wydzielanych na kartki.

Oczywiście nie brak dziś w Niemczech ludzi doceniających znaczenie procesu norymberskiego. Ale starają się oni tak ocenić wyniki oskarżenia, aby przy każdej sposobności wybielić swój naród, ogłoszone zaś przed trybunałem dokumenty tak naświetlają, że doprawdy jedynym człowiekiem winnym wydaje się być Hitler, ale i to jeszcze nie zawsze jest pewne. Naród niemiecki ma wielkie szczęście, że kilku spośród zbrodniarzy wojennych zdecydowało się umrzeć. Jest przynajmniej na kogo winę zwalić, zgodnie ze starą tradycją złoczyńców, że „umarli milczą”. Cóż by to bowiem było, gdyby tak Hitler, Himmler, Goebbels i Bormann stanęli nagle przed sądem i mogli przemówić? W takiej perspektywie, jakże blado wygląda oskarżenie Fritschego albo von Neuratha? Cóż nowego mógł nam powiedzieć von Papen, szczywany lis, który potrafił nawet Himmlera okpić i ocalić życie z masakry 30 czerwca 1934 roku? Proces wykazał, że partia hitlerowska nie była monolitem. Miała ostro zwalczające się grupy, na których czele stał Himmler, Bormann, Goering i Lutze. Ostatnie tygodnie „tysiącletniej Rzeszy” doprowadziły w końcu do tego, że Bormann wykreślił z partii wreszcie i Himmlera i Goeringa, ogłaszając się namiestnikiem Rzeszy z błogosławieństwa Hitlera. Pamiętamy co było z Roehmem i Strasse-rem. Dokumenty amerykańskie dowiodły, że również Streicher był w nielasce.

Obecnie fakty te przypominam po to, aby obalić twierdzenia niektórych pisarzy niemieckich, jakoby naród niemiecki nie mógł sam zrzucić brunatnego jarzma. Jeśli partia miała wewnątrz silnie zwalczające się obozy, czyż w ciągu piętnastu lat siedemdziesięciomilionowy naród nie mógł znaleźć sposobu uwolnienia się z jarzma narodowego socjalizmu? Mógł, jak stwierdził sędzia Robert Jackson, ale nie chciał. Czyż nie rozsądniej i stateczniej było obcinać kupony z krwawego zwycięstwa nad Europą, niż wywołać rewolucję w kraju! Nie znalazł się nikt w narodzie niemieckim, kto by wydał rozkaz rewolucji, nieudolni zaś zamachowcy 20 lipca 1944 r. nie mieli oparcia w narodzie. Ten spisek był najlepszym przebieżem nastrojów nurtujących w narodzie niemieckim, choćby i nawet u schyłku hitleryzmu. Gdyby Niemcy chcieli zmiany, pucz lipcowy udałby się na pewno. Mieszkaństwo niemieckie, które tyle zawdzięczało Hitlerowi, okazało się wierne do ostatniej chwili i jeszcze teraz nie tai swych sympatii dla Hitlera. Bardziej rozsądni, widząc co się dokoła święci, mówią: Hitler to był porządny człowiek (*ein netter Kerl*), tylko jego otoczenie to zgraja szubrawców... I dlatego niechętnie mówią dziś o procesie i jeśli twierdzą, że chętnie widzieliby Goeringa et consortes na szubienicy, można im

wierzyć. Co więcej: pragnęliby ich widzieć na szubienicy nawet bez sądu. W tym jednym wypadku Niemcy chętnie odstąpią od zasady praworządności, jaką ostatnio tak często szermują. Byleby prędzej pozbyć się niewygodnych świadków niedawnej przeszłości! Tak myśli ta cała kołtuneria, dzięki której Hitler już w 1932 roku uzyskał dwanaście milionów głosów, wtedy jeszcze, kiedy tzw. demokracja niemiecka miała ster rządu w swych rękach. A przecież kołtuneria niemiecka to dwie trzecie narodu, reszta przypada na starców i dzieci. Czyż wobec tego można dziwić się Tomaszowi Mannowi, że nie chce wracać do kraju. „Wróciłbym pierwszym pociągiem, gdyby Niemcy znalazły odwagę dokonania przewrotu między 1933 a 1939 rokiem” — pisał do Niemców w swym liście otwartym.

— Niech pan już przestanie o tym mówić — odstawia swe piwo Herr Müller — chcę mieć trochę spokoju. Cóż mnie ten cały proces obchodzi! Szkoda tylko papieru gazetowego, niechby lepiej napisali, że otrzymamy więcej mięsa i masła na kartki! I w ogóle po co tyle ceregieli z nimi, czy nie lepiej od razu ich powiesić? Przecież oni też nie robili długich procesów. A że są przestępcami, to przecież każde dziecko u nas wie! Zastanawiająca jest ta demokracja. I po co jeszcze ich tak kamnić i ubierać? Co pan na to panie Kuntze?

— No cóż, drogi panie Müller, taki sam szwindel jak przedtem. Tylko, że mamy mniejsze racje, siedzimy w domu i zimą marzniemy. Czy jest nam lepiej? I znów zaczynają partie wodzić się za łeb między sobą. A im więcej partii, tym mniej żywności. Teraz powstała partia królewska. Wittelsbachów chcą mieć na tronie. Jak demokracja, to demokracja. Czy nie sądzi pan, panie Müller, że powinna powstać również partia narodowo-socjalistyczna? Przecież tyle zwolenników kręci się po ulicach naszych miast? Chyba, że nie rozumiem znaczenia demokracji?...

Takie rozmowy toczą się w *biertubach* Bawarii, Hesji i Tyryngii. Piwo jest do nabycia bez kartek, panowie schodzą się wieczorem na pogaduszki i mówią co im ślina na język przyniesie. Zapominają przy tym, że to jest właśnie demokracja.

Na tym samym poziomie toczą się zresztą dyskusje w prasie niemieckiej. Wypowiedzi niemieckie na temat procesu sprawiają wrażenie dobrej miny do złej gry, publicystów niemieckich bowiem można dziś o wszystko podejrzewać, wyjąwszy szczerość. Tego artykułu dziś w Niemczech się nie kupi. Nawet za złote dolary.

Friedrich Wolff, emigrant niemiecki, który powrócił do kraju, a którego sztuka *Doktor Mammlock* po długiej tułaczce za granicą została niedawno wygwizdana na scenach niemieckich

przez młodzież, napisał w miesięczniku *Aufbau* o procesie norymberskim apel pt. *Auch wir können nicht schweigen* (I my nie możemy milczeć). Stary weteran demokracji niemieckiej stwierdza z rozżaleniem: „Gdy rozmawiam z moimi rodakami o minionych starszych trzynastu latach, odnoszę nieraz wrażenie, że u nas w ogóle nie było zwolenników Adolfa Hitlera. Często spotykam się z powiedzeniem: „Ja właściwie zawsze byłem przeciwnikiem nazistów! Mój szwagier był nawet w KZ!” A równoległe z tym kłamstwem zaczyna się w narodzie niemieckim odradzać stary mit z 1918 r. Wtedy, pod wpływem załamania się, szukano ucieczki w legendzie o austriackim *Dolchstossie*. „Ach, powiadano, gdyby nie Austria i ten głupi Kanol! Przecież nasza ofensywa wiosenna zniszczyłaby sojuszników... Teraz Niemcy mają inną piosenkę. Oficerowie niemieccy w towarzyskich rozmówkach stwierdzają, że „gdyby pamiętnej zimy 1943 roku jeszcze cztery dywizje marszałka von Mannsteina przedarły się do nas, cała tragedia stalingradzka byłaby Niemcom zaoszczędzona”.

Ci fałszerze rzeczywistości zapominają jednak, a co stwierdziły niezbitce dokumenty norymberskie, że Niemcy przegrały wojnę nie w 1943 r., ale 1 września 1939 lub jeszcze lepiej — przegrały ją już w 1933., kiedy Papen przekazał władzę Hitlerowi. W tym bowiem roku rozpoczęła się właściwie wojna europejska. Mit „czterech dywizji von Mannsteina” jest dziś w Niemczech tak silny, jak mit *Dolchstossu* 1918 roku. Mity jednak mają to do siebie, że ujarzmiają słabe charaktery, których właściwością nie jest rozum, ale instynkt. A Niemcy są podatną glebą, nie od dziś są bowiem krajem sag, podań i klechd.

Błądząc wokół ścieżek procesowych, Niemcy przypominają trędowatych, których razi światło i otoczenie ludzi zdrowych. Słusznie powiada tenże Wolff: „Właśnie z powodu procesu norymberskiego słyszę tu i ówdzie głosy:

Nie chcemy już słyszeć więcej o naszej odpowiedzialności! Zamykamy głośniki radiowe i mamy przynajmniej spokój! Czy przystoi nam jednak nakrywać głowę koldrą — jak dzieci — i w ten sposób odgrodzić się od świata? Wyłączenie radia nic tu nie pomoże; w ten sposób od świata się nie odgradzimy. Tym sposobem nie zmusimy do milczenia milionów trupów, które nas oskarżają ani nie zmienimy naszych snów. Sumienie wciąż będzie wołało: opamiętajcie się! Ale wielu spośród nas wcale nie ma zamiaru się opamiętać. Chcą dalej żyć tak, jak gdyby nic się nie stało! Mają nawet tragiczną odwagę pytać nas: — dlaczego kalasz własne gniazdo? A któż kła własne gniazdo? Czyż nie ten, który pozwolił zamienić nasz kraj w zgłiszczą i cmentarzysko? Czyż nie przypadkiem ten, który wszystkie dawne mordy i bezeceń-

stwa usiłuje dziś pokryć całunem milczenia? Dziś jednak nastąpił dzień obrachunku... Proces norymberski powinien być dla nas procesem oczyszczającym.

Tak mówił i pisał Friedrich Wolff, człowiek, który powrócił do Niemiec po piętnastoletniej emigracji. I wiecie, co mu odpowiedzieli Niemcy? Obrzucili jego sztukę zgniłymi jajkami, podobnie jak uczynili to przed piętnastu laty ich ojcowie.

Czy się w Niemczech coś zmieniło? Zewnętrznie - wiele, wewnętrznie — nic.

O ile dojrzałe pokolenie narodu niemieckiego stara się w ten czy inny sposób okazać swoją skrucę, zwłaszcza gdy w grę wchodzi racje żywnościowe i przykre roboty publiczne, do których pociągani są członkowie dawnej partii narodowo-socjalistycznej, o tyle młodzież w przeważającej większości wierna jest nadal ideałom hitlerowskim.

Zresztą nie ma nawet czemu się dziwić. Przecież dzisiejsza młodzież niemiecka to wychowankowie szkół i uniwersytetów hitlerowskich, to członkowie klubów i stowarzyszeń nazistowskich. Piętnaście lat rządów Hitlera (już na dwa lata przed dojściem do władzy Hitler opanował bez reszty młodzież niemiecką, dając jej perspektywę munduru, siły i pięści) wychowało w duchu *Mein Kampf* piętnaście roczników dzieci niemieckich. Czyż można było spodziewać się, że nagle, po rozbiciu armii niemieckiej, cała młodzież jak na komendę wyrzeknie się tych przekonań i haseł, które z biegiem lat przyswoiła sobie, podobnie jak przyswaja się język czy religię?

Młodzież ta poniekąd urodziła się już w brunatnym zaduchu, nie znając innego klimatu moralnego. Nic więc dziwnego, że siedząc tutaj w Norymberdze raz po raz dowiadujemy się, że wykryto taką a taką organizację hitlerowską, że aresztowano przywódcę Wehrwolfów, że dziewczęta organizują się w związki zwane *Maililien*, że w Monachium działa tajne *Acht und Acht-Bund*; że tyle już razy uśmiercany Martin Borman stoi na czele dywersji leśnej.

Te wszystkie wiadomości oburzają nas, ale rozpalają serca młodzieży niemieckiej, dają jej siłę przetrwania i, co więcej, każą wierzyć, że partia żyje i działa.

Młodzież niemiecka lgnie do tych nowinek, łowiąc echa nocnych wystrzałów. Atmosfera jest, przyznać trzeba, wyjątkowo sprzyjająca. Władze okupacyjne, jak dotąd, nic nie zrobiły, aby tę młodzież skierować na inne tory, chociaż w gazetach anglosaskich wiele czytamy o potrzebie reedukacji młodego pokolenia.

Akta procesu norymberskiego jasno wykazały światu, co Niemcy sądziły o młodzieży ujarzmionych narodów. Po zajęciu danego obszaru tysiące okólników polecało „opieczętowanie” patronów wszystkich małoletnich „tuziemców” — *Eingeborene*, jak powiedział Himmler. *Muszą tak pracować, żeby nie mieli czasu myśleć o swych sprawach* — pisał Rosenberg do Himmlera. *Stwórzcie im takie życie, żeby dziękowali Bogu, że w ogóle mogą jeszcze oddychać* — odpowiedział Himmler Rosenbergowi. I tych dwóch szubrawców uruchomiło potężny aparat katów i preceptorów, których jedynym zadaniem było unieszkodliwić albo nawet wytepić młodzież podbitych społeczeństw. A my? Co my teraz robimy? Nic!

Pozwalamy młodemu Niemcom bawić się, chodzić do kina, waleśać się po ulicach, handlować na czarnym rynku i deprawować naszych żołnierzy. Krótkowzroczność i brak konsekwencji w poczynaniach zniszczyły zwycięstwo 1918 r. Obecnie za wcześnie jeszcze o tym mówić, ale wszystko tak się układa, że trudno być optymistą.

Najlepszym dowodem tego był szeroko komentowany *Fall Niemöller*. Podczas procesu dosyć nasłuchaliśmy się o różnych kolorowych *fallach*, jak określał Hitler swe zbrodnicze plany agresyjne (*Fall Weiss* — Polska, *Fall Grün* — Czechy, *Fall Otto* — Austria, *Fall Gelb* — Holandia i Belgia, *Fall Rot* — Francja, *Fall Barbarossa* — Rosja, malarz pokojowy umiał, jak widzimy, „zamalować światu oczy”) ostatnio zaś niemalą wrzawę wywołał *Fall Niemöller*.

O cóż tu właściwie chodziło?

Pastor Niemöller, więzień licznych obozów koncentracyjnych i nieprzejednany wróg „brunatnych ludzi”, którego świat swego czasu skłonny był nazywać „sumieniem” narodu niemieckiego, po upadku Niemiec wypłynął znów na powierzchnię polityczną i rozpoczął swą działalność szeregiem prelekcji na temat odpowiedzialności Niemców za wszystkie zbrodnie, jakich dokonali, oraz odkupienia winy, do czego, jego zdaniem, wszyscy powinni się poczuwać. Budziciel sumienia niemieckiego niczym pątnik przemierzał ziemię niemiecką, niosąc słowa protestu przeciw popełnionym czynom. Aż przybył do uniwersyteckiego miasta Erlangen, gdzie wystąpił z podobnym odczytem przed tysięczną rzeszą niemieckiej studenterii. Już po kwadransie jego kazania studenci urządzili mu kocią muzykę i po prostu zmusili do ucieczki.

Następnie przemaszzerowali przez miasto w zwartych szeregach z hitlerowskimi hasłami na ustach. Zrobił się wielki skandal. Ale fakt był faktem. Miasto uniwersyteckie Erlangen, podobnie zresztą jak i inne tego rodzaju miasta, jest nadal gniaz-

dem utajonego hitleryzmu. I wystarczyło rzucić iskrę, aby prawda wyszła na jaw. Erlangen wykazało istotne nastroje studenterii niemieckiej.

Kulisy tych zajęć rzucają wyraźne światło na to wszystko co się dzieje teraz w Niemczech. Rektorem tego uniwersytetu jest profesor Hett, który od 1933 r. był członkiem partii narodowo-socjalistycznej i znany był jako gorący zwolennik Hitlera. Jego magnificencja uprawia też politykę w tym duchu. Większość studentów, to oficerowie armii niemieckiej, którzy nigdy nie myśleli dawniej o studiach uniwersyteckich, a teraz uczelnie uważają za czasowe schronisko. Wystarczy, aby ktoś zgłosił się do Hetta w mundurze majora, aby natychmiast został przyjęty na studia, podczas gdy dla cywilów miejsc nie ma, chyba że konkurs. Wygwizdanie Niemöllera będzie bardziej zrozumiałe, jeśli przytoczymy i ten fakt, że niedawno studenci zerwali z „czarnej tablicy” uniwersytetu Erlangen wycinek z gazety, podający szczegóły zamachu na Hitlera w lipcu 1944, krzycząc do tłumu gapiów, że „tych zdrajców należałoby jeszcze dzisiaj powiesić!” Wystarczy również powiedzieć, że wysokie buty, płaszcze „à la SS” i bryczesy należą do dobrego tonu. Jeden z profesorów zwierzył się pewnemu dziennikarzowi, że jeśli tak dalej pójdzie, należy się liczyć i z tym, że któregoś pięknego dnia studenci rzuca bombę na koszary wojskowe albo zrobią coś gorszego.

Czyż możemy wobec tego żądać, aby niedawni czynni oficerowie Wehrmachtu, w których odzywa się z dnia na dzień duch odwetu, bili się w piersi pod wpływem kazań czcigodnego pastora? Wołać bić już raczej oratora! Inna rzecz, czy w ogóle oficerowie, którym udało się uniknąć niewoli, mają prawo do studiów uniwersyteckich wedle własnego wyboru. Krótkowzroczność okupantów i tutaj narażana była na ciężką próbę.

Młodzież niemiecka chodzi własnymi drogami, które prowadzą do jednego celu: do rewanzu. I tym ludziom dobroduszni kwakrowie znad Missisipi usiłują przeciwstawić proces norymberski, proces, którego oni nie rozumieją i który nic ich nie obchodzi w gruncie rzeczy. Obchodzi ich tylko interes własnej kasty, kasty zatwardziałyh militarystów, na których takie słowa jak „pokój”, „ludźkość”, „demokracja” działają niczym czerwona płachta na byka.

Dlatego — jak przed laty — młodzież ta chodzi do teatru po to, aby obrzucać zgniłymi jajami sztuki demokratycznych pisarzy, dlatego wyje na zebraniach wyborczyh, dlatego wyrzuca z kościołów rozsądnych pastorów, dlatego obcina włosy

Niemkom, które spacerują z aliantami, dlatego idzie do lasów, słowem robi wszystko, by wytrwać przy hitleryzmie.

Jak już wspomniałem, nie ma czemu się dziwić tej młodzieży. Wyznanie hitlerowskiej wiary jest w niej zbyt silnie zakorzenione, aby jedynie rozsądek mógł ją wypłenić.

Gdy mnie więc pytają, czy się w Niemczech coś zmieniło, odpowiadam zwykle: zewnętrznie może wiele, wewnętrznie—nic.

Niejednokrotnie już zapytywano mnie, co sądzą Niemcy o procesie swych niedawnych przywódców w Norymberdze, o procesie, który do pewnego stopnia stał się sądem nad sumieniem narodu niemieckiego. Czy potępiają oskarżonych, czy też może solidaryzują się z nimi lub może przynajmniej współczują im. Przecież nie tak dawno jeszcze znakomita, bądź co bądź, większość narodu niemieckiego wiernie służyła Hitlerowi i chętnie korzystała ze zwycięstw reżimu, obcinając kupony z bogactw, jakie napływały ze wszystkich zakątków naszego kontynentu.

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. Należy bowiem przeprowadzić pewne zróżniczkowanie wśród ludzi, którzy by wzięli udział w naszej imaginacyjnej ankiecie. „Niemiecki człowiek”, jak zwykł był nazywać Hitler swych drobnomieszczan, nigdy nie da jasnej odpowiedzi. W domach niemieckich wciąż jeszcze istnieje mīt Hitlera. A ponieważ uważa się go oficjalnie za zmarłego, wszystkie ewentualne niepowodzenia i rozczarowania ludzie ci skłonni są przerzucać na więźniów norymberskich, wśród których siedzieli przecież ludzie znienawidzeni przez kulturerię niemiecką jeszcze za czasów Hitlera. Ani bowiem Schacht, ani Neurath, ani Papen nie byli nigdy popularni wśród mieszczaństwa niemieckiego, które stanowiło bazę hitleryzmu.

Jeśli rozmówić się z takim sklepikarzem albo majstrem stolarskim lub z piekarzem z berlińskiej czy monachijskiej ulicy, usłyszymy jedynie słowa pogardy dla tych panów i zdziwione pytanie, dlaczego w ogóle sądziło się tych ludzi. Czyżby nie było znacznie prościej powiesić ich? Po co męczyć świat i Niemców tym potwornym procesem? Takich i podobnych pytań nasłuchałem się w Niemczech bez liku i trudno mi było nawet wytłumaczyć im historyczną konieczność tego widowiska. „Mały człowiek” niemiecki nie lubi tego procesu. Nie żeby go się brzydził, ale boi się po trosze, czy czasem znów coś nie wylezie spod zielonego biurka oskarżycieli. Sumienie niemieckie mimo tylu już odkryć, wciąż jeszcze nie jest czyste. Obawy dalszej kompromitacji i dalszych konsekwencji drażnią mieszczaństwo niemieckie, które pragnie spokoju, potrzebnego do przygotowania nowego

rewanżu. To jest jasne. Wilk w skórze jagnięcia chodzi ulicami wsi i miast niemieckiej krainy.

Inaczej młodzież. Oczywiście ta młodzież, która szuka teraz alibi w różnych studenckich spiskach monachijskich, która chętnie przyznaje się do Stauffenberga i spiskowców z 20 lipca 1944 i która ma swych antenatów w pierwszych obozach koncentracyjnych. Inna młodzież wciąż jeszcze marzy o brązowych koszulach; przed miesiącem spotkałem młodą dziewczynę, która wyznała mi, że dotąd należy do BDM i śpiewa *Horst Wessel Lied*. Podczas gdy „odrodzona młodzież niemiecka”, jak siebie pierwszy chętnie nazywają, uważa Goeringa i towarzyszy za wielkich zbrodniarzy, drudzy otwarcie gloryfikują norymberskich więźniów, z oburzeniem nazywając trybunał mafią katów, którzy bezprawnie sądzą najlepszych Niemców, jakich wydała historia. Odwołują się przy tym chętnie do przepisów międzynarodowych, zapominając, że to właśnie oni i ich bohaterowie byli tymi, którzy najbrutalniej w świecie podeptali imię ludzkości i pohanbili godność człowieka.

A intelektualści niemieccy? Cóż oni o tym wszystkim sądzą? Co mówią ci, którzy sami zaznali piekła obozów lub jedli gorzki chleb emigracji?

Ludzie ci wespół z całym myślącym odłamek społeczeństwa niemieckiego wzięli na siebie rehabilitację narodu niemieckiego i w imię tej zasady robią wszystko, co mogą, aby rzucić winę na oskarżonych, a naród wyciągnąć z otchłani, na której dnie leży pogarda świata i oburzenie.

Gdy sędzia Robert Jackson, oskarżyciel amerykański, rozpoczynając odczytywanie aktu oskarżenia, wyraził się, że w Norymberdze sądzona będzie klika hitlerowska a nie naród niemiecki, co odpowiada zresztą tezie amerykańskiej, wszystkie pisma niemieckie w dziesiątkach artykułów wstępnych, felietonów, pod grubymi tytułami rozpisywały się przez wiele tygodni o tym faksie, który, ich zdaniem, już sam w sobie był poniekąd rehabilitacją większości narodu niemieckiego. Wypowiedź Jacksona była dla Niemców najśłodsza melodią jaką zagrać mógł ujarzmionemu wężowi amerykański czarodziej. Wąż ten zaczął też od tej chwili swe harce.

Odtąd prasa niemiecka coraz śmielej pisała o procesie, a dziennikarze niemieccy coraz liczniej zapelniali kuluary sądu. Linia podziału wyraźnie występowała w prasie niemieckiej. Mając pod ręką kozła ofiarnego, na którego wszystko można zwałać, prasa niemiecka rozpoczęła na marginesie procesu polityczną walkę o wielkość i rehabilitację Niemców. Czyniła to czasem tak bez-

czelnie, że nawet prasa amerykańska zwróciła na to uwagę. Ale Niemcy, zdobywszy raz swą pozycję, walczyli dalej.

Nie tylko naród i prasa, ale nawet sami oskarżeni i obrona walczyli o rehabilitację narodu niemieckiego. Wszystkie pytania obrońców, ich repliki i zarzuty szły jedynie w kierunku wykazania, że naród niemiecki jest niewinny. Co więcej. Czynili i zapewne czynić to będą nadal i świadkowie niemieccy w każdym następnym procesie. Słynny generał Erwin Lahousen, który tak skompromitował Keitla i Ribbentropa, a starał się wykazać, że większa część armii i narodu niemieckiego potępiała metody Goeringa i Hessa, ten Lahousen w każdej swojej wypowiedzi starał się, jak mógł, wybielić Niemców.

I dlatego, jeżeli kto mnie zapyta, co sądzili Niemcy o Norymberdze, odpowiem im: Myślą tylko o swojej skórze i szczęśliwi są, że mają kozła ofiarnego. I pod tym względem wykazali światu, że są narodem zarówno politycznie dojrzałym, jak i permanentnie niebezpiecznym.

2. NADZIEJA PRUSKIEGO MILITARYZMU

W powodzi protestów przeciwko uwolnieniu trzech zbrodniarzy wojennych od winy i kary utonęła jednak znacznie ważniejsza i bardziej zasadnicza sprawa. Mało kto się bowiem głębiej zastanowił nad orzeczeniem Trybunału, że sztab generalny oraz tak nierozłączna z nim OKW pozbawione zostały zbrodniczego piętna. Stary, zakorzeniony w narodzie niemieckim pruski militarizm odetchnął pełną piersią, a jego kapłani powoli zabierają się znów do swych dawnych praktyk.

Uwolnienie Schachta czy Fritscha jest ostatecznie sprawą jednostek, wybielenie generałów Hitlera nabiera wyraźnie posmaku politycznego stając się poza tym ważnym precedensem.

Nie chodzi tu przecież ani o sąd o stu generałach, ani o nowy proces nad pokonanym wrogiem. Chodzi przede wszystkim o sparaliżowanie rdzenia wszystkich imperialistycznych poczynań Wielkoniemców. Unicestwienie maszyny wojennej Niemiec jest uzależnione od zniszczenia mózgu tego potwora. Niestety, wyrok trybunału przekreślił te nadzieje, a dodał otuchy tym wszystkim w Niemczech, dla których sprawa rewanzu jest jedynie kwestią czasu.

Dokumenty przedłożone Trybunałowi norymberskiemu mówią wyraźnie, że sztab niemiecki był organizacją zbrodniczą na równi z SS czy gestapo. Dowody te były zresztą przyjęte przez

trybunał i nigdy nie kwestionowane. Nic więc dziwnego, że przedstawiciel ZSSR w zespole sędziowskim, gen. Nikiczenko, musiał zaprotestować i założyć swe votum separatum. Przedstawiciel narodów, które najwięcej ucierpiały od rozkazów i planów sztabu niemieckiego, nie mógł przez pamięć milionów zamęczonych przejść nad tym do porządku dziennego. Byłoby to swego rodzaju *crimen laesae mortis*...

Sami hitlerowcy często powtarzali, że reżim hitlerowski opiera się na dwóch podstawach: partii i Wehrmachcie. Są one wyrazicielami tej samej filozofii życiowej. Są współzależne przy zwycięstwach lub niepowodzeniach. Razem więc ponoszą odpowiedzialność. Tak pisali ludzie Goebbelsa w podręcznikach dla młodych oficerów. Praktyka wykazała, że do OKW mógł należeć tylko ten oficer, który wierny był reżimowi. Któż bowiem z ludzi Hitlera powierzyłby tajemne plany agresji oficerowi, który normalną drogą dosłużył się wysokich rang? Jedyne oficerska klika, która trzymała się kurczowo partii, była dopuszczona do sztabu. Nie jest wcale przypadkiem, że na czele Luftwaffe stał „drugi po Hitlerze człowiek w Rzeszy”, Goering, na czele marynarki wojennej Doenitz, który później został następcą fűhrera, a duszą *Oberkommando der Wehrmacht* był właśnie Keitel, który przejdzie do historii jako bezprzykładowy morderca jeńców wojennych.

Wyrok norymberski jest tym bardziej niezrozumiały, że sam trybunał w swoich motywach poglądy te całkowicie podzielił, stwierdzając m. in., że „generałowie” pogwałcili honor żołnierski. Bez wojskowego kierownictwa owych stu generałów Wehrmachtu agresywne zamiary Hitlera i jego pomocników pozostałyby czysto akademickie i bez widoków powodzenia...”.

Dlaczego ta setka generałów, którzy tyle zła wyrządzili światu i swej ojczyźnie, ma ująć sprawiedliwości międzynarodowej?

Dokumenty, które trybunał miał do swojej dyspozycji, mówią wyraźnie, że generałowie nie tylko wiedzieli o wszystkich zamiarach Hitlera, ale jak mogli, pomagali mu na każdym kroku. Brali udział we wszystkich tajnych konferencjach i to w czasie, kiedy łatwowierny świat jeszcze sądził, że apetyty Hitlera ulegną wreszcie jakiemuś rozsądnemu zahamowaniu. Fakty wykazały, że klika generalska apetyty te jeszcze pobudzała. W masie swej, generałowie byli za Hitlerem, co przy mentalności niemieckiej jest zrozumiałe.

Byłem kiedyś obecny na przesłuchiwaniu marszałka von Brauchitscha i ten bez ogródek opowiedział, jak takie konferencje wyglądały. Jedyne Hitler przemawiał, pytając gości

o różne kwestie, zazwyczaj czysto techniczne, a wszyscy pozostali albo wyjaśniali, albo milczeli. Nikt nie oponował. Generałowie, butni żołnierze, nie znaleźli w swych kamiennych sercach i drewnianych mózgowicach ani jednej iskierek odwagi lub rozsądku, aby tego szaleńca zawczasu przestrzec przed katastrofą. Jakże zřęcznie za to umieli później przed trybunałem zasłaniać się oklepanym frazesem „wyższego rozkazu”!

Przemawiając do generałów 29 maja 1939 r. i poruszając sprawę ataku na Polskę Hitler powiedział: „Chodzi nam o powiększenie naszego obszaru życiowego na wschodzie. Odpada więc sprawa ochraniańia Polski, a pozostaje decyzja — przy pierwszej lepszej okazji napaść na nią”. Przed agresją na Jugosławię pisał Hitler 27 marca 1941 r. do swych generałów: „Nawet w wypadku, gdyby Jugosławia okazała się lojalną, musi ona być potraktowana wrogo; dlatego należy ją jak najszybciej zlikwidować” (dokument 1746-PS). We „wskazówkach” do planu *Barbarossa* (napad na Związek Radziecki), czytamy pod datą czerwcową 1941 r.: „OKW zwraca uwagę, że terror w stosunku do ludności cywilnej może być stosowany do woli i według własnego uznania jednostek wojskowych”.

Rozkazem tym generałowie niemieccy rozpoczęli cykl swoich niesłychanych barbarzyństw, które tak wstrząsająco przedstawił w Norymberdze prok. Smirnow w swym oskarżeniu Niemców o zbrodnie przeciwko ludzkości. Oficerowi i żołnierzowi służyło prawo życia i śmierci nad ludnością okupowanych terenów sowieckich. Co więcej dokumenty mówią, że sądy były w tych wypadkach całkiem zbyteczne! Posłuchajmy rozkazu OKW z dnia 16 września 1941 r.: „Należy wziąć pod uwagę, że życie ludzkie na terenach, o których mowa, zupełnie nie ma znaczenia, i że tylko drogą brutalnych metod można osiągnąć należyte skutki (strach)”. 23 lipca 1941 inne pouczenie OKW pozwala dowódcom na stosowanie najbardziej drakońskich metod celem zastraszenia ludności cywilnej. 16 grudnia 1941 OKW rozkazuje: „Wojsko ma prawo i obowiązek zastosowania wszystkich środków, nie wyłączając nawet w stosunku do kobiet i dzieci, jeśli posłużą tylko do osiągnięcia powodzenia” (dokument U-16). Wyrażniej, zdaje się, nie można powiedzieć!

Do najczarniejszych kart OKW i sztabu należy zastosowanie osławionego rozkazu *Nacht und Nebel* (tj. pod osłoną „nocy i mgły”), na podstawie którego masowo rozstrzeliwano jeńców podejrzanых choćby tylko o samą chęć ucieczki.

W komentarzu do tego bez precedensu w dziejach rozkazu OKW czytamy, że niewykonanie tego będzie jedynie dowodem naszej słabości. Tylko takimi metodami jak kara śmierci można

osiągnąć pożądaný skutek". Rozkaz ten kosztował nas i w Polsce dziesiątki tysięcy ludzkich istnień. Na podstawie tego rozkazu rozstrzelano w obozie w Sagan 50 lotników brytyjskich, ponieważ usiłowali zbiec z obozu. Zgodnie z przepisami międzynarodowego prawa wojennego tego rodzaju akty ze strony jeńców w ogóle nie podlegały karze. Przewód sądowy w Norymberdze ustalił, że morderstwo lotników brytyjskich inspirowane było przez OKW. Generałowie ci wydali również rozkaz mordowania skoczków spadochronowych z grup desantowych tzw. komandosów. Nie kto inny jak właśnie marszałek von Rundstedt zawiadomił Hitlera w czerwcu 1944, że wykonał całkowicie jego rozkaz o zabijaniu skoczków nieprzyjacielskich. (Dokument S 31-TC, USA-550). A dziś Niemcy uważają, że Rundstedt był łagodnym człowiekiem!

Dokumenty mówią, że wojsko współpracowało na terenach okupowanych z SS, a nawet z organami SD. Pomagało policji w różnych akcjach pacyfikacyjnych. Jak oświadczyli na przewodzie sądowym przyjaciele Kaltenbrunniera, generałowie policji Otto Ohlendorf i Walter Schellenberg ze sztabu Himmlera, między OKW a Himmlerem doszło do porozumienia w sprawie utworzenia oddziałów policyjnych, które dołączane były w miarę potrzeby do poszczególnych jednostek operacyjnych. W raporcie *Einsatzgruppe A* czytamy: „Musimy przyznać, że stosunki z armią układają się bardzo pomyślnie, w niektórych wypadkach są bardzo nawet bliskie, prawie serdeczne, jak np. z dowódcą armii pancerniej, generałem - pułkownikiem Hoepfnerem”.

Nie spotykano się z wypadkami protestu ze strony generałów. Przeciwnie. Oficerowie sztabowi byli nieraz bardziej okrutni od zwykłych zbirów, których zadaniem było jedynie mordować. Nawet nie zabijać, ale właśnie mordować. Bo to też jest różnica. Żołnierz zabija tylko w walce, zbrodniarz wojenny morduje bezbronnego. Generałowie niemieccy z OKW i sztabu generalnego zachęcali do mordowania właśnie bezbronnych cywilów i jeńców.

Przypomnijmy sobie tylko, czym karmił swoich żołnierzy np. taki feldmarszałek von Reichenau, którego niektórzy uważają za jednego z bardziej ludzkich generałów niemieckich:

Żołnierz niemiecki, który znajduje się na wschodzie, jest nie tylko człowiekiem walczącym w pojęciu sztuki wojennej, ale jest również krzewicielem bezwzględego światopoglądu narodowego.

Żołnierz musi więc wobec tego mieć zrozumienie dla konieczności narodowej, która nakazuje stosować surowy choć sprawiedliwy odwet w stosunku do Żydów, tych nieludzi.

To samo mówił generał Mannstein i inni zbrodniarze z kliki Jodla.

Przykładów takiego zwyrodnienia można by mnożyć do woli. Dokumentów bowiem nie brak. Niemcy, jak wiadomo, odznaczali się wielką skrupulatnością w tych sprawach i tego historia nie powinna im zapomnieć...

W obliczu wspomnianych faktów uwolnienie OKW i sztabu niemieckiego od winy i kary, należy uważać za historyczną pomyłkę, za błąd polityczny, którego skutki już dzisiaj można ocenić.

3. MIT 20 LIPCA

Kto śledzi uważnie prasę niemiecką, ma możliwość rozmawiania z przedstawicielami inteligencji niemieckiej lub sposobność uczestniczenia w dyskusjach politycznych, urządzanych przez partie niemieckie, ten niewątpliwie stwierdzi, że społeczeństwo niemieckie bardzo chętnie nawraca do historii puczu lipcowego z r. 1944.

Pisałem o powodach, jakie skłaniają przeciętnego Niemca do ignorowania Norymbergi. Sprawa ta nabrała tak publicznego charakteru, że nawet pisma niemieckie postanowiły zająć się poważnie tym problemem. Tak np. monachijska *Die Neue Zeitung*, która dysponuje dobrym składem redakcyjnym z Erichem Kaestnerem na czele, uważała nawet za stosowne rozpisać wśród czytelników ankietę, prosząc o podanie przyczyn, dla których proces norymberski nie wzbudzał wśród nich dostatecznego zainteresowania. Odpowiedzi napływały różne, najwięcej jednak ludzi skarżyło się na to, że Goeringa et consortes nie oskarżał również niemiecki prokurator, który by wziął w obronę zmaltretowany przez hitleryzm naród niemiecki. Ktoś inny dopominał się o 30 miejsc na sali rozpraw dla przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa niemieckiego. Pewna paniusia posunęła się nawet tak daleko, że napisała: „Dlaczego nie interesowałam się Norymbergą? Jakże mogę reagować na zeznania świadków w Norymberdze, gdy otrzymuję listy ze Śląska i Sudetów od krewnych?” A więc zamiast konkretnych odpowiedzi — zarzuty. Jak zwykle u Niemców!

Ignorując Norymbergę Niemiec szuka sobie teraz jakiegoś alibi. Często spotykamy w prasie różne listy, pamiątniki, wspomnienia i odkrycia, które mają światu wykazać, że nawet w naj-

gorszych czasach terroru Himmlera istniał jednak w Niemczech ruch podziemny. Stąd różne akademie żałobne za studentów monachijskich, którzy podobno już w 1942 r. przygotowywali spisek na życie Hitlera, stąd różne relacje o tajnych gazetkach, ukazujących się w różnych miastach niemieckich o programach społecznych, szerzonych wówczas przez młodzież i tym podobnych wyczynach ukrywającej się demokracji niemieckiej. Ogłasza się tajne dokumenty gestapo, z których wynika, że policja niemiecka w istocie była na śladzie różnych grup nielegalnych.

Zmarły niedawno Hans Fallada, choć przeszłość jego nie była bez skazy, ogłosił przed śmiercią w jednym z numerów poważnego miesięcznika społeczno-literackiego „Aufbau” dłuższą rozprawę pod dość znamienitym tytułem: „Über den doch vorhan denen Widerstand der Deutschen gegen den Hitlerterror” (czyli „O istniejącym jednak oporze Niemców przeciwko hitlerowskiemu terrorowi”).

A przecież niczym szczególnym naród ten nie mógłby się poszczycić ani przed sądem narodów, ani nawet przed własną historią, gdyby mu nagle w sukurs nie przybył zamach Stauffenberga 20 lipca 1944 r. Zamach wprowadzie nieudany, przeprowadzony chaotycznie, ale zawsze zamach. Alibi jest! Wiemy doskonale, że zamach ten nie był wcale wyrazem buntu społecznego, tylko prywatną imprezą reakcyjnej kliki generalskiej, która nienawidziła Hitlera nie za to, że był takim jakim był, ale za to, że ich nie znosił i powoli pozbawiał władzy. Dawny „Herrenklub” z czasów marszałka Hindenburga i starego Hugenberga poczuł się zagrożony w swych pozycjach, ruszył więc do ataku.

Wszystkie te zakulisowe gierki nie przeszkadzają dziś Niemcom, a zwłaszcza publicystom niemieckim, we wszczynaniu kampanii, której celem jest wykazanie światu, że jednak i oni coś robili dla przyśpieszenia końca wojny. Oczywiście robili źle, ale zawsze wola była jak najlepsza, zważywszy warunki, w jakich spisek powstawał. Mitem 20 lipca pragną Niemcy nie tylko skokietować wciąż jeszcze sentymentalnych kwaków amerykańskich i ckliwe kumoszki z Londynu, ale ugruntować sobie alibi na wszelki wypadek. Z niemiecką pedanterią zbierają wszystkie szczegóły tego zamachu, ogłaszają filmy z rozprawy, obchodzą po kolei wszystkie rocznice po rozstrzelanych lub powieszonych generałach i politykach, którzy byli zamieszani w aferę lipcową, fundują tablice pamiątkowe, słowem robią na gwałt historię. Obserwując to wszystko, widzimy, jak politycznie wyrobionym narodem są Niemcy, jak potrafią mydlić oczy i z igły robić widły.

Niedawno ogłoszono zbiór dokumentów z Sądu Ludowego (*Volksgerecht*), który skazał kilkunastu spiskowców na śmierć. Widziałem niektóre zdjęcia filmowe z tego procesu. Ludziom pobitym i zmaltretowanym do nieprzytomności kazano zeznawać, że chcieli zamordować Hitlera. I co najważniejsze, przed tym sądem stanęli ludzie którzy mało co wspólnego mieli ze spiskiem. Wszystkich bowiem rzeczywistych puczystów rozstrzelano zaraz po ujęciu. Innych przy okazji kazał Hitler sprzątnąć. Powtórzyła się historia 30 czerwca 1934, kiedy to przy likwidacji puczu Roehma zgładzono i innych nie mających nic z Roehmem wspólnego, jak np. generała Schleichera z żoną. W aktach sądu zachował się dokument, który jasno wykazuje, że generał i dowódca wojsk krajowych, Fromm, w kilka godzin po zamachu lipcowym przybył do sztabu niemieckiego i wszystkich zamachowców zabrał jak pisklęta z gniazda i kazał natychmiast rozstrzelać. Wtedy to polegli generałowie Bock, Zeitzler, Olbricht i inni. Ale to wszystko nie przeszkadza Niemcom w tworzeniu legendy.

Tworzy się legendę powstania „najlepszych Niemców”, która ma zrehabilitować Niemców i z czasem spowodować przyjęcie ich do grona cywilizowanych narodów. Robota koronkowa. Dokoła tego mitu potrafili Niemcy zorganizować już całą literaturę. Dla literatury tej znamienne jest i to, że mało zajmuje się ona politycznymi celami zamachu, ale wyłącznie stroną uczuciową, psychologią spiskowców. Nie polityka, tylko charakter puczystów jest ośrodkiem zainteresowania historyków, twórców nowej legendy germańskiej. Oczywiście, że dla narodu, który ciągle oskarżany jest o brak charakteru, zrozumiała jest taka właśnie tendencja w naświetlaniu moralnego tła zamachu lipcowego. My jednak wiemy, że jeżeli spiskowcom nie udał się zamiar, to właśnie dlatego, że nie mieli oparcia w narodzie, który stał w lwiej części po stronie Hitlera. Temu sami Niemcy dziś zaprzeczyć nie mogą. I dlatego dziś naród niemiecki nie ma prawa powoływać się na ofiarę spiskowców, której we właściwym czasie zrozumieć nie potrafił czy raczej nie chciał.

Wracając jednak do podłoża politycznego spisku, należy, celem obalenia niebezpiecznego mitu 20 lipca, wyjaśnić, że zarówno znaleziona *Staatsverfassung* (konstytucja) pióra dra Gördelera, jak również manifest marszałka Witzlebena, a więc dwóch przywódców zamachu, mają wszelkie cechy militarystyki i reakcji pruskiej. Ludzie ci chcieli po prostu w najlepszym wypadku zastąpić narodowy „socjalizm” przez stary nacjonalizm niemiecki, ten sam nacjonalizm, który w roku 1933 podał rękę Hitlerowi. Wśród rozstrzelanych za udział w spisku znajdował

się również wybitny polityk niemiecki, dawny ambasador Trzeciej Rzeszy, hrabia von der Schulenburg, człowiek, który doprowadził do wojny z Rosją i który, gdyby żył, znalazłby miejsce obok Papena i Neuratha na ławie norymberskiej. A generał Bock, jak stwierdził jeden z dzisiejszych przywódców niemieckiej socjal-demokracji, Gustaw Dahrendorf, tylko dlatego uczestniczył w spisku, że pragnął usunąć Hitlera i zawrzeć z sojusznikami „przyzwoity pokój”, ale zachować reakcyjny reżim w Niemczech.

Aspekty polityczne mitu lipcowego, w konfrontacji z prawdą historyczną pozostaną jedynie efemerydą na tle rozgrywek o rehabilitację Niemiec, jeśli nie pozwolimy się dłużej wprowadzać w błąd. Niestety, prasa i publicystyka niemiecka cieszą się zbyt dużą swobodą w wypowiadaniu swych myśli, jakże często kłamliwych. Ale podczas gdy pozwala się im na harce, oni nie marnując czasu z niezwykłą precyzją i świadomością fabrykują sobie historyczne alibi.

Jak długi okres czeka nas jeszcze od wznowienia hasła: *Deutschland erwache!*

Od tej odpowiedzi zależeć będzie i nasza przyszłość.

1. „BEREIT SEIN — IST ALLES!”

Niemcy konsolidują się. Niemcy pracują nad odbudową kraju. Niemcy nie myślą o polityce, ale robią wszystko, aby zyskać sympatię okupantów w każdej strefie. W radzieckiej żyją dobrze z Rosjanami, a źle z Anglosasami, w amerykańskiej narzekają na Rosjan, a w brytyjskiej na Rosjan i Amerykanów. Wszędzie zaś na Polaków i Murzynów. Nie myślą o polityce, ale robią wszystko, aby mieć rząd centralny. Zarabiają mało, są biednie ubrani, w tramwajach żebrzą o niedopałek papierosa, ale nie korzystają z „czarnego rynku” i za wszelką cenę starają się utrzymać sztywne ceny. Nikomu nie przyjdzie na myśl, aby liczyć za gazetę, papieros czy tramwaj wyżej ceny ustalonej. Jeżeli kto handluje, to cudzoziemcy, D. P. i inne tego rodzaju elementy oraz berlińczycy. Berlin bowiem jest także w pojęciu samych Niemców najbardziej zdemoralizowanym miastem. Sprzyjają temu cztery sektory okupacyjne w jednym mieście. Ale Berlin, to przecież nie całe Niemcy.

Nie myśląc o polityce i żyjąc skromnie, Niemcy jednak działają. Wystarczy przejechać się po tej zniszczonej krainie, aby przekonać się, że niedługo już czas dzieli nas od chwili, kiedy naród ten znów zechce zabierać głos w sprawach losów naszej półkuli. Miasta niemieckie są zniszczone. To prawda. Ale czy jest na świecie kraj który tak szybko jak oni uporządkował swe miasta? Ulice znów tchną czystością i porządkiem, a długie szeregi pracujących starannie układają cegłę po cegle wzdłuż fasad zburzonych domów, aby chodniki znów były dostępne dla przechodniów. I błoto gdzieś znikło i asfalty znów lśnią czystością. We wszystkich większych miastach komunikacja uliczna została znów oddana do użytku publiczności. Kolejki podziemne, nadziemne, tramwaje i autobusy krążą normalnie, jak przed wojną. Wszystkie mosty, autostrady są już naprawione lub w na-

prawie. Przyjemnie jest jeździć drogami niemieckimi, gdzie często spotyka się warsztaty reparacyjne i za grosze można naprawić solidnie swój wóz.

Niemcy więc nie politykują, ale pracują. Remontują fabryki, warsztaty, stawiają nowe mosty, porządkują ogrody. Nie widziałem w czasie swych wędrówek, a przebyłem tysiące kilometrów, nieuprawionej ziemi. Każdy robi swoje i czeka. Niemcy pod tym względem przypominają chorego człowieka, który powoli goi swoje rany i przychodzi do sił. Choć daleko jest jeszcze do rekonwalescencji, ale wszystko wskazuje na to, że człowiek ten będzie żył i wkrótce stanie mocno na nogach. Dlatego też nie zdziwiłem się, gdy pewnego dnia zauważyłem na pomniku kredą narysowaną swastykę, ani też, gdy przeczytałem na dworcu kolei podziemnej i w innych potem miejscach krótki napis: „*Bereit sein — ist alles!*” czyli po polsku: „Być gotowym — to wszystko!”. Wymowny ten slogan polityczny stał się w Niemczech hasłem dnia. Niemcy robią też wprawdzie nieznacznie i bez niepotrzebnego hałasu wszystko, aby być gotowi. Do czego? To pozostanie na zawsze tylko sferą domysłów i pragnień narodu niemieckiego. Każdy z nich ma w tej sprawie swą własną koncepcję, która dodaje mu sił do przetrwania. Cokolwiek byśmy o tym sądzili, hasło to ma wszystkie walory politycznej podniety do przezwyciężenia marazmu i nicości. Dziś można powiedzieć, że kryzys minął i Niemcy znów stanęli na starcie. Wprawdzie hitlerowcy skompromitowali się politycznie, ale naród niemiecki nieraz już porzucał skompromitowane sztandary, by na ich miejsce wznieść inne, może nieco różniące się barwami, ale gotowe znowu poprowadzić Niemców do walki w imię „tysiącletniej Rzeszy”.

I tylko lekkomyślny człowiek może sądzić, że pod skromnymi minami starych pań czy panów kryje się pokora czy skrucha. W oczach przechodniów na ulicach Berlina, Drezna czy Lipska kryje się nienawiść do intruzów, do okupantów. I dlatego „wilkołak” niemiecki stał się dziś symbolem pokonanego narodu. „*Heil Wehrwolf*” jest dziś nie mniej popularne od niedawnego „*Heil Hitler*”. W sprawach sztandarów i okrzyków Niemcy nie lubią fantazji.

W imię zasady *bereit sein* Niemcy wydają dziesiątki gazet, periodyków, książek, albumów, na cudownym papierze, o pięknych ilustracjach i wielkich nakładach. Prasa niemiecka mimo ograniczeń rozwija się wspaniale i można ją nazwać europejską. Najlepsze pióra ściągnięto z emigracji dla „sprawy odbudowy Niemiec”. Einstein, Heinrich Mann, Kaestner, Polgar, Doe-

blin, Kerr, Arnold Zweig i inni koryfeusze emigracyjni drukują swoje utwory. W samym Berlinie gra 25 teatrów. Balety, opery, komedie i kina czynne są w każdym mieście. Kilkanaście wydawnictw wydaje wspaniale oprowione książki, niemieckie i obce. Koncerty, wernisaże, wystawy — jak za najlepszych czasów republiki weimarskiej. Kurtyna spadła i Niemcy ruszyły na odcinku kulturalnym do ataku.

Fabryki powoli powstają z gruzów. Widziałem Siemensą w ruchu. Wiele mówiono dawniej o zniszczeniu koncernu *I. G. Farben*, który tak wspomagał Hitlera, a który w zamian za to miał zostać wysadzony w powietrze. Zwiedzałem w pobliżu Frankfurtu olbrzymie kompleksy tej gigantycznej fabryki przemysłu chemicznego. I co się okazuje? Zaledwie 10 procent zabudowań wysadzono w powietrze. Reszta cieszy się nadal „dobrym zdrowiem”. A wokół zabudowań fabrycznych dalej zamieszkuje kwiat uczonych niemieckich, zdolnych w każdej chwili do odbudowy tego, co zniszczono.

Nie wszędzie jednakowo mogą Niemcy przygotować się do lepszego życia. Ale nigdzie im się tak dobrze nie powodzi jak w strefie brytyjskiej. O ile Amerykanie prowadzą w stosunku do Niemców politykę *nur für Deutsche* i pogardy wobec barbarzyńców, o tyle Brytyjczycy skłonni są ich traktować jak biednych kuzynów, ale zawsze przecież krewnych, z którymi ma się wciąż tylko zmartwienia. W strefie brytyjskiej widziałem oficerów niemieckich w pełnym uniformie i orderach, kroczących w niedzielę ze swymi żonami po głównych ulicach, jak za najlepszych czasów Hitlera. Niemcy są tu butni i nieuczynni. Tutaj też klika wojskowych roi swe sny o potędze. Tutaj są jeszcze obozy wojska niemieckiego, dotąd nie rozbrojonego. Na drogach i szosach nieraz pojazdy są zatrzymywane przez patrole niemieckie, co prawda rozbrojone, które kontrolują jak dawniej ruch i pasażerów.

Patrząc na to wszystko, co się teraz dzieje w Niemczech, my Polacy, znający lepiej od innych niemieckiego gada, który choćby i przydeptany chwilowo nogą sojuszniczego żołnierza, przecież w każdej chwili gotów się spod niej wyśliznąć — powinniśmy bardziej od innych być czujni w sprawach, które dzieją się za Odrą.

Pamiętajmy bowiem, że od czasów krzyżackich dusza niemiecka jest wciąż taka sama...

2. AMAZONKI ZNAD SPREWY

Dla człowieka, który mieszka w Klubie Prasowym, mieszczącym się zazwyczaj w luksusowej willi, pełnej dywanów, drogocennych obrazów, porcelanowych zastaw i dyskretnej służby, dla człowieka, który może zjeść świetny obiad *à la americane* w oficerskiej messie albo darmo zabawić się w kinie lub teatrze, nie mówiąc już oczywiście o tym, że tramwaje, autobusy, U-bahny i inne szykany komunikacyjne są również bezpłatne, dla człowieka więc, który na ziemi niemieckiej obcina kupony od zwycięstwa — codzienne życie w niemieckich domach nie jest łatwe do rozgryzienia. Wprawdzie sklepy są pełne towarów, a dawne domy towarowe przekształciły się w świetnie prosperujące domy komisowe, korzystają z nich jednak przede wszystkim cudzoziemcy. Niemcy dziś już nic dla siebie nie kupują. Raczej wyprzedają się ze wszystkiego. Role więc się odmieniły i człowiek spacerujący po ulicach niemieckich w mundurze sojuszniczym czuje się doprawdy jak zdobywca. Stoi przed nim otworem wszystko: i serca kobiet i wnętrza domów i sklepów. Z narodu żołnierzy, Niemcy bardzo szybko przekształcili się w zdolnych kupców, pośredników tandenciarzy i alfonsów.

Uważnemu przechodniowi z zagranicy rzuci się w oczy zupełny brak na ulicach mężczyzn, zwłaszcza młodych. Kobiet za to wiele, aż nazbyt wiele, tak wiele, że patrzeć się na nie już nie można. Ale kobiety niemieckie wzięły na siebie trud przetrzymania okupacji, mówiąc ich terminologią. Mieszkałem przez pewien czas w domu niemieckim i podziwiałem, jak te kobiety dają sobie radę z doprawdy ciężkimi warunkami życia, zwłaszcza w wielkich miastach, gdzie drożyzna i zepsucie splatają się w jeden wielki stop nędzy miejskiej. A przecież żyć trzeba i często jeszcze żywić mężczyznę, który jest inwalidą wojennym lub którego trzeba ukrywać przed okiem policji wojskowej, bo prawie każdy Niemiec ma jakiś grzeszek na sumieniu. Dwanaście lat rządów Hitlera zrobiło swoje, a trudno przecież wymagać od Niemca, aby przez tak długi okres czasu był przeciwnikiem *führera*. To byłby doprawdy bohaterski wyczyn niemieckiego drobnomieszczanina. Niedawno ogłoszono, że Niemcy liczą osiem milionów „małych Pg.” tzn. szarych hitlerowców. Wynikałoby z tego, że w każdej rodzinie był ktoś członkiem partii, a więc teraz musi ponosić konsekwencje, jak mówią sami Niemcy, swej głupoty, wyrażające się obecnie w formie przymusu pracy i zmniejszenia racji żywnościowych. Nic dziwnego, że kobieta niemiecka, jak kiedyś z dumą nazywał Hitler swoje *Gretchens*, musi teraz pracować za dwoje.

Pracuje więc ciężko i przy każdej sposobności, zwłaszcza jeśli w pobliżu znajduje się cudzoziemiec, złorzeczy Hitlerowi, ona, która tak chętnie nosiła żydowskie futra ze wschodu, polskie pantofle z Warszawy i marzyła o wózku z Częstochowy dla swej córeczki. Ale narzekając, pracuje jednocześnie. I przyznać trzeba, że pracuje solidnie. A więc albo pierze bieliznę dla wojskowych na kwaterach za puszkę konserw, albo sprząta, idzie „na posługi”, albo też handluje na czarnym rynku lub przygodnie, po domach. Wyprzedaje to wszystko, co dawniej jej mąż, syn czy brat zagrabił u nas lub gdzie indziej. Widziałem w domach niemieckich polskie koszule i polskie krawaty z napisem „Gonzaga” czy „Chojnacki”, widziałem nawet lalki od „Braci Jabłkowski” i „Malanowskiego” z Królewskiej. Dziś nie ma już Królewskiej, nie ma i firmy „Malanowski”, ale jej wyroby przechodzą w Berlinie czy Frankfurcie z rąk do rąk. Takie to są już koleje martwych rzeczy.

W wielkich miastach niemieckich mieszka obecnie wielu cudzoziemców, z których żyją i dla których pracują Niemki. Pracują dobrze, solidnie i wymagania mają skromne. Pudełko konserw, trochę papierosów, kilka uncji czekolady — to wszystko. I trzeba powiedzieć, że w gospodarstwie są one niezastąpione. Amerykanie czy Anglicy chętnie korzystają z ich usług. I dobrze za to płacą. Na berlińskim bruku wytworzył się natomiast typ kobiety z towarzystwa, która wszystko może dostarczyć na zamówienie. Tą drogą płyną towary i różnymi drogami rozchodzą się po całej Europie. Sprawiedliwości stało się zadość. Niemcy oddają to, co zagrabili.

Tylko, że oni rabowali, sojusznicy zaś za wszystko płacą uczciwie, choć nie zawsze uczciwą walutą. Różnica kursów jest tak wielka, że właściwie Niemcy oddają nam wszystko za darmo. Ale to są również owoce naszego zwycięstwa. Kraj podbity musi odczuć skutki klęski na własnej skórze. Pustoszeją więc domy niemieckie i zamian za konserwy UNRRA.

Podczas gdy pani Schultze ciężko pracuje, jej córka flirtuje z sojusznikami. Fraternizacja doszła już tak daleko, że wieczorem na ulicach Berlina każdy prawie żołnierz trzyma pod ręce dwie kobiety. Dancingi, kawiarnie, bary i kina pełne są fraternizujących się par. A Niemki są po prostu bezcenne. Takiego upadku kobiety, jak w wielkich miastach niemieckich, nigdy jeszcze nie było. Śmiało można powiedzieć, że dziś każda Niemka pójdzie na zabawę, jeśli będzie mogła się najeść do syta i dostać garść papierosów. To jest dziś cena kobiety. Oczywiście, nie należy w brataniu się żołnierzy z Niemkami dopatrywać

się jakichś głębszych motywów politycznych. Amerykanie nienawidzą Niemców, ale chętnie pójdą z ich siostrami do kina i gdzie indziej. Wprawdzie zdarzają się wypadki poważniejsze, jak małżeństwa z Niemkami, ale jak oświadczył kiedyś na konferencji prasowej generał Mac Narney, ta już za daleko posunięta fraternizacja należy raczej do wybryków natury.

Nie brak też i pewnych odruchów oraz prób walki z upadkiem kobiet. O ile w krajach protestanckich kobiety nie mają już żadnych hamulców, o tyle np. w Bawarii sprawa ta jest bardziej skomplikowana. W Monachium, w Norymberdze i w innych miastach południowych Niemki trzymają się znacznie lepiej. Tajne organizacje niemieckie starają się drogą gróźb i terroru zohydzić swym siostrą „życie ułatwione”. Wysyłają więc listy z upomnieniem obcinają włosy, a nawet napadają na spacerujące w nocy pary. Takie wypadki ostatnio często były notowane na policji. Ale są to rzeczy na ogół jeszcze sporadyczne i dla dziewcząt niemieckich niezbyt groźne. Wolą one bowiem zamiast kartkowego chleba i kartofli spożywanym w nieopalanym pokoju, gdzie na ścianach wciąż jeszcze wiszą żelazne krzyże ich ojców i braci, zjeść dobry lunch z winem przy muzyce, w towarzystwie żołnierzy sojusznicznych, nawet za cenę swego ciała. Zresztą nie ma im się co dziwić. Czyż Hitler nie gloryfikował niemieckiej *Blitzmädel*? A czyż to taka znowu wielka sprawa dla młodej dziewczyny, zawsze głodnej i spragnionej wesołego życia a nie ponurych spojrzeń „małych Pg.”, przesiadujących stale w domu, w obawie przed „łapanką” na ulicy.

Inna rzecz, że te wszystkie „małe anioły” ulicy niemieckiej w znacznym stopniu, chociaż i całkiem bezwiednie, przyczyniają się do stopienia uczucia nienawiści u sojuszników. Trudno, skoro się stale przestaje z dziewczyną niemiecką, nie można ziać nienawiścią, równą dawnemu uczuciu, gdy z bronią w ręku trzeba było wyrąbywać drogę do zwycięstwa i wolności. To są rzeczy ludzkie, arcyłudzkie. I właśnie w tym tkwi niebezpieczeństwo fraternizacji.

Inna rzecz, że należy zrozumieć i żołnierza, który z dala od domu i bliskich wie, że doprawdy nudne życie w smętnych i zniszczonych miastach niemieckich. A przecież tyle ładnych i chętnych dziewcząt wygląda z każdego niemal okna.

Tak, kobiety niemieckie ciężko pracują. Ale nie na próżno.

3. DEMONTAŻ NA PARNASIE

Obrzydliwe słowo „denazifikacja” (Niemcy określają je przez *Entnazifizierung*, co bardziej zbliżone jest do rzeczywistości, gdyż komisje obywatelskie i tak wszystkich wybielają...) znalazło już swego godnego zastępcę w nowym terminie politycznym — w „demontażu”. Prasa niemiecka chętnie stosuje to określenie, od chwili, gdy lord William Beveridge oświadczył publicznie, że czas skończyć nie tylko z demontażem maszyn, ale i — ludzi. Marzyciel brytyjski zapomniał, że znajduje się w Niemczech, gdzie wszystko bierze się poważnie i dosłownie. Zaczęto więc — na razie w pismach — wszystko i wszystkich demontować. Władze brytyjskie na terenie swej strefy widocznie też uległy proroczym kazaniom lorda Beveridge, skoro natychmiast przystąpiły do demontażu — książek. I tak — jak podają z Hamburga — specjalna komisja brytyjska, tzw. *Book purge Commission* podała do wiadomości w swym miesięcznym biuletynie, że na indeks książek zakazanych dla Niemców wciągnięto m. in. Romain Rollanda „Mahatmę Gandhiego”, Rabindranatha Tagore „O nacjonalizmie”, Jacka Londona nowele o nędzy londyńskiej i — *last not least* — Lenina „Imperializm”, którą nawet Hitler zapomniał wycofać z obiegu w Niemczech. Książki te komisja uznała na równi z literaturą hitlerowską za niebezpieczne dla Niemców polecając je zniszczyć. Mamy więc nowy wypadek *auto da fe*, w dwa lata po klęsce brunatnych ludzi.

Oczywiście, jest to śmieszne, jeśli Brytyjczycy sądzą, że w ten sposób uchronią niemieckich czytelników przed — w ich pojęciu — niebezpiecznymi książkami i to w tym samym czasie, kiedy właśnie na łamach prasy niemieckiej, ukazującej się pod patronatem anglosaskim, coraz częściej spotykamy wśród publicystów i pisarzy takie nazwiska, które przede wszystkim powinny ulec „zdemontowaniu”, używając nowego określenia *made in Great Britain*. Cóż bowiem nowego może powiedzieć swym młodym czytelnikom taki chociażby Manfred Haussman, który kilka lat temu redagował pisma dla HJ i BDM, albo Karl Lerbs względnie Walter Voitzik (może Wójcik), dawny redaktor hitlerowskiego *Simplicissimusa*, którego humoreski i felietony spotykamy teraz wszędzie.

Przykładów takich można by podać wiele. Literatura niemiecka bowiem, po klęskach jakie poniosła na emigracji i po kompromitacji jakiej dożyła w Niemczech po upadku Hitlera jest w tej chwili zupełnie zdemontowana. — Wszystkie próby wybielania się pod pretekstem tzw. *innere Emigration* w oso-

bach Waltera von Moło lub Franka Thiessa zupełnie zawiodły, odkąd udowodniono pierwszemu, że zarabiał setki tysięcy marek rocznie w hitlerowskich wydawnictwach. — Życie literackie w Berlinie lub w Monachium spala się w ustawicznych wzajemnych oskarżeniach się, względnie obrzucaniu błotem tych pisarzy, którzy nie myślą wcale o powrocie do kraju. Byłem kiedyś przypadkiem w berlińskim klubie literackim „Möwe”, gdzie zbierają się resztki dawnych *kreisów* z pamiętnej *Romanische Café*. Cóż za dziwna zbieranina ludzi! Starcy, którzy już chyba z dwadzieścia lat temu nie mieli nic ciekawego do powiedzenia, a których przyciąga teraz do klubu ciepło kominków i urok czarnej kawy *à la maison* (czyli zbożowej). Uderza od razu brak ludzi młodych. To samo zresztą w klubie dziennikarzy na Jaegerstrasse, w dawnej siedzibie pana von Papena. Starzy, przygarbieni, głodni ludzie dyskutują na niezrozumiałe już dla siebie tematy, ludzie, których piętnaście lat dyktatury Goebbelsa zniszczyło psychicznie i moralnie. Jeśli literatura hitlerowska miała w sobie silny dynamizm imperialny, jeśli służyła propagandzie reżimu, jeśli miała nawet kilka talentów zdeprawowanych życiem ułatwionym z łaski pana Goebbelsa, co mogą dziś dać Niemcom ludzie, którzy ani nie mają talentu, ani koniecznej żywotności, miernoty pisarskie, których nawet Hitler nie potrzebował i którzy tylko ogólnemu zapomnieniu zawdzięczają możliwość przetrwania do naszych czasów. Obnoszą więc z dumą swój demokratyczny staż, oni, którzy na pierwszy znak Goebbelsa lizaliby jego stopy. To, co jeszcze niedawno było dla nich przeszkodą do kariery, dziś poczytuje się im za zasługę i oni sami w to uwierzyli. Ci, którzy przez przypadek jedynie lub w najlepszym razie przez przeoczenie nie stali się *Pg.*, dziś rozrywają szaty nad brakiem patriotyzmu wśród emigracyjnych pisarzy niemieckich, piszą na nich paszkwile, domagają się kary i oficjalnej banicji. Nazywają zdrajcami ludzi, którzy mieli odwagę krzyczeć, gdy oni milczeli, pomstują na pisarzy, którzy wieszali się w małych hotelach, gdy oni spokojnie przeglądali swe mierne manuskrypty w wygodnych mieszkaniach. Mają odwagę atakować Manna, ponieważ nie ufa on już Niemcom.

Przeglądając dziesiątki gazet i książek, jakie ukazują się dziś w Niemczech, możemy stwierdzić jedno: literatura niemiecka wyjałowiała. Jeśli spotkam czasem coś ciekawego, z góry wiem, że jest to przedruk ze starej literatury emigracyjnej. Ten brak talentów był powodem rehabilitowania pisarzy pokroju zmarłego Hansa Fallady, który współpracował z hitlerowcami a pod koniec wojny nawrócił się. Gdy zapytałem pewnego pisarza, znanego z przekonań lewicowych, dlaczego pisma po-

stępowe tolerują tego rodzaju ludzi co Fallada i utwory jego propagują wśród czytelników, literat ten odpowiedział: „Cóż więc mamy robić skoro nie widzimy nikogo wśród własnych kolegów, kto by umiał pisać. Nie mamy ludzi. Emigracja wymarła albo nie chce wracać, skoro dobrze im jest za granicą, gdzie znaleźli szacunek i czytelników. Bierzymy więc każdego, kto daje przynajmniej gwarancje talentu i skruchy”.

Tak, to prawda. Niemcy dziś szukają pisarzy. Przywołują do powrotu z zagranicy. Mało jednak wraca. Jeśli kto już się na to zdecydował, milczy po przyjeździe. Jest nieufny, zdarza się nawet, że po kilku miesiącach ukradkiem opuszcza stary kraj. Tak było z Eriką Mann, która nie wytrzymała. Wróciła do Ameryki po to, aby wraz z Albertem Einsteinem stanąć na czele komitetu, który domaga się uznania naszych granic na Odrze, przyznania Saary Francji oraz totalnej denazifikacji i demontażu przemysłu wojennego. Wrócił Alfred Doeblin, aby nie poznać więcej Aleksanderplatzu. Przyjechał Alfred Kantorowicz, uczestnik walk hiszpańskich, ale jako korespondent radia amerykańskiego. Podobnie Curt Riess. Są to już raczej cudzoziemcy, odczuwający pewną satysfakcję przy spotkaniu się z ludźmi, którzy swego czasu zmusili ich do ucieczki i poniewierki. Dziś bawią się we filantropów i drażnią członków klubu *Möwe*.

Nieprzyjemna jest ta atmosfera literacka w Niemczech. Nieufność, wzajemna podejrzliwość, licytacja w demokracji, ów plotkarski klimat, gdzie dojrzewają największe bzdury, a gdzie niejedno kłamstwo tonie w odmętach najbardziej trywialnych obelg. Wszędzie tylko narzekania i kwasy, które mogą stopić i szlachetne charaktery. A przy tym — zupełna bierność i martwota!

I skandale. Jakżeby inaczej!

Pamiętamy chyba wszyscy pisarza niemieckiego Ernsta Glaesera, który za swą książkę „Ostatni cywil” musiał uchodzić w roku 1933 do Szwajcarii. Obecnie we Wiesbaden ukazała się jego nowa książka, wybór nowel, nakładem „Limes-Verlag”. Mało kto wiedział o jego dalszych losach. Powszechnie uważano go za ofiarę Hitlera, stawiając go na równi z Remarque’iem, Ludwigiem, Rennem i innymi pacyfistami. Tymczasem czasopismo emigrantów niemieckich w Meksyku „*Freies Deutschland*” przynosi rewelacyjny artykuł poety Ulricha Bechera o życiu Glaesera po roku 1933.

Becher opisuje swoje rozmowy z Glaeserem w Szwajcarii. Autor „Rocznika 1902” źle czuł się na emigracji, ponieważ wro-

dzona próżność i brak uznania wśród obcego środowiska nie pozwalały mu spokojnie myśleć. Czuł się po prostu nieszczęśliwy. Stale chodził pijany i coraz śmielej wygłaszał kazania na temat powrotu do kraju. Narzekał na brak pieniędzy i czuł się źle w nieodprasowanym ubraniu, on, który uważał siebie zawsze za dandysa, lubił dobrze wypić, jeszcze lepiej zjeść i błyszczeć wśród kobiet. Był więc stale podniecony, nerwowy, niespokojny. Nic nie pisał, a rozpoczętej książki *Das Wort Gottes* nigdy nie dokończył. Żył więc w nędzy i opuszczeniu.

Nagle koledzy jego zauważyli jakąś dziwną odmianę. Miał pieniądze. Zaczął wygłaszać nowe poglądy i to publicznie: nienawidzi Słowian, Polacy, Czesi, Serbowie, Rosjanie — to horda, której należy dać wychowawcę, Masaryk jest dla niego tylko „młodym felietonistą”. Przy piwie, które teraz dusigrosz Glaeser chętnie swym słuchaczom stawia, poucza, że „dla dobra pokoju” należy Rosję podzielić między Niemcy, Anglię i Japonię (Becher był świadkiem tego kazania). Przy okazji i Żydom dostało się coś niecoś. Zaczęliśmy go unikać — pisze dalej Becher — a gdy Hitler zagarnął Austrię, dowiedzieliśmy się, że Glaeser „na kolanach dziękował Wszechmogącemu za ten największy dzień w jego życiu”. Autor „Ostatniego cywila” sprzedał się antycywilom. Okazało się, że *Freiherr von Soundso* komendant niemieckiej *Lufthansy* na lotnisku Dübendorf koło Zurychu nawiązał na polecenie Goebbelsa znajomość z Glaeserem. Agenci gestapo w Zurychu wysyłali raporty do centrali o nędzy materialnej i rozterkach duchowych wygnańca. I hitlerowskim Niemcom brakowało podówczas nazwisk w literaturze. Po aneksji Czechosłowacji Glaeser powrócił do Niemiec. Na czworakach poszedł do Canossy. Uroczyście zobowiązał się nie pisywać więcej swych powieści, natomiast z polecenia ministerstwa propagandy pracować nad przewodnikami po Niemczech dla uczestników *Kraft durch Freude*. Osiadł więc w Nadrenii, opisując piękno Renu. „Na pewno, kończy Becher, będzie usiłował ten zdrajca usprawiedliwiać się teraz, że powrócił do Niemiec, aby zasilić front „wewnętrznej emigracji”. Nie będziemy wierzyć kłamcy, który oszukał młodzież, tak wierzącą w jego książki.”

Wypadek z Glaeserem nie jest zresztą odosobniony. Przytoczyłem go jedynie dlatego, aby ukazać oblicze moralne „nowej” literatury niemieckiej. To samo zresztą dzieje się i w teatrze i w sztuce powojennej. Nie pozwala się dyrygować Wilhelmowi Furtwänglerowi, ponieważ występował przed Hitlerem, a równocześnie daje się paszport zagraniczny Emilowi Janningsowi,

który wyjechał do Argentyny, gdzie nakręcać ma nowe filmy. Aktor filmowy, który należał do ścisłego kółka Goebbelsa i dorobił się milionów na propagandowych filmach hitlerowskich w rodzaju *Ohm Krueger*, udaje się bez przeszkód za granicę, wywołując jedynie rozgoryczenie wśród głodującego aktorstwa niemieckiego. Styczniowy zeszyt postępowej *Die Weltbühne* podaje natomiast inny skandaliczny wypadek, jaki wydarzył się w berlińskim *Thalia-Theater*. Od dłuższego czasu idzie tam komedia Hansa Reimanna, w której występuje doskonały zresztą aktor Max Adalbert. Reimann, z pochodzenia Saksończyk, zawsze należał do mniemot literackich, które utrzymywały się na powierzchni życia literackiego tylko dzięki trikom. Tak np. Reimann pisał w dialekcie saskim, następnie wydawał jakieś futurystyczne pisemka, stale powodując się jedynie oportunistycznym. Był „czerwonym” gdy to było w modzie po obu stronach kawiarnianych stolików Kurfürstendammu, zachowywał się „neutralnie”, gdy pierwsze brunatne koszule pokazały się w Berlinie. „Czerwony” Reimann brunatniał jednak z każdym miesiącem. Gdy mu w r. 1930 zaproponowano napisanie parodii na *Mein Kampf* — Reimann był również i satyrykiem — ten dotąd salonowy komunista kategorycznie odmówił, a list wydawcy, który mu to proponował, przekazał do centrali NSDAP wraz z kopią swej odpowiedzi. Denuncjant Reimann zrobił po przewrocie karierę. Został redaktorem organu Himmlera i SS — *Der Schwarze Korps*! Przyjemniaczek ten, który wykazał, że umie pływać nawet w błocie, przetrwał wojnę, dziś spokojnie mieszka w Bawarii, a sztuki jego grają w teatrach. Anglosasi konfiskują książki R. Tagorego, a popierają Reimannów.

Jeszcze bardziej symptomatyczny dla niemieckiego *Kulturkampf* jest głośny wypadek ze zmarłym aktorem Heinrichem George i jego apologetą reżyserem Jürgenem Fehlingem, o czym nie przestaje pisać prasa niemiecka.

Przed paroma miesiącami zmarł w Rosji, w obozie, znany aktor niemiecki Heinrich George, który wraz z Piscatorem uchodził za czasów weimarskich za reformatora lewicowego teatru niemieckiego. George był nadzieją całej lewicy berlińskiej. Uwielbiano go, noszono prawie na rękach. Był genialnym odtwórcą dramatów Hasenclevera, Wolffa, Hauptmanna, Tucholskiego i innych. W okresie walk lewicy ze szturmowcami, George wykazał poza talentem dramatycznym i wiele odwagi. Nie lękał się zgniłych jajek ani gwizdów. I oto nagle, po przewrocie, gdy cały szereg wybitnych aktorów z Albertem Bassermannem poszedł na emigrację, Heinrich George przeszedł do

obozu hitlerowskiego. Mało tego! Poszedł osobiście do Hitlera w towarzystwie Goebbelsa, ukląkł przed nim i dopóty nie chciał wstać z klęczek, póki Hitler go nie pobłogosławił. Obrzydliwą tę scenę — jak powiadają — George odegrał z pełną świadomością kającego się neofity. Wrażenie było ogromne. Prasa hitlerowska szalała z radości. Jak to? Ostoja „czerwonej sztuki” zrozumiała swój błąd i prosi „wodza” o błogosławieństwo, czyż to mały powód do triumfu?! Heinrich George został obsypany łaskami. Został intendentem Państwowego Teatru w Berlinie. Nie było bardziej zagorzałego hitlerowca w teatrze niemieckim anno *dazumał* niż uczeń Piscatora — Heinrich George. Wojna zagnała go do Rosji, gdzie też zmarł z trudów i niewygód życia obozowego. Gdy wiadomość o tym nadeszła do Berlina, prasa reakcyjna nie poskąpiła mu nekrologów. Zapomniano o jego zdradzie, litując się nad tragicznym końcem aktora. I wtedy to znany reżyser Jürgen Fehling, który — choć sam był w opozycji do reżimu hitlerowskiego i musiał się ukrywać — był dawniej współpracownikiem George'a — napisał w jednej z gazet berlińskich apologię aktora. Nekrolog Fehlinga utrzymany był w dość drastycznym tonie, który nakazywał Niemcom zdejmować czapki przed trumną zmarłego aktora.

Tego już i sceptycznym berlińczykom było za wiele. Dyrekcja *Deutsches Theater* w osobie emigranta Wolfganga Langhoffa, który powrócił ze Szwajcarii, zerwała natychmiast kontrakt z Fehlingiem, uważając, że wystąpieniem swym obraził cały zespół aktorów niemieckich. Społeczeństwo natychmiast rozbiło się na dwa obozy, a partie polityczne spór ten wykorzystały dla swych doraźnych celów. Sam Jürgen Fehling wyjechał do Hamburga, gdzie będzie pracować na zaproszenie władz brytyjskich.

Gdy się ma przed oczami ten cały obraz rzeczywistości niemieckiej, trudno doprawdy nie podzielać myśli filozofa z Heideggeru, profesora Karla Jaspersa, ojca egzystencjalizmu niemieckiego, który poświęcił się obecnie wychowaniu młodzieży niemieckiej. Na jednym z wykładów powiedział on: „Nasza klęska była istotnie naszym wyzwoleniem. W roku 1933 zostaliśmy podbici, w 1945 — uwolnieni. Ale nie jesteśmy wolni! Wolność jest tylko w nas samych i tylko przez własny wysiłek możemy ją osiągnąć. Dotychczas my, Niemcy, nie osiągnęliśmy jeszcze owej wewnętrznej wolności... Nasz naród musi wiedzieć, że człowiek tylko wtedy jest wolny, gdy poczuwa się do odpowiedzialności za wszystko, co się wokół niego dzieje...”.

Wracamy więc znów do tezy „wewnętrznej denazifikacji”. Pytanie jest tylko, czy naród niemiecki dorósł już do tego. Dotychczasowe wyniki i to na rozmaitych odcinkach niemieckiej rzeczywistości nie pozwalają na optymizm. Choćby nawet ten szczegół, że wykłady profesora Jaspersa nie cieszą się popularnością, jak oświadczył sam filozof heidelberski.

Żarna hitlerowskiego młyna zniwelowały mentalność niemiecką.

4. 8-8 I NIEMCY

W Bawarii przychwycono kiedyś hitlerowską organizację, która podpisywała swoje manifesty na murach i chodnikach kryptonimem *Acht und Acht* (czyli osiem i osiem). Niemcy bowiem nie mogą żyć normalnie bez haseł i bez „wodza”. Jeśli dzisiaj w miejsce dawnego sloganu *Ein Reich, ein Volk, ein Führer* wprowadza się nowy — *Durch das Volk, mit dem Volk, für das Volk*, a różne Kurty Schumachery i Jacoby Kaisery usiłują podnieść laszkę proroka, którą Hitler zagubił w schronie *Reichskanzlei*, potwierdza to tylko niemiecką tęsknotę nach der *braunen Blume*, trawestując powiedzenie Novalisa. Opuszczeni przez Goebbelsa i jego wyznawców w literaturze i sztuce, Niemcy poza pustką kulturalną, jaką niewątpliwie odczuwają, znaleźli się w sytuacji politycznej dość niewyraźnej i pełnej wątpliwości. Piętnaście lat hitlerowskiego chaosu zdążyło zniszczyć zupełnie instynkt polityczny tego narodu, który dawniej mógł się poszczycić swą kulturą. Możemy zachwycać się dziełami starych filozofów niemieckich, ale trudno będzie nam żywić to samo uczucie w stosunku do współczesnych niemieckich umysłów.

Cóż bowiem ma dziś w Niemczech być podwaliną owej prawdziwej kultury niemieckiej? Kto ma wskreszyć dawne tradycje? Czy jest jakaś realna siła moralna, która by na gruzach „tysiącletniej Rzeszy” mogła zbudować nowy gmach lub choćby sklecić razem to, co runęło pod razami hitleryzmu? Panteon literatury niemieckiej leży na gruzach. Resztki wegetują na marginesie życia niemieckiego, nie starając się już dziś nawet wejść w orbitę współczesnych Niemiec. Któż więc ma torować drogę Niemcom? Czy młodzi, którzy nie dają jeszcze gwarancji trwałości, czy też starzy, którzy nie mają już serca dla swych ziomeków? Dziś w Niemczech trwa cicha wojna między tymi dwoma obozami. Ale jest jeszcze trzeci obóz. Przycichł dziś, stara się być niewidoczny, ale trwa. Czeka na przychylne wiatry, starając się za kulisami tych lub innych grup czy koterii literackich insta-

lować dzwonki alarmowe. Gdy potrzeba — nieuchwytnymi wpływami tworzy ekspozytury, niczym zasłony dymne, dla swoich idei.

Niemcy sądzą zbrodniarzy wojennych, komisje denazifikacyjne działają mniej lub więcej sprawnie, gazety donoszą wciąż o aresztowaniach leaderów poszczególnych komórek NSDAP, ale nikt nie pisze o ludziach, którzy swoim talentem i nazwiskiem szerzyli wiarę hitlerowską wśród szerokich mas czytelników niemieckich. O pisarzach hitlerowskich, którzy na podobieństwo żab ukryli się w międzystrefowym błotku politycznych antagonizmów i rozplynęli się we mgłę zapomnienia. Gdzie np. podziewa się taki Hans Friedrich Blunck, prezydent *Reichsschrifttumskammer*, albo taki wieszcz III Rzeszy, żarliwy hitlerowiec Hans Johst lub Dwinger, Herbert Menzel, Felix Lützkendorf czy Hans Rehberg i Arnold Bronen? Oni to w milionach egzemplarzy swych trujących książek wyginali na pole bitwy miliony niemieckiej młodzieży. Ich wiersze i dramaty uczyły nienawidzić, mordować, palić i niszczyć dla wielkości Niemiec. Gdzie są dziś ci zbrodniarze i łowcy dusz niemieckich, którzy na równi ze swymi kolegami z partii i SS powinni zawisnąć na szubienicy! Gdzie są dziś ci „pisarze” i „poeci”, którzy w utworach swych wzywali do mordowania Polaków w kampanii 1939 r.? Nikt nie wie. Nikt się tym nawet w Niemczech nie zajmuje. Siedzą gdzieś po wsiach i folwarkach, pod swymi lub fałszywymi nazwiskami i na pewno piszą. A co piszą — możemy sobie łatwo wyobrazić.

Oglądałem niedawno pamiętny dla upadku kultury niemieckiej październikowy tom świetnej ongiś gazety *Frankfurter Zeitung* z r. 1933. Znajdujemy tam m. in. akt wierności i ślubowanie 88 wybitnych pisarzy niemieckich, złożone Adolfowi Hitlerowi w kilka miesięcy po zagarnięciu władzy w Niemczech. Że „będą wierni do ostatniej kropli krwi”. Tych 88 (znów *acht und acht*) to poeci, powieściopisarze i dramaturgowie: Walter von Molo, Agnes Miegel, Otto Flake i Hans Fallada. Eduard Stucken i Heinz Stugewit. Herman Claudius i Joseph Schnack. Hans Martin Cremer, Ludwig Finkh, Hans Knudsen, Hans Franck, Naso, Vesper, Griese — że tylko wymienimy bardziej znanych. Gdzie są teraz ci wszyscy aktywiści faszyzmu? Co robią? Jedni do dziś dnia piszą, jak niedawno Hans Fallada, który miał odwagę być nawet w *Kulturbundzie*, a za hitlerowskich czasów był *RAD-Sonderführerem* i pisał antyżydowskie książki na zamówienie hitlerowskich wydawców. Jeszcze we wrześniu 1943 r. pisał: „Anglia w cztery dni padnie na kolana”. Kto czytał jego powieść „Wilk i wilcy”, ten nie mógł mieć złudzeń co

do jego demokratycznych przekonań. Przeglądając czasopisma stale spotykam takie nazwiska, jak Karl Lerbs czy Manfred Haussmann, którzy nadal drukują swoje felietony i poezje. A przecież doskonale pamiętam ich utwory w takiej np. *Kraukauer Zeitung*, gdzie Haussmann, ulubieniec *Hitlerjugend*, drukował swe nastrojowe wiersze wojenne. Dziś drukują w pismach dla młodzieży! Humoryści, jak redaktor hitlerowskiego *Simpla*, Voitzick, Hans Ribau, albo Jo Hans Rössler, (ten trzeci zwłaszcza znany ze swych niewybrednych humoresek) nadal przypominają się swym dawnym czytelnikom. Stale spotykam dziwnie mi znane nazwiska pisarzy. Po chwili już wiem. Ten pisał dla *Völkischer Beobachter*, tamten znów do *Angriffu*, inny redagował kolumnę literacką *DAZu*. I tak w kółko.

Pracują spokojnie albo milczą w spokoju. Ale trwają. Nowych piór jest mało lub są nieznane, czytelnikowi obce. Ale cóż robią ci, zdawałoby się, demokraci. Albo piszą marne rzeczy, albo klócą się w swych pismach z emigrantami, którzy nie chcą wracać. I to jest druga strona tego medalu.

Faktem jest, że mało kto do Niemiec wraca. Jedni, jak Kurt Tucholsky czy Stefan Zweig, nie wytrzymali emigracji i sami skrócili sobie życie. Inni się postarzeli, przyzwyczaili do nowego otoczenia i nie bardzo wiedzą co robić. Powrócili tylko ludzie ze wschodniej emigracji. Becher, Theodor Plivier, Friedrich Wolf, Erich Weinert oraz Alfred Döblin z Anglii. Mało jednak o nich słyhać. Pracuje tylko wydatnie Johannes Becher, ale cóż pocznie jeden człowiek. Trzon dawnej literatury wciąż tkwi na emigracji; Mannowie, Lion Feuchtwanger, Alfred Kerr, E. E. Kisch, Bodo Uhse, Oskar Maria Graf, grupa *Forum* w Meksyku oraz grupa sztokholmska — ci nie myślą wcale wracać. Emil Ludwig jest w Ameryce, Herman Hesse w Szwajcarii.

Dla Niemców, zwłaszcza tych, którzy pragnęliby odrodzenia się demokracji w Niemczech, sytuacja taka jest nie do zniesienia. Stąd ciągle spory, kłótnie, a nawet interdykty. Ma to już swoją tradycję w słynnym już dziś w Niemczech noworocznym oświadczeniu Thomasa Manna przez radio londyńskie. Pisarze niemieccy dotąd nie mogą tych słów przeboleć. „Proszono mnie, abym raz jeszcze, mówił Mann, powtórzył powody, które skłaniają mnie do pozostania na emigracji. Wiem, że atakowano mnie za to, uważając moje postępowanie za egoizm. Byłoby to z mojej strony największą głupotą, gdybym uczynił to, co niektórzy w domu uważają za mój obowiązek. Opuścić Amerykę, której ostatecznie ślubowałem wierność przyjmując obywatelstwo, byłoby największym i może ostatnim głupstwem mojego życia. I po co? Aby stać się sztandarem dla tych, do których

wciąż jeszcze nie mam i nie mogę mieć zaufania? Długo czekałem na ten powrót. Będąc w Szwajcarii z dnia na dzień wyczekiwałem cudu. Jakby się wszystko inaczej ułożyło, gdyby Niemcy same wyzwoliły się z niewoli hitlerowskiej. Gdyby między 1933 a 1939 wybuchła rewolucja, czy sądzić, że czekałbym na drugi pociąg? Przyjechałbym natychmiast pierwszym! 70 milionów ludzi przez tyle lat znosiło rządy łobuzów...". Tak mówił Thomas Mann do narodu niemieckiego 1 stycznia 1946 r. Wraz z tą mową upadły nadzieje narodu niemieckiego na ersatz-führera, jakim miał być Thomas Mann, *grand seigneur* literatury niemieckiej i największy autorytet moralny na emigracji. Ale autor *Czarodziejskiej góry* znał dobrze swych braci i nie chciał się stać parawanem źle ukrywanych fobii, które wciąż tkwią w robaczym organizmie powojennych Niemiec.

Reakcja na tę mowę Manna była wielka. Ale najciekawsze, że pierwszy w otwartym liście odpowiedział mu właśnie Walter von Molo, renegat hitlerowski. W kilka godzin później radio niemieckie podało odpowiedź Franka Thiessa pt. „Pożegnanie z Thomasem Mannem”. Erich Kaestner napisał pełen swoistego sarkazmu felieton o twórcy „Buddenbrooków”. Arnold Bauer dał patetyczną odpowiedź *Adieu Mann!* Wszyscy rzucili się na wielkiego starca, ale nikt nie mógł mu rozsądnie odpowiedzieć. Dużo mówiono o patriotyzmie, rzucono nacjonalistyczne hasła, pomawiano go o sybarytyzm i egoizm, ale ani jego, ani nas nie przekonano o słuszności sprawy, której usiłowali bronić. Jakieś pismo humorystyczne, po powrocie aktora Bassermanna, ukuło aforyzm: *Nur darf man das dem Thomas Mann nicht zum Vorwurf machen, das er nicht ein Mann wie unser Bassermann ist.*

Mało pomogły apele do innych emigrantów. Czytałem ostatnio różne artykuły Heinricha Manna. Mało jest nadziei, aby i on powrócił. Egon Erwin Kisch jest w Pradze Czeskiej. Był przez całą wojnę w Meksyku, chociaż zaledwie kilkaset kilometrów dzieli go od Niemiec, nie chce wracać. Już raczej do Wiednia. Emigranci drukują nadal za granicą, a berlińscy wydawcy z braku materiału wznawiają stare powieści na wpół hitlerowskich pisarzy.

Najlepszym dowodem, że kampania przeciw grupie emigracyjnej trwa nadal, jest sprawa Emila Ludwiga. Pisarz ten wygłosił ostatnio w kilku stolicach europejskich odczyty o Niemczech. Za swoje prelekcje został napastliwie skrytykowany przez wiele pism niemieckich, które posunęły się aż do zarzucania mu zdrady narodowej. Inni odmawiali mu prawa przemawiania w imieniu literatury niemieckiej. Z licznych głosów polemicz-

nych warto zanotować, co napisała *Süddeutsche Zeitung*, ukazująca się we Frankfurcie nad Menem. Chodzi tu o paryski odczyt Ludwiga, w którym autor „Wilhelma II” skrytykował współczesną demokrację niemiecką:

Emil Ludwig — czytamy w tej gazecie — jest pierwszym pisarzem niemieckim, który wygłosił odczyt o Niemczech przed publicznością francuską. Podniósł się jednak głos, który odmówił Ludwigowi prawa do nazywania się szermierzem demokracji niemieckiej w literaturze, a mianowicie głos poety i dramaturga niemieckiego żyjącego w Paryżu, Rudolfa Leonarda. Człowiek ten ma za sobą takie dzieła jak „Polskie piosenki” i dramat o zakładnikach francuskich, a jego ucieczka z więzienia w Castres i udział w *maquis* dają mu prawo do przeciwstawienia się tezom Ludwiga. Oczywiście, Ludwig nie był nigdy nazi — nie znaczy to jednak bynajmniej, że walczył z faszyzmem z ową wiarą i przekonaniem, jakie cechowały innych prawdziwych demokratów. Ludwig potrafił wyzyskać koniunkturę na życiorysy wielkich ludzi, zalewając rynek nie zawsze trafnie dobranymi postaciami. Jednak pisał o Chrystusie i Wilhelmie, o Bismarcku i Stalinie. Gdy pisał o Mussolinim, czyż nie zbliżał go — choćby w anegdotach — do czytelników wtedy, gdy Abisynia walczyła o swą wolność? Emil Ludwig był jedynym spośród emigrantów niemieckich, który na wiele lat przed wojną wypowiedział się za wojną. W nadziei, że tylko ona spowoduje upadek Hitlera. Chociaż historia potwierdziła jego rację, nie może to być dla niego ani politycznym, ani moralnym usprawiedliwieniem. Pytanie, czy Emila Ludwiga należy w ogóle traktować jako emigranta, można poddać dyskusji. Nigdy nie brał udziału w walce, był przecież obywatelem szwajcarskim! Można odnieść wrażenie, że opuścił Niemcy nie ze względów politycznych, ale raczej z przyczyn podatkowych.

Czy jednak emigrant Leonard nie za mocno powiedział o emigrancie Ludwigu? Czy rzeczywiście opuścił on Niemcy dlatego, że za wiele zarabiał, czy może dlatego, że Hitler umieścił go na pierwszej liście proskrybowanych? Jak można wobec tego mieć zaufanie do tych wszystkich sporów niemieckich, skoro nawet tacy ludzie jak Leonard nie umieją być obiektywni.

Jedno jest pewne. Na odcinku literackim, podobnie jak i na innych polach walki o nowe Niemcy, panuje zamieszanie i nieufność. Jedni drugim nie mogą wielu rzeczy wybaczyć, wszyscy nie znoszą się nawzajem, podczas gdy prawdziwi winowajcy łowią ryby w mętnej wodzie powojennego bałaganu.

I w tym tkwi największe niebezpieczeństwo.

FIASCO DENAZYFIKACJI

1. „KLEINER Pg. — WAS NUN?”

W marcu 1946 weszła w życie ustawa o denazyfikacji życia politycznego w Niemczech. Ustawa ta, jeśliby została przeprowadzona ściśle i konsekwentnie, mogłaby doprowadzić do rzeczywistej „czystki” politycznej w Niemczech. Ale nawet sam fakt, że taka ustawa po wielkich targach w Radzie Kontroli została wreszcie uchwalona, jest już pewnym sukcesem władz okupacyjnych.

Wypadki, jakie się ostatnio aż nazbyt często zdarzały, przyspieszały prawdopodobnie jej realizację. Raz po raz bowiem władze wydawały komunikaty o aresztowaniu lub usuwaniu z wysokich niejednokrotnie urzędów starych i zagorzałych hitlerowców. Tutaj usunięto sędziego śledczego, tam znów prokuratora, w innym wypadku burmistrza, gdzie indziej szefa miejscowej policji, żeby przytoczyć tylko bardziej drastyczne wypadki. Przykładów takich mnożyć można by na tysiące. Nie chodzi tu, rzecz jasna, wcale o tzw. *kleine Pg* czyli małych członków partii, przeważnie karierowiczów, którzy należeli do partii jedynie dla spokojnego snu i dodatkowych kartek żywnościowych. Oczywiście, że to ich bynajmniej nie rozgrzesza, ale trudno w dzisiejszych warunkach pakować do więzienia osiem milionów „szarych partyjników”. Dosyć kłopotu będzie z tymi trzema prawie milionami hitlerowców, którzy należeli do SS, gestapo i innych komórek organizacyjnych NSDAP, objętych wyrokiem norymberskim. Mali hitlerowcy mają być ograniczeni w publicznych prawach honorowych, ale już teraz poszczególne partie niemieckie starają się ich przyciągnąć do siebie, obiecując w zamian poprawienie ich bytu politycznego. Sam kiedyś widziałem w Berlinie afisz propagandowy z napisem: *Kleine Pg. Optimisten — tretet ein in die Christlichsoziale Partei!* (Mali Pg. optymiści — wstępujcie do partii chrześcijańsko-socjalnej!). Tak

więc w Niemczech rozpoczyna się partyjny polów „szarych pionków” brunatnego szarlatana.

Tego rodzaju polityka jest bardzo niebezpieczna. Wystarczy bowiem przeczytać kilka gazet niemieckich albo w niedzielę porozmawiać w biersztubie lub w ogrodzie z Niemcami, aby przekonać się, gdzie tkwi prawdziwe niebezpieczeństwo. *Kleine Pg.* są teraz drugą kategorią obywateli, znajdują jednak oparcie w społeczeństwie, wywołują ferment. A z taką ośmiomilionową armią bezimiennych partyjników trudno dziś w Niemczech walczyć, skoro i tak wiele problemów dotąd nie załatwiono.

Co myśli o tym wszystkim ów mały *Pg*? Uważa wszystkich innych Niemców za zdrajców, nienawidzi okupantów, bierze udział we wszystkich możliwych akcjach i sabotażach. Kiedyś jeden z redaktorów niemieckich pokazał mi listy otrzymywane od czytelników. „Anglicy mówią, pisze jakiś robotnik z Kassel, że jesteście zdrajcami. Prawda to. Gdybyśmy nie zdradzili Hitlera, nigdy by Anglia tej wojny nie wygrała...” Inny znowu pisze: „Czekajcie, zdrajcy narodu niemieckiego, przyjdzie *Wehrwolf* z lasów i nauczy was rozumu...” I tak w kółko.

A jeżeli dodamy do tego jeszcze młodzież niemiecką, która po prostu korzeniami tkwi w epoce hitlerowskiej, będziemy mieli ponętny obraz nastrojów panujących w Niemczech. I tutaj denazyfikacja nic nie robi. Ustawą samą niewiele można dokonać, zwłaszcza tam gdzie chodzi o zmianę psychiki ludzi, którzy gotowi są wszystkim nieszczęściom i niepowodzeniom wojenne przypisywać nie błędnym założeniom i teoriom politycznym Trzeciej Rzeszy, lecz jedynie niesprzyjającemu zbiegowi okoliczności. I ten nastrój wyczuwa się na każdym kroku. Jeśli tylko Niemiec jest szczery. Ale to się coraz rzadziej zdarza, bo Niemiec jest szczwanym lisem i umie, jeśli chodzi o jego kieszeń czy żołądek, dobrze ukryć swe osobiste uczucia.

Jednym z powodów niepowodzenia denazyfikacji psychicznej, prawną bowiem łatwo jest przeprowadzić, ale niczego ona poza zewnętrzną skorupą nie usunie, jest również i zbyt już daleko ostatnio posunięta fraternizacja, zwłaszcza na terenach okupacji anglosaskiej. Jeśli dziś żołnierze amerykańscy i angielscy coraz częściej składają podania o zezwolenie na ślub z Niemkami, jeśli oddają im swe przydziały żywnościowe i chodzą na zabawy, to oczywiście, często nieświadomie, pomagają im w przetrwaniu ciężkiego okresu, stwarzając tym samym pozory szybkiej rekonstrukcji moralnej i materialnej.

Amerykanin czy Anglik zapytany o pobudkę swego postępowania zawsze ma w kieszeni gotową odpowiedź, że jego przy-

jaciółka jest szczerą demokratką i zawsze nienawidziła Hitlera, że tylko w ten sposób lepsze elementy niemieckie przyjdą do głosu w państwie. „Ostatecznie przecież Niemcy będą kiedyś samodzielnym państwem, mówią ci panowie, więc nieźle będzie, jeśli przejdą przez nasze towarzystwo...”

O tym, że nie wszyscy Amerykanie tak sądzą — i całe w tym szczęście naszego kontynentu — świadczy list do redakcji dziennika wojskowego *The Stars and Stripes* (czytaj: Sztandar Amerykański), jaki nadesłał sierżant Peter Johnson. Weteran ten pisze: „Wszyscy ci przyszli małżonkowie gotowi są przysiąc, że ich *lieblinge* nigdy nie były nazi. A skąd oni wiedzą o tym? W bardzo prosty sposób. Przy blasku księżyca patrzy w jego oczy, mówiąc jak marzyła o tym, aby Amerykanie wygrali wojnę. Zakładając, że panna liczy przeciętnie 21 lat, pozwólcie, że opiszę wam wychowanie takiej *Fräulein*: Do dziesięciu lat życia chodziła do przedszkola, gdzie niczego innego nie uczono poza katechizmem hitlerowskim. Następnie *liebbling* awansowała do *Jung-Mädel-Bund*. Tu uczono ją kłamać i nienawidzić... „Muszę mieć silne ciało dla mojego führera... Śmierć innym narodom”. Mając lat czternaście, *liebbling* przechodziła z kolei do *Bund Deutscher Mädel* (BDM). Edukacja iście aryjska... „Muszę rodzić dzieci dla tysiącletniej Rzeszy... Ciało moje jest zawsze dla żołnierza niemieckiego... Heil dem Führer!”. Mając lat 20, rozpoczynała pracę w *Deutsche Frauenschaft*... Śmierć demokracji, jak wołała na mityngach pani Scholtz-Klink niemiecka *Frauenführerin*. Teraz wojna się skończyła, *Fräulein* uśmiecha się i całując mruczy przez zęby: „Nigdy nie byłam nazi. Kocham demokrację!”. Wielu jednak z naszych żołnierzy zapomina o tym i właśnie do nich zwracam się z pytaniem: dowiedz się dyskretnie, czy twoja *liebbling* nosiła dawniej swastykę, czy wołała *heil* na widok pruskich parad i czy czasem nie korzystała z okupowanych terenów podbitych krajów. Pamiętaj o tym, że wszystkie one były narzeczonymi owych Krautów, Millerów i Piffków, którzy mordowali lotników amerykańskich jak w Malmedy. I taką właśnie dziewczynę chcesz teraz posłubić i sprowadzić do Ameryki?!”. Tak pisał w liście sierżant Johnson.

Sprawa narodu niemieckiego jest dylematem w skali historycznej. Nie można tych zagadnień rozwiązać na kolanie. Wiele lat potrzeba będzie na to, aby twórców Oświećmienia i Mauthausen, ludzi, którzy urządzili przetargi publiczne na piece krematoryjne, przemienić w zwykłych zjadaczy chleba. I nie bez racji mówił na jednym z posiedzeń sądu norymberskiego obrońca

rządu niemieckiego dr Egon Kobuschok, że jeśli trybunał uzna wszystkie organizacje niemieckie w okresie Hitlera za kryminalne, jedna trzecia narodu niemieckiego napiętnowana zostanie nazwą kryminalistów.

Ja jednakże sędzę, że obrońca ten jest mimo wszystko — optymistą!

2. WIECZNE ZMARTWIENIE

Opublikowanie w strefie brytyjskiej, z wielkim rozmachem nowej ustawy denazifikacyjnej, o której generał Bishop w imieniu rządu Jego Królewskiej Mości powiedział, że „załatwi ona szybko i raz na zawsze to wieczne zmartwienie”, ponownie zwróciło uwagę społeczeństwa niemieckiego na sprawy oczyszczenia Niemiec z brunatnych chwastów. Osobiście nie podzielałam entuzjazmu generała Bishopa, skoro on sam przyznał, że w ciągu ubiegłych dwóch prawie lat zdołano usunąć z życia publicznego zaledwie 30 tysięcy osób, które w dość dobrych warunkach przebywają w siedmiu obozach dla internowanych. A przecież właśnie strefa brytyjska roi się wprost od hitlerowców, i to nie małego bynajmniej kalibru. Generał Bishop twierdzi, że władze brytyjskie oczyściły prawie całkowicie z elementu hitlerowskiego ciężki przemysł, administrację publiczną, w kopalniach węgla proces ten dobiega końca. Jednakże podawane ciągle wypadki jaskrawych przeoczeń w tych właśnie gałęziach życia niemieckiego przeczą wyraźnie słowom generała.

Nie jest to tylko nasza opinia. Niemiecka prasa demokratyczna od dłuższego czasu prowadzi kampanię przeciwko polityce denazifikacyjnej, jaką stosują uparcie nasi zachodni alianci. I tak np. organ SED-u w Berlinie *Neues Deutschland* twierdzi, że stan denazifikacji w Niemczech nie może przyczynić się do polepszenia widoków na pomyślne rozwiązanie problemu Niemiec na zbliżającej się konferencji pokojowej. Skandale denazifikacyjne — pisze dziennik Grotewohla — w strefach zachodnich powtarzają się coraz częściej, doprowadzając nieraz do absurdu ową „czystkę” polityczną, wynikiem której jest wyłącznie „odbrunatnianie” aktywnych hitlerowców. *Neues Deutschland* podaje m. in. taki charakterystyczny — ale nie odosobniony — wypadek z pracy komisji denazifikacyjnej w Norymberdze.

Przed komisją tą stanął były naczelnik więzienia gestapo w Norymberdze, Michael Haertel, sprawę którego komisja skierowała nagle do zwykłego sądu koronnego. Trudno się dziwić tej decyzji, jeśli zważymy, że przewodniczący owej komisji no-

rymberskiej należał sam do niemieckiego oddziału, który urządził łapanki i rabował na Ukrainie. „Kto swego czasu spędzał ofiary dla gestapo, ten nie może obecnie ferować wyroków na gestapo — pisze słusznie dziennik. Nie mniej ciekawa jest historia dziennikarza niemieckiego Garbe, który skazany został swego czasu przez sąd hitlerowski na karę śmierci za „defetystyczne wypowiedzi”, a który uratował się dzięki ucieczce. Garbe pobił wtedy agenta policji kryminalnej, za co sąd w Lubece — strefa brytyjska — skazał go obecnie na pięć miesięcy więzienia!..

Prasa lewicowa, zbliżona do grupy Piecka i Grotewohla, atakuje również ostatnio politykę i metody byłego ministra dla spraw denazifikacji w Bawarii (następcę osławionego dra Pfeiffera), Alfreda Loritza, który zamiast pojęcia *Mitläufer* (ci, którzy dali się unieść fali hitlerowskiej), stosowanego w amerykańskiej ustawie z 5 marca 1946 dla masy członków NSDAP, pragnie wprowadzić teraz inne określenie pn. *Hineingetriebene* (wpędzeni do partii). Pan Loritz idzie jeszcze dalej w reformach, pragnie bowiem udzielić odznaczeń lub wyrazić publiczne uznanie ze strony państwa bawarskiego tym wszystkim, którzy nie wstąpili do NSDAP! Podobnie, jakby chciał dać orderzy tym, którzy nie knadną...

Cytowana powyżej *Neues Deutschland* pisze o tym ze zrozumiałym sarkazmem:

Jest to najnowszy wariant niemieckiej denazifikacji. Ilu magnatów przemysłowych, ilu bankierów, którzy przypadkowo nie zostali członkami NSDAP, czeka obecnie tylko na to, aby przyszpilić do klapy surduta — nowy order denazifikacyjny. Niestety, to nie jest dowcip święteczny, ale oficjalny pogląd ministra, który prowadzi niemiecką akcję denazifikacyjną.

Od siebie możemy dodać, że właśnie wielu bardzo „zasłużonych” dygnitarzy hitlerowskich nie należało do partii ze względów politycznych, jak chociażby von Papen, von Neurath, Thyssen, Flick et consortes. Czyż mieliby teraz prawo zamiast swastyki nosić w butonierce miniaturę „Orderu niewinności politycznej?”

Powracając jeszcze do pomysłów pana Loritza, przytoczmy kilka innych głosów prasy niemieckiej. Ukazująca się w Ratyzbonie *Mittelbayrische Zeitung* przypomina słusznie że członkowie NSDAP nie byli znowuż tak bardzo „wpędzani do partii”, jak to utrzymuje minister Loritz. Mało tego, partia hitlerowska miała tak wielki napływ ochotników, że kierownictwo jej musiało często zarządzać przerwę w przyjmowaniu nowych kandydatów. Polityka więc Loritza może w konsekwencji doprowadzić

do tego, że masa „małych Pg.” zostanie wkrótce uznana generalnie za „ofiary faszyzmu” — *Opfer des Faschismus*.

Przy wszystkich aferach i skandalach denazifikacyjnych, jakie dzieją się w strefach anglosaskich, pomysły pana Loritza uznać należy za robotę sabotażową, której zadaniem jest wprowadzić tylko jeszcze większy chaos w tym matczniku niemieckich namiętności politycznych. A że tak jest, najlepiej świadczy ostatnia afra *Meier contra Meier*, którą bawiły się całe Niemcy.

Oto oskarżyciel publiczny dla spraw denazifikacji prowincji Württemberg-Baden, Franz Karl Meier, postawił wniosek, aby dwóch urzędujących ministrów rządu wirtemberskiego, a mianowicie premiera dra Reinholda Meiera i ministra oświaty, Wilhelma Simpfendörfera (znany polityk CDU, zasłużony polakożerca) — zaliczyć do grupy najbardziej obciążonych. Jako przyczynę swego kroku oskarżyciel podał fakt, że obaj dygnitarze głosowali 23 marca 1933 roku w Reichstagu za udzieleniem Hitlerowi specjalnych pełnomocnictw.

W odpowiedzi na ten wniosek prokurator Meiera, minister denazifikacji rządu wirtemberskiego Gottlob Kamm zwolnił go niezwłocznie z zajmowanego stanowiska. Wówczas Franz Karl Meier, który jest również wydawcą pisma *Stuttgarter Zeitung* oświadczył w liście otwartym, że dla ministra denazifikacji było wielce niekorzystne, aby jakiś tam prokurator wiedział więcej niż należy o polityce denazifikacyjnej rządu prowincji Württemberg-Baden. Sprawa ta ciągnie się jeszcze po dziś dzień; obaj ministrowie staną jednak pod presją partii lewicowych przed komisją dla oczyszczenia się z podniesionych przeciwko nim poważnych zarzutów. Cała prasa niemiecka nie przestaje o tym incydencie pisać, trudno bowiem jest przejść do porządku dziennego, że premier rządu mianowanego przez władze amerykańskie okazał się dzielnym pomocnikiem Hitlera.

Takie cuda dzieją się zresztą, jak już wspominaliśmy, nie tylko w strefie amerykańskiej. Niemniej pobłażliwa jest polityka władz brytyjskich i francuskich. Jak podaje *Der Neue Tag* z Offenburga, we francuskiej strefie okupacyjnej akcja denazifikacyjna odbywa się chaotycznie i bez żadnych przepisów prawnych. Opracowany przez Erwina Eckerta z ramienia KPD projekt ustawy został odrzucony przez władze francuskie, wobec czego partia komunistyczna wycofała swego przedstawiciela z centralnej komisji denazifikacyjnej. Zresztą, niedawny skandaliczny przebieg procesu przeciwko Tillessenowi był najlepszym probierzem nastawienia Francuzów spod znaku de Gaulle'a do problemu niemieckiego.

Na twierdzenie generała brytyjskiego Bishopa, że denazifikacja zostanie przyspieszona, najlepiej będzie zacytować głos hanowerskiej *Volksstimme*, która w artykule wstępnym pt. „Przyspieszona denazifikacja, ale w jaki sposób” pisze:

Praktyka wykazuje, że dzieją się rzeczy skandaliczne. Najbardziej politycznie obciążone osoby wywierają w dalszym ciągu przemożny wpływ na życie gospodarcze. Musi nastąpić przede wszystkim gruntowna rewizja dotychczasowej działalności komisji denazifikacyjnych oraz wciągnięcie szerokich rzesz społeczeństwa do tej akcji.

Pismo stawia dalej pytanie, dlaczego rozprawy przeciwko hitlerowcom odbywają się w tajemnicy, przy drzwiach zamkniętych. Dlaczego członkowie tych trybunałów zobowiązani są do zachowania tajemnicy? oraz dlaczego kosztów rozpraw nie ponoszą tylko hitlerowcy?

Sytuację panującą w strefie brytyjskiej scharakteryzował najlepiej organ KPD *Volksstimme* w Kolonii, pisząc m. in.:

Po pierwszej wojnie światowej rozwijał się w Niemczech silniej niż w którymkolwiek innym kraju pacyfizm, potężny ruch robotniczy wydawał się być gwarancją pokojowych dążeń Niemiec. Mimo to zostały utworzone *Freikorpsy*, potajemnie uzbrajane po zęby stowarzyszenia wojskowe, pozwolono rozwijać się partii hitlerowskiej, budowano pancerniki, a bojowników pacyfizmu, jak Carla von Ossietzky — wtrącono do więzienia. Czyż dzisiaj nie zaczyna się w strefach zachodnich tak samo? Niemieccy sędziowie uwalniają mordercę Erzbergera, niemiecki trybunał denazifikacyjny pod przewodnictwem zwolenników pana Schumachera uniewinnia *geheimrata* Büchera, którego nawet senat amerykański określił jako podżegacza wojennego (*war-monger*), dzienniki niemieckie prowadzą kampanię przeciwko Związkowi Sowieckiemu, przeciw Polsce, Francji, a czołowa partia niemiecka, która w nazwie swej nosi słowa „demokratyczna” (chodzi o CDU) ma odwagę zaliczyć w poczet swych członków, a nawet przywódców, takich ludzi jak Schlange-Schoeningen i dr Loehr, wybitnych zbrodniarzy wojennych, którzy dotąd jeszcze nie zerwali z marami przeszłości. W gospodarce zaś niemieckiej znajdują się nadal na kierowniczych stanowiskach promotorzy podbojów.

Kiedy piszę te słowa za dziennikiem niemieckim, słowa pełne zrozumiałej goryczy garstki postępowych kół niemieckich, które wytrzebił taran hitlerowskiego *gleisaltungu*, otrzymuję właśnie wiadomość, że były *SS-Gruppenführer* Schlüter został przewieziony wraz z rodziną i to nawet samolotem z Berlina do Düsseldorfu, aby objąć wysokie stanowisko w przemyśle.

Tym niemniej życzymy generałowi Bishopowi pomyślnych łowów. Podobnie uczyniliśmy to w stosunku do generała Claya, kiedy z wielkim temperamentem ogłaszał 5 marca 1946 roku krucjatę przeciwko hitleryzmowi w Niemczech.

Jak dotąd, wszystkie wyprawy krzyżowe nie dały spodziewanych rezultatów, co było zresztą do przewidzenia od samego początku. Atmosfera bowiem, w jakiej rozpoczynano akcję, oraz klimat, jaki panował i panuje nadal w Niemczech, nie były najlepszą gwarancją powodzenia.

Denazifikacji Niemiec nie dokonamy tak długo, dopóki nad krajem tym rozpraszać będzie swe niebezpieczne toksyny — czad hitlerowski.

3. DENAZIFIKACJA, CZYLI *PAX GERMANICA*

Rekapitulując okres ubiegły w życiu politycznym pokonanych Niemiec, od Poczdamu powiedzmy do Moskwy, dojdziemy do wniosku, że kwestią najbardziej sporną, a jednocześnie dotąd najbardziej opatrnie pojmowaną zarówno przez aliantów jak i przez ludność niemiecką, jest sprawa politycznej rehabilitacji milionów ludzi lub ich wykluczenia z życia polityczno-gospodarczego między Odrą a Renem, którą popularnie zwiemy denazifikacją. Ktoś kiedyś ukuł trafny paradoks, że denazifikacja została stworzona po to tylko, aby umożliwić Niemcom, skompromitowanym współpracą z hitleryzmem, powrót do czci i normalnego życia. Trudno zresztą nie zgodzić się z autorem tego powiedzenia, skoro na każdym kroku mamy dowody takiego postępowania. Dziś każdy hitlerowiec wie dobrze, że jedyną instancją, która może go wybielić przed aliantami (o własnych bliźnich mniejsza, gdyż i tak mu nic nie robią, jeśli wręcz nie pomogą...) są sławetne izby orzekające, czyli *Spruchkammery*. Historia z 70 sędziami owych komisji w Hesji, których musiano wykluczyć, ponieważ okazało się, że sami byli członkami NSDAP, potwierdza jeszcze raz ową lapidarną myśl o akcji denazifikacyjnej, którą wymyślili sami hitlerowcy, aby uniknąć gremialnych prześladowań, a równocześnie pod płaszczykiem „uwiędzionych” (tzw. *mitläuferów*) owieczek brunatnego wilka, móc nadal stać na straży mitu „o dobrym Adolfie”. Podział na cztery strefy, jeden z najfatalniejszych błędów zwycięskiej koalicji, przyczynił się zarówno do ograniczenia czystki politycznej — możliwość przenikania z jednej strefy do drugiej, jak to ma ostatnio miejsce w strefie radzieckiej, skąd prześladowani hitlerowcy uciekają pod opiekuńcze skrzydła Anglosasów — jak i do różnolitej interpretacji obowiązujących przepisów w poszcze-

gólnych „krajach” niemieckich. Pole do nadużyć wielkie, zważywszy że tonący chwyta się każdej możliwości ratunku, *per fas et nefas!*

Ostatnie jaskrawe skandale denazifikacyjne wykazały, że wrzód dojrzał już do ręki chirurga. Skoro nie pomagają medykamenty, przyszedł kolej na nóż operatora. Zachodzi teraz sprawa — i tym zajmują się ostatnio gazety niemieckie — kto ma dzieła tego dokonać, kogo stać dziś na zdecydowaną politykę wobec groźby odradzającego się hitleryzmu, skoro na Zachodzie niemieckim można już dziś mówić tylko o fiasku denazifikacji. Wśród samych Niemców bowiem przyjęło się dziś powiedzenie *westliche Denazifizierung* czyli „zachodnia denazifikacja” w znaczeniu ironicznym, które ma oznaczać nie karę czy potępienie dawnego życia, ale — wyróżnienie nazistów. Dzięki takiej interpretacji reakcja na zachodzie nie tylko utrzymała szereg kluczowych pozycji, ale zyskała nowe, konieczne dla długofalowej polityki niemieckiego podziemia. Elementom hitlerowskim w Niemczech chodzi bowiem w tej chwili nie o jakiś doraźny efekt, ale o możliwość pochwylenia władzy w swe ręce, gdy tylko będzie po temu okazja. Nie o zamach taki czy inny im chodzi, ale właśnie o zarzucenie sieci dobrze zakonstruowanych emisariuszy partyjnych po całym kraju. Na dane hasło każdy stanie na powierzonym sobie zawczasu odcinku. Jest to mądrze przemyślana robota polityczna, bardziej dojrzała niż bezmyślne zamachy na tego czy innego oficera alianckiego. Z tego aspektu biorąc akcję denazifikacyjną, dojdziemy do wniosku, że weryfikowanie grubych ryb hitlerowskich a pozbawienie pracy plotek partyjnych jest polityką szkodliwą, krótkowzroczną, której reperkusje nie dadzą na siebie długo czekać. Cóż bowiem myśli sobie taka np. woźna w szkole publicznej, którą w roku 1938 pod presją zmuszono do wstąpienia do partii, a która dziś zostaje przez *Spruchkammer* pozbawiona pracy, gdy słyszy równocześnie, że Ernst von Siemens hula bezkarnie po Niemczech, że Hugo Stinnes pakuje z kapitałem anglosaskim, że Wilhelm von Opel, zwany niemieckim Fordem, płaci za swą przyjaźń do Hitlera — 2000 marek kary, że tajny radca Bücher (koncern AEG) wraca do czci i sławy, że dr Ernst, magnat bankowy z Hamburga, jest znów w łaskach, że prekursor antysemityzmu w Niemczech, dr Dinter, autor książki „Czy Chrystus był Żydem”, spaceruje spokojnie po swej willi i ma czelność pisać listy otwarte do gazet niemieckich, i że inne „asy brunatnej rasy” wiodą spokojny i dostatni żywot w swych pałacach — jak ten przyjaciel Himmlera, koloński bankier Pferdenges, który wraz ze swą żoną mieszka w 40-pokojowej willi! — Czy nie sądzi

czasem ta matka czterech synów poległych na froncie, że z tą demokracją, jaką propagują teraz tak namiętnie ci tak szybko zrehabilitowani paladyni Trzeciej Rzeszy jest coś bardzo nie w porządku? I co czuje ów nauczyciel szkolny, stary antyfaszysta, który nie może dostać dziś posady, skoro dowiaduje się z gazet, że dyrektor Siemens, Witzleben został wybielony przez komisję berlińską, a magnat stalowy dr Dinkelsbach kieruje obecnie przemysłem stalowym w strefie brytyjskiej, a Hans Poengsen, członek *Reichsrüstungsratu* przeszedł prosto do „demokratycznego” zarządu przemysłu kopalnianego, podobnie jak fabrykant samolotów Heinckel lub August Wolf, dyrektor koncernu Thyssena? Na pewno taka „demokracja” staje kością w gardle biednemu nauczycielowi, który kilka lat spędził w obozie koncentracyjnym, a dzisiaj nie może przełamać pierścienia hitlerowskiej zмовy, jaką na każdym kroku wyczuwa się w Niemczech.

Przypadków takich można by mnożyć w nieskończoność. Codziennie prasa dorzuca nowe nazwisko, nowe skandale zajmują czołowe miejsca pierwszych stron pism codziennych. Dochodzi nawet do takich niepoczytalnych wystąpień jak np. wywiad z lordem Beveridge, który oświadczył skonstruowanemu Niemcom, że wraz z demontażem maszyn musi ustać i demontaż ludzi, czyli poniechanie denazyfikacji w ogóle. Z tej samej parafii pochodzą maniackie wypowiedzi Viktora Gollancza, który stracił poczucie zdrowego rozsądku i chciałby paczkami żywnościowymi oraz kazaniem pastora Niemoellera przerobić Niemców na aniołów. Oczywiście, że tego rodzaju wysoki romantyków politycznych są natychmiast wykorzystywane przez elementy znacznie mniej romantyczne, ale za to bardzo trzeźwo myślące — mianowicie kapitał zagraniczny, któremu bliższy jest magnat niemiecki niż głupi nauczyciel, który siedział w Dachau. Dzięki jego wpływom, dziś w strefach zachodnich można mówić o rehitleryzacji przemysłu niemieckiego, skoro na wszystkich kluczowych urządach siedzą znani członkowie NSDAP, jak np. dr Albrecht SA-man i Pg. od 1925 roku, Franz Wagengast Pg. od 1925, uczestnik puczu Hitlera w r. 1923, Hans Löhr, stary partyjnik i mąż zaufania gestapo i wielu, wielu innych brunatnych bonzów. Za poszeptem tych emisariuszy kapitalizmu niemieckiego, sfery międzynarodowe, których koneksje z magnaterią niemiecką są dziś już powszechnie znane, również wpływają w kierunku osłabienia akcji denazyfikacyjnej. Są i tacy, którzy już dziś głośno wołają w Ameryce *stop denazification*, ponieważ idzie im to na rękę. Trudno dziwić się tym sferom, gdy się wie, że *Siemens Brothers Ltd* dba o interesy

swej siostrzanej firmy w Niemczech, że za koncernem AEG stoi *General Electric Co.*, za Oplem zaś — *General Motors* itd. Reklamują więc swych „krewniaków”, jak mogą i gdzie mogą, a gdy potrzeba domagają się naszych Ziemi Zachodnich, ponieważ wraz z nimi tracą wielkie fabryki, które dawały im dywidendy. Tajemnica koncernu miedziowego *Copper Co.*, który finansuje akcją antypolską w Ameryce kryje się w tym, że firma ta, wraz z utratą przez Niemców Dolnego Śląska, straciła prawie wszystkie swoje kopalnie, jakie miała w Europie. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę, że dyrektorem tego trustu był nie kto inny jak właśnie osławiony reakcjonista amerykański, John Foster Dulles, doradca partii republikańskiej w sprawach polityki zagranicznej, rozumiemy łatwo, dlaczego człowiek ten tak uparcie domaga się zwrotu tych ziem Niemcom.

W zachodnich strefach zarejestrowano ponad 12 milionów hitlerowców, z których jedynie 200 tysięcy przeszło przez komisje denazifikacyjne; jeśli więc w podobnie żółwym tempie pójdzie tam ta cała akcja, przypuszczalnie za jakie sto lat stanie przed sądem ostatni hitlerowiec, jeśli do tego czasu wszyscy nie wymrą — naturalną śmiercią...

II

Jedyną receptą na hitlerowskie torsje powojenne, na oczyszczenie atmosfery politycznej w Niemczech jest mimo wszystko denazifikacja. Tylko zupełnie inna niż stosowana dotąd na zachodzie Niemiec. Konferencja moskiewska wykazała od razu rozbieżność praktyk i poglądów na tę sprawę. Słuszne uwagi Mołotowa na temat nieporadności metod, jakie są stosowane przez zachodnich aliantów oraz zbytniego już lekceważenia niebezpieczeństwa hitlerowskiego spowodowały jedynie replikę Bevina, że w strefie sowieckiej jest również nie lepiej. Minister brytyjski mógł na poparcie swego twierdzenia przytoczyć jedynie listę kilkudziesięciu nazwisk dawnych członków NSDAP, którzy siedzą jeszcze dzisiaj na urządach pod kontrolą sowiecką. Założmy nawet, że odpowiada to prawdzie. Cóż znaczy ta skromna lista w porównaniu do dziesiątków tysięcy hitlerowców, którzy trzęsą dziś życiem gospodarczym i politycznym w pozostałych strefach? Jasne jest, że w ciągu 20 miesięcy od zakończenia wojny trudno wypłenić z miejsca zarazę hitlerowską, ale to, co się dzieje w strefie radzieckiej, należy do wyjątków, których uniknąć nie można podczas gdy stan w strefach zachodnich należy do reguły. Jeśli dziś w strefie brytyjskiej całe kolejniectwo jest w rękach hitlerowskich, a dr Kittel — prawa ręka dr Gan-

zenmüllera, ministra komunikacji w rządzie Hitlera — trzęsie tzw. *Generaldirektion Bielefeld*, trudno doprawdy rozpaczać, że gdzieś na kolei wschodniej, na małej stacji siedzi dróżnik, który był członkiem partii od 1938 roku, jak to kiedyś z triumfem podała gazeta pana Schumachera. Chodzi bowiem tylko o proporcję w grożącym niebezpieczeństwie. Polityka sowiecka na tym polu była słuszną i jedyną: rozprawić się z „grubymi rybami”, ukarać mniejszych, całkiem małych, szarych Pg. ułatwić im możliwość pracy, skoro nie chcemy sami stosować metod hitlerowskich. Słuszną karą nie zaś zemsta kieruje sowiecką polityką denazifikacyjną. Nie potrzeba ani niemieckich komisji denazifikacyjnych, ani skomplikowanego aparatu sądowego, który staje się tylko jeszcze jednym źródłem nielegalnych dochodów, wystarczy po prostu czujne oko okupanta.

Ponieważ organ amerykański w Niemczech *Die Neue Zeitung* wystąpił z zarzutem, że polityka denazifikacyjna w sowieckiej strefie nie została dotychczas wystarczająco zrealizowana, dziennik berliński *Die Taegliche Rundschau* (lic. sowiecka) rozprawił się z tą insynuacją w artykule — który należy uważać za oficjalny pogląd marszałka Sokołowskiego — pt. *Was heisst Entnazifizierung?* Dziennik stwierdza, że Amerykanie wylewają krokodyły łzy nad aktywnymi faszystami i innymi zbrodniarzami hitlerowskimi, którym w strefie sowieckiej zabrano majątki, przedsiębiorstwa i fabryki. Z drugiej strony zaś pismo amerykańskie w języku niemieckim usiłuje zasugerować swym czytelnikom opinie, że czystka polityczna w strefie sowieckiej została przeprowadzona niewłaściwie, ponieważ nie ukarano tzw. małych Pg. to znaczy ludzi z warstw robotniczych, chłopskich i pracującej inteligencji, którzy wciągnięci zostali do NSDAP, nie odgrywając jednakże aktywnej roli i nie posiadając żadnego wpływu na politykę partii i popełnianych przez nią zbrodni. *Taegliche Rundschau* pisze m. in., że

W systemie, który stawia miliony ludzi przed komisjami niezależnie od tego czy są oni zbrodniarzami, czy nie, i gdzie sądy rehabilitacyjne mają do przetrwania całe tony *fragebogenów*, nie można oczekiwać sprawiedliwego wyroku. Podobny system musi doprowadzić do tego, że prawdziwi zbrodniarze ujdą sprawiedliwości, podczas gdy ludzie, którzy nie brali udziału w zbrodniach, będą musieli cierpieć. Redakcja *Taegliche Rundschau* otrzymuje wiele listów, autorzy których dają wyraz swemu oburzeniu, iż wybitni zwolennicy Hitlera z kół przemysłowych i bankowych zajmują obecnie, jak dawniej, czołowe pozycje w połączonej strefie anglo-amerykańskiej (chodzi tu o układ bizonalny, sprzeczny z uchwałami poczdamskimi, przyp. aut.). W interesie szybkiej odbudowy gospodarki pokojowej i pokojowego życia w Niemczech trzeba, aby byli nominalni członkowie partii, zwłaszcza robotnicy, zostali wciągnięci do pracy. Powinni oni mieć nadzieję, że jeśli uwolnią

się od dawnych błędów, wówczas znajdą pomoc, a ci którzy nie znajdują właściwej drogi albo okażą się zbrodniarzami, muszą ponieść surową karę. Takie są nasze poglądy w sprawie denazifikacji, taka jest nasza linia ogólna, której i w przyszłości przestrzegać będziemy.

Na podobnym stanowisku stanął również Otto Grotewohl przewodniczący partii SED, który w ramach swego referatu politycznego na konwencie partii oświadczył m. in., że

Celem utworzenia szerokiej podstawy wszystkich sił postępowych dla demokratyzacji Niemiec, nieodzowne jest po wyeliminowaniu i ukaraniu aktywnych elementów hitlerowskich znalezienie obecnie i to jak najszybciej drogi, która mniej obciążonym lub zgola przymuszonym zwolennikom NSDAP umożliwi wejście w życie polityczne nowych Niemiec.

Unifikacja postępowania denazifikacyjnego w całych Niemczech na bazie wyżej cytowanych argumentów może po pewnym czasie oczyścić klimat polityczny w Niemczech. Łatwiej jest bowiem wciągnąć w proces demokratyzacji Niemiec robotnika w kopalni lub kolejarza, który i za Hitlera był tylko wołem roboczym terroryzowanym przez najemników gestapo, niż np. dyrektora hutu lub banku, który w Hitlerze widział gwarancję integralności swych kapitałów oraz zabezpieczenie przed strajkami. Łatwiej przekonać nauczyciela szkoły powszechnej niż rektora uniwersytetu, który z własnej woli pisał książki — pagnegiryki ku chwale „wodza”. W postępowaniu denazifikacyjnym — skoro zakładamy, że naród niemiecki musi żyć i pracować, a z czasem i współpracować z innymi narodami (my, Polacy, musimy szczególnie dbać o to) — należy *a priori* rozróżnić promotorów i agitatorów narodowego „socjalizmu” od małych mrówek proletariatu niemieckiego. Aktywność partyjna musi być probierzem wszystkich osądów i rozróżnień. Nominalność zaś — nadzieją dla każdego, dla kogo słowo ekspiacja nie jest tylko pustym frazesem. Jeśli nie możemy metodą niemiecką wytepić połowy narodu niemieckiego, musimy znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie. Władze sowieckie na obszarze swej strefy przekonały nas, że ich polityka była najwłaściwsza.

III

Oczywiście że cały ten problem nie jest prosty, aby można było postępować według jakiegoś z góry ułożonego szablonu. Niemcy bowiem należą do ludzi o mentalności skłonnej do przeobrażeń w rodzaju przeżyć bohatera opowieści *Dr Jekyll and mr Hyde*. Nie należy również bagatelizować upokorzenia,

jakie Niemcy odczuwają w związku z klęską i niesłusznym obniżeniem się poziomu moralnego tego narodu. Poczucie własnej winy, jeśli nie natrafia na inne hamulce, niweluje przede wszystkim beznadziejność perspektywy oraz katastrofa gospodarcza jakiej terenem są Niemcy powojenne. Okoliczności te, nawet obiektywnie biorąc, u ambitnych jednostek, które nie handlują na czarnym rynku, ani nie sprzedają swych żon czy córek za *Chesterfieldy* lub czekoladę, wywołują często zjawisko wręcz odwrotne niż skrucha. Wywołują przekorę, podniecają wyobraźnię w duchu skrytej nienawiści, czekającej na okazję, na rewanz, na odwet. Jednostki takie zamiast pokornieć, nabierają odwagi, zjawisko zresztą notowane w każdym podbitym i okupowanym kraju. Jeśli na dodatek ludzie ci widzą, że ich dawni przewodnicy znów siedzą na stołkach, że są na powrót przy żłobie, gdy oni muszą uciekać do lasów lub kryć się pod obcymi nazwiskami, przebiegając z jednej strefy do drugiej w poszukiwaniu schronienia, łatwo zrozumieć, jaki ferment wywołują tego rodzaju peregrynacje w Niemczech. Polityka *fragebogenów* i wiecznego wyczekiwania na rozprawę, od której zależeć ma los danej jednostki (bogaci hitlerowcy wykupują się wcześniej) wprowadziła na zachodzie stan „nerwicy denazifikacyjnej”, która objawia się w ten sposób, że młodzież zaczyna spiskować, skoro nic innego nie może robić. Zamiast wciągnąć miliony ludzi w proces pracy pokojowej, ustawa denazifikacyjna w tej postaci, w jaką ujęli ją Anglosasi, stawia Niemców przed dylematem, do którego klucz leży w związkach nielegalnych. Stąd spokojna praca na wschodzie, a wieczne spiski, bomby i swastyki kredą na parkanie — na zachodzie. Przy schematycznym załatwieniu denazifikacji, najdotkliwiej trafia ona w młodzież niemiecką, która może jest najmniej winna tragedii, spowodowanej przez oblężenie z Berchtesgaden.

Sprawą tą zajmuje się żywo prasa niemiecka w strefie francuskiej, gdzie dotąd sprawy denazifikacyjne wiele pozostawiają do życzenia. Paryż bowiem i Baden-Baden — to dwa bieguny francuskiej orientacji w sprawie niemieckiej. Organ KPD *Der Neue Tag*, potuszając zagrożenie denazifikacji młodzieży, w ten sposób ujmuje ten ważny odcinek życia niemieckiego:

Problem ten jest tak ważny, że nie można nad nim przejść do porządku dziennego. Słusznie stawiają młodzi ludzie pytanie przedstawicielom starszego pokolenia, odpowiedzialnym za obecną denazifikację: jakie macie prawo nas karać dziś za to, do czego sami dopuściliście i co tak długo znosiliście?... Sami odpowiadacie za dzisiejszą nędzę, gdyż staraliście się zaszczerpić nam już od zarania naszej młodości zamilowania do żoldactwa. Wyście wmówili nam idee rewanzu

na zwyciężcach ostatniej wojny, a zwłaszcza Francji. Wy, dzielni obywatele, którym Hitler korzystając z waszej politycznej tępoty naciągnął przysłowiową szlafmycę na oczy i uszy, znosiliście to, że zabierano wam waszych synów i córki i wysyłano do „państwowych zakładów wychowawczych” *Hitlerjugendu* i *BDM*. Byliście dumni z waszych dzieci noszących mundury i z tego, że dzieci te już jako wyrostki znały się świetnie na rzemiośle wojennym. Nauczono ich być dumnymi z „aryjskiego pochodzenia” i to bardziej, niż sami zdawaliście sobie z tego sprawę. Młodzież zdaje sobie jasno sprawę, że część jej dzięki praktykom denazifikacyjnym jest popychana w objęcia neofaszyzmu.

Podobną rezolucję w sprawie denazifikacji młodzieży przyjął niedawno związek demokratyczny *Die Freie Jugend*.

Diagnoza choroby politycznej, jaką jest sprawa denazifikacji, jest mocno skomplikowana. Wymaga też dobrych diagnostyków, których jednak w Niemczech brak. W każdym razie faworyzowanie rekinów przemysłowych i niedawnych podżegaczy wojennych, którzy własny naród doprowadzili do niebywalej w dziejach klęski, nie jest najlepszym lekarstwem na schorzałą mentalność przeciętnego Niemca. Jest raczej niebezpieczną toksyną, która może sprowadzić nawet szaleństwo.

A na to ani Polska, ani inne sąsiadujące z Niemcami kraje pozwolić sobie nie mogą.

4. MAIER CONTRA MAIER

O denazifikacji (cóż to za parszywe słowo!) można by nie skończyć...

Jedni uważają, że od niej zależy przyszły los Niemiec, inni sądzą, że jest wielkim nieporozumieniem, są zaś i tacy (jak np. lord Beveridge), którzy twierdzą, że jest wielkim nieszczęściem („skończmy z demontażem ludzi”). W każdym razie, jedno jest pewne, że denazifikacja jest dziś jedynym świetnie prosperującym *byznensem* w Niemczech. Dziesiątki tysięcy ludzi znalazło zatrudnienie; jedni sądzą, drudzy bronią, sekretarki piszą, biura podaniowe mają ręce pełne roboty, każdy bowiem Niemiec pragnie posiadać kartę denazifikacyjną, jak ongiś — *Ahnen-pass* — dowód aryjskości. Właściwie w Niemczech mało się zmienia...

Są również i „macherzy” od denazifikacji, specjaliści od spraw rehabilitacyjnych, jak ongiś — rozwodowych (małżeństwa mieszane). Słowem *prosperity denazifikacyjne*. Adwokaci niemieccy nie mogą opędzić się od klienteli, bardziej zaś pomyślni drukują nawet specjalne prospekty. W jednej z gazet znalazłem takie np. ogłoszenie:

Czy chce się pan poddać denazyfikacji? Proszę z całym zaufaniem zwrócić się do mnie. Wielkie sukcesy, wiele listów dziękczynnych. Posiadam najlepsze stosunki. Pańska współpraca ogranicza się do odpowiadzi na następujące pytania: proszę podać osoby (dwie wystarczą), które widziały pana w kościele w latach od 1933 do 1945. Proszę opisać konflikty duchowe wobec wstąpienia do partii hitlerowskiej. Niech pan poda świadków (dwóch wystarczy), wobec których wyraził się pan, że wojna jest przegrana.

Tak wygląda denazyfikacja „od kuchni”. Nic dziwnego, że jest stale przedmiotem ataków lewicy niemieckiej oraz tematem żartów kabaretowych i plotek towarzyskich.

Nie będę tu powtarzał raz jeszcze owych wszystkich mniej lub więcej głośnych skandali denazifikacyjnych, których echa znajdujemy w prasie niemieckiej i światowej. I to, że nagle zwolniono od winy i kary radcę Wilhelma von Opel (zwanego niemieckim Fordem), tajnego radcę Büchera z AEG, dyrektora Witzlebena z koncernu Siemens, barona Pferdementesa z Kolonii. Przykładów takich można by mnożyć nieskończenie. Dziś człowiek, który ma pieniądze, może w Niemczech ująć denazifikacyjnej kosie i cicho żyć na uboczu. Kto przejdzie się po dzielnicach willowych Berlina, Monachium czy Frankfurtu, ten na pewno dojdzie do wniosku, że życie dawnych hitlerowców nie jest wcale takie złe na tle obrazu współczesnych Niemiec. Czyż wobec tego może zadziwić nas list, jaki władze amerykańskie otrzymały niedawno w Fuldzie (sławne miasto biskupów). Pytał w nim nauczyciel, stary antyfaszysta, który wiele lat spędził w obozie, czy nie mógłby teraz zostać zaliczony w poczet członków NSDAP z terminem przynajmniej 1 maja 1937 r., aby w ten sposób mógł wreszcie otrzymać posadę w szkole...

Podczas gdy szary członek partii, często pod przymusem podpisujący deklarację partyjną — w myśl starej jak świat maksymy że „człowiek musi żyć” — ponosi dziś konsekwencje brunatnej dyktatury, grube ryby NSDAP nie tylko żyją dostatnio (tyle się na świecie narabowali, że mają teraz co sprzedawać aliantom), ale nawet robią kariery polityczne. Prasa pełna jest coraz to nowych odkryć, wedle których szefem policji np. w Hanowerze jest stary gestapowiec, a dowódcą policji w Hamburgu czy Bremie — dawny członek SD, obozy dla internowanych Pg. strzeżone są przez dawnych SS-manów, którzy sprowadzają dla swych kolegów (jak to miało miejsce np. w Regensburgu) całe baterie wódek i polcie słoniny.

Naród niemiecki przeżarty jest hitleryzmem do dna, brunatna rdza przepaliła organizm polityczny Niemiec do rdzenia państwowego, jakim w każdym narodzie jest młodzież. Dziś mo-

zna powiedzieć, że olbrzymia większość młodych ludzi w Niemczech myśli w dalszym ciągu kategoriami majora SS Kabusa, który został skazany na śmierć w ub. miesiącu za atak bombowy na komisję denazifikacyjną w Stuttgarcie. Dziesiątki tajnych organizacji o nazwach zaczerpniętych ze starych sag germańskich działa sprawnie i planowo. Komisje zaś denazifikacyjne nie sądzą ludzi urodzonych po roku 1919. Tak postanowiły władze alianckie. Wobec tego można bezkarnie hulać. I hulają młode Zygfrydy. Mamy tutaj dosyć dowodów ich działalności. Wystarczy zresztą przeczytać choćby ostatni raport komisji lorda Vansittarta i sprawozdania o wykryciu wielkiego spisku hitlerowskiego w Hamburgu i Frankfurcie, gdzie wyłapano szereg wybitnych oficerów SS i SD.

Alianci tymczasem oburzają się wzajemnie oskarżeniami na temat denazifikacji, spierają się, który system jest lepszy i pozwalają Niemcom zacierać ślady.

Na tle tych wszystkich niepowodzeń, najbardziej charakterystyczna — i głośna w Niemczech — była sprawa *Maier contra Maier*, którą chciałbym tutaj polskiemu czytelnikowi podać ze sprawozdań prasy niemieckiej w myśl zasady *audiatur et altera pars*.

Miejscem akcji jest Stuttgart, stolica „państwa” Württemberg-Baden.

Udział biorą ministrowie, prokuratorzy, politycy, dziennikarze i profesorowie. Wszyscy się kłócą i spierają, choć nikogo to w gruncie rzeczy tutaj nie obchodzi. W każdym razie zajęcie jest, co na tle ogólnie przeżywanego lenistwa jest rzeczą pożyteczną.

Oskarżyciel publiczny przy komisji denazifikacyjnej (tzw. *Spruchkammer*), Franz Karl Maier zaskarżył premiera wirttemberskiego rządu dra Maiera oraz min. kultury Simpfendörfera, domagając się zaliczenia obu „mężów stanu” do zwykłych przestępców wojennych w rozumieniu ustawy z dnia 5 marca 1946 r. o czystce politycznej w Niemczech. Premier ma być zaliczony do drugiej grupy, minister kultury zaś nawet do pierwszej! Akt oskarżenia zarzuca inkryminowanym osobom, że przyczyniły się słowem i czynem do umocnienia władzy Hitlera. Uzasadnienie to brzmi (wedle *Badische Nachrichten*):

Simpfendörfer należał od połowy lipca 1933 aż do rozwiązania Reichstagu na jesieni 1933 r. do frakcji parlamentarnej NSDAP. Dr Maier jako członek Reichstagu słowem i czynem przyczynił się do tego, że wielu jego przyjaciół politycznych wstąpiło do NSDAP w przełomowych chwilach dla Niemiec.

Gdy prasa podała treść zarzutów do wiadomości publicznej, premier Maier złożył oświadczenie, w którym stwierdził, że oskarżenie to bynajmniej go nie zaskoczyło, gdyż prokurator Maier jako właściciel gazety *Stuttgarter Zeitung* zaatakował go jeszcze przed utworzeniem rządu wirttemberskiego. Mimo to — podkreślił premier — parlament wirttembersko-badeński wybrał go znaczną większością głosów, a rząd wybór ten zatwierdził. Minister Simpfendörfer złożył również oświadczenie, stwierdzając, że był zawsze radykalnym przeciwnikiem narodowych-socjalistów. Stosunek jego do pamiętnej „Ustawy o pełnomocnictwach dla rządu Hitlera” z r. 1933 powstał z przekonania, że narodowy socjalizm, aby się skompromitować, musi dojść do władzy. Stara bajeczka, której źródłem — jak wiemy — był sam prezydent Hindenburg, autor powiedzenia: „Myślę, że Hitler w osiem miesięcy sam się wykończy”.

Historia mówi natomiast co innego.

23 marca 1933 roku obecny premier Maier złożył w Reichstagu następujące oświadczenie:

Mamy nadzieję i życzymy sobie, aby naród niemiecki doprowadził pod obecnym kierownictwem do końca swą czternastoletnią walkę o wolność i wzmocnienie narodu niemieckiego. W wielkich narodowych celach czujemy się związani ze stanowiskiem kanclerza Rzeszy. W przedłożonym projekcie ustawy widzimy, że konstytucyjne prawa narodu i podstawy porządku prawnego są zabezpieczone przed nadużyciami. W interesie narodu i ojczyzny składamy oświadczenie, że w oczekiwaniu ustawowego rozwoju wycofujemy nasze interpelacje i głosujemy za ustawą o pełnomocnictwach rządowych.

Minister Simpfendörfer na tym samym posiedzeniu oświadczył wtedy:

Służba narodowa potwierdza wewnętrzne, a przede wszystkim zewnętrzne cele, przedstawione przez kanclerza Rzeszy. Jest ona w swej części gotowa do współpracy i popiera ustawę.

W ten sposób Hitler otrzymał władzę dyktatorską w Niemczech, której nie omieszczał od razu nazajutrz użyć na „zabezpieczenie konstytucyjnych praw narodu i porządku prawnego”, jak powiedział obecny premier Maier w starym Reichstagu...

Zdawałoby się, że obaj „mężowie stanu” powinni czym prędzej złożyć swe wysokie urzędy, posypać głowy popiołem i usprawiedliwić się przed narodem niemieckim. Tymczasem co się dzieje? Coś wręcz paradoksalnego!

Członek gabinetu premiera Maiera, minister od spraw denazyfikacji Herr Kamm (czyli po polsku grzebień, który źle prze-

czesał życie polityczne w Wirtembergii), zarządził wstrzymanie postępowania przeciwko swemu zwierzchnikowi, zasłaniając się tym, że prokurator Maier nie miał prawa do wytoczenia oskarżenia, ponieważ premier oddał swój *fragebogen* w Schwäbisch-Gmünd, a min. Simpfendörfer w Leonbergu. Prok. Maier ma uprawnienia tylko na terenie miasta Stuttgartu!

W kilka dni później prasa podała wiadomość, że min. Kamm zwolnił prok. Maiera z zajmowanego stanowiska. Jednocześnie, jak podaje *Der Mannheimer Morgen*, Kamm oświadczył, że prok. Maierowi będzie wytoczone postępowanie dyscyplinarne, ponieważ nadużył zaufania swych przełożonych, nie odróżniając czynności oskarżyciela publicznego, którego obowiązuje tajemnica urzędowa, od czynności dziennikarza, jakie pełni poza pracą w prokuraturze. Zamiast zająć się przygotowaniem procesu przeciwko drowi Schachtowi — powiada dalej min. Kamm — co miał zlecone, prok. Maier samowolnie wziął się do nie swoich spraw.

Prok. Maier, zwolniony ze swego stanowiska, oświadczył przez radio co następuje:

Mianowany zostałem oskarżycielem publicznym przy komisji denazifikacyjnej w Stuttgarcie; piastowałem więc urząd, z którym związane są pewne ustawowe prawa i obowiązki. Wedle art. 32 ustawy o denazifikacji, w postępowaniu przed komisjami, obok innych czynników, jest prokurator upoważniony przede wszystkim do stawiania wniosków. Zatem byłem upoważniony i zobowiązany do zajęcia się sprawą dra Maiera i min. Simpfendörfera. Jeżeli mój wniosek był bezprawny, a więc niedopuszczalny, byłoby rzeczą najłatwiejszą stwierdzenie tego przed komisją orzekającą. Min. Kamm zarzuca mi, że przed wytoczeniem oskarżenia nie powiadomiłem go o tym. W tym wypadku muszę stwierdzić, że ustawa nie zawiera żadnych postanowień, zgodnie z którymi oskarżyciel publiczny musiałby przed wytoczeniem skargi pytać ministra o jego zdanie w danym wypadku, natomiast w myśl przepisów zawiadomiłem o tym władze okupacyjne, do czego byłem zobowiązany.

Nawiązując zaś do uwag min. Kamma o jego roli jako dziennikarza, prok. Maier powiedział:

Z obserwacji moich, poczynionych w ministerstwie denazifikacji, miałbym dużo sensacyjnego materiału. Mógłbym np. dać sprawozdanie o niesłychanych stosunkach panujących w komisjach denazifikacyjnych w Stuttgarcie, o bezprzykładowych machinacjach i manipulacjach jakie tam stwierdziłem. Mógłbym również opowiedzieć o tym, że jeden z najbliższych współpracowników Kamma, inspektor komisji orzekających, był członkiem partii hitlerowskiej i oficerem SS. Mógłbym to uczynić, ale wstręt do sensacji nie pozwala mi tego zrobić.

No i posypały się głosy prasy, oświadczenia polityków, ataki i obrony, słowem zawrzało w kotle niewyżytych namiętności politycznych. Przeglądając stosy wycinków, jakie w tej sprawie zebrałem w ciągu tygodnia, mogę stwierdzić, że najbardziej znamienne były słowa wypowiedziane przez dr Hausmanna, lidera reakcyjnej partii DVP (*Demokratische Volkspartei*), który z oburzeniem stwierdził, że „wniesienie aktu oskarżenia przeciwko premierowi Maierowi jest wyszydzaniem demokracji, skoro w kilka tygodni po wyborach niepokoi się w ten sposób opinię publiczną”.

Dla całości obrazu dodamy jeszcze, że parlament wirtembersko-badeński stanął po stronie min. Kamma a prok. Maiera potępił.

Aby nie być jednostronnym, zacytuję jeszcze słowa dra Rudolfa Agricoli, najwybitniejszego dziś przedstawiciela obozu demokratycznego w Niemczech, który w redagowanym przez siebie piśmie *Rhein-Neckar-Zeitung* wypowiedział się na marginesie tego niesłychanego skandalu denazyfikacyjnego ostatnich czasów:

Czas już skończyć z plugawieniem słowa „demokracja”. Żałujemy, że na czele naszych rządów stoją dzisiaj ludzie, którzy w roku 1933 zawiedli, byli tchórzami i trzęśli się i którzy swój własny dobrobyt stawiali wyżej od wiary w swój kraj. Czy można zatem z ludźmi, którzy uprawiali fałszywą politykę, przeprowadzać odbudowę naszej ojczyzny? czyż mógłby ktoś zaprzeczyć, że w celu przewyciężenia nędzy potrzebujemy prawdziwej czystki i że na czele naszego narodu powinni stać najbardziej idealni, najbardziej dzielni i najsprawiedliwsi ludzie?

Słusznie też powiada ten publicysta na innym miejscu:

Denazyfikacja nie jest kwestią zemsty, nie jest sprawą dołączenia nowej krzywdy do starej. Denazyfikacja ma na celu stworzenie drogi ustaw politycznych podstaw nowego państwa. Listonosz, który był w partii i nie wolno mu dzisiaj roznosić listów, nie stanowi niebezpieczeństwa dla odbudowy. Natomiast minister Kamm musi się zastanowić, czy kolega ministerialny, który w roku 1933 głosował za udzieleniem rządowi hitlerowskiemu pełnomocnictw, wprawdzie jako listonosz nie byłby niebezpieczny, lecz jako minister mógłby nim być.

Cóż poradzi choćby i tysiąc sprawiedliwych w brunatnej Sodomie i Gomorze, jaką mimo wysiłków garstki uczciwie myślących Niemców jest ciągle kraina Goethego i Hitlera.

5. „CZYSTKA” W ROKU 2018

Zastępca gubernatora wojskowego amerykańskiej strefy okupacyjnej, generał Lucius D. Clay, otwierając konferencję prasową na temat spraw denazifikacyjnych oświadczył, że wie, iż czystka polityczna postępuje w żółwym tempie i sprawa przedstawia się tym gorzej, że po wyroku norymberskim wiele obozów trzeba będzie zlikwidować, a internowani partyjnicy będą odtań stawali jedynie przed komisjami denazifikacyjnymi.

W samym tylko sektorze amerykańskim należy liczyć się z 70-tysięczną rzeszą zwalnianych stopniowo hitlerowców. Słusznie tedy pisze berliński *Der Kurier*, kontrolowany przez Francuzów, że przynajmniej jeszcze siedemdziesiąt dwa lata będą musiały pracować komisje tylko w samej Bawarii, zanim ostatni nazi złoży swój *fragebogen*. Przypuszczalnie ostatni prawdziwy Pg. przeniesie się wtedy na łono Hitlera, a tylko członkowie *Wehrwolfu*, którzy nie przekroczyli dziś piątego roku życia, będą przypuszczalnie ostatnimi klientami zgrzybiatych sędziów na sesji denazifikacyjnej anno 2018...

Widocznie jednak i alianci mieli dość dowcipów na ten temat, skoro na ostatnim posiedzeniu Rady Kontroli zapadła nowa decyzja. Postanowiono wprowadzić jednolite przepisy denazifikacyjne, aby na przyszłość uniemożliwić jakiekolwiek uchylanie się od sankcji przez emigrację do innej strefy. Nowa „dyrektywa przeciwko hitleryzmowi” stawia ponad siedem milionów Niemców w stan ciągłego oskarżenia. Odzyskują swe prawa obywatelskie dopiero wówczas, kiedy sąd stwierdzi ich niewinność. Ogólnie biorąc dyrektywa podpisana przez czterech generałów „wielkiej czwórki” postanowiła, że nie „słabość charakteru małego Pg” decyduje o winie, ale karze podlega kryminalny charakter aktywności członka partii hitlerowskiej. Granica jest więc znowu prawie nieuchwytna biorąc pod uwagę stosunki w Niemczech i znów karalność takiego czy innego postępowania pozostawiona zostaje dyskrecjonalnej władzy członka komisji oczyszczającej. A że sędziami są Niemcy, którzy mają krewnych lub przyjaciół nie zawsze „czystych” politycznie, ci zaś mają pieniądze, przeto... Resztę można już sobie samemu dośpiewać.

Jednakże nowa dyrektywa jest krokiem naprzód. Po raz pierwszy stwierdza ona, że karze podlegać mogą również „Niemcy”, którzy chociaż nie popełnili żadnego konkretnego przestępstwa, jednakże mogą okazać się niebezpieczni dla celów polityki sojuszniczej w Niemczech”. A więc nie tylko zbrodniarze wojenni i ich pomocnicy. To już jest coś, jeśli zważymy,

że ustawa ta po raz pierwszy obejmuje wszystkie strefy okupowanych Niemiec. W dyrektywie jest uwaga, że władze wojskowe zastrzegają sobie prawo decyzji w sprawie określania tego, co uważają za niebezpieczne dla swych celów. Dla kontroli oraz inwigilowania każdej osoby wystarczy fakt, że zostaje ona uznana za potencjalne źródło niebezpieczeństwa.

Ta klauzula jest prawdopodobnie wynikiem ostatnich doświadczeń oraz wypływa z motywów procesu norymberskiego, w czasie którego obrońcy skazanych przywódców usiłowali pewne przestępstwa uznać za kryminalne kwestionować formalnymi przesłankami. Aby nie wprowadzać chaosu w sprawach niejednokrotnie dość skomplikowanych, władze zastrzegły sobie ostateczną decyzję. Dyrektywa stwierdza przy tym, że sam fakt przynależności partyjnej, jako takiej, nie jest karalny. Wymagana jest wina. Tam gdzie jej nie ma, należy zawsze liczyć się z uwolnieniem od kary, tam jednak, gdzie granica przestępstwa została przekroczona — kara jest nieunikniona aż do zupełnego wyłączenia z życia obywatelskiego, a w wypadku zbrodni wojennej — i z życia doczesnego. Dyrektywa, rozumiejąc, że milionów nie można zabijać cywilnie lub fizycznie, stara się uderzyć w tych, którzy byli lub mogą stać się rozsądnymi brzońmi zarazy.

Dyrektywa wprowadza podział wszystkich przestępców wojennych, hitlerowców i militarystów na pięć kategorii: 1. głównych zbrodniarzy, 2. zbrodniarzy, 3. zbrodniarzy drugiej kategorii, 4. karierowiczów partyjnych oraz 5. zrehabilitowanych, którzy będą mogli wykazać przed komisjami, że nie podpadają pod wyżej podane grupy. Klasyfikacja wszystkich przestępców i osób niebezpiecznych (nowy termin, którego dawna ustawa nie знаła), oraz wszczęcie postępowania i wykonanie wyroku przeprowadzane będą przez specjalne organy, które będą wyznaczane i odpowiedzialne przed komendantami poszczególnych stref okupacyjnych. Dyrektywa zastrzega jednak, że i sami komendanci będą mieli prawo zastrzegowania poszczególnych osób do grup, według swego uznania. Chodzi tu o to, aby w pewnych wypadkach nie pozostawić wyłącznej decyzji Niemcom. Ostatnie doświadczenia są powodem tego przepisu. Aby przestępcy nie mogli uciec sprawiedliwości, komendanci poszczególnych stref mają prowadzić ewidencję zbrodniarzy i wzajemnie się informować. I ten przepis jest wynikiem nabytego doświadczenia. Odtąd zbrodniarz hitlerowski nie będzie mógł zasłaniać się innymi przepisami, jeśli zbiegnie ze wschodu np. na północ. Wszędzie dosięgnie go ręka sprawiedliwości międzynarodowej. Dyrektywa jednocześ-

nie zastrzeżę, że jej przepisy bynajmniej nie uszczuplają praw zarządzenia Rady Kontroli o zbrodniach popełnionych przeciwko pokojowi i ludzkości.

Sieci więc zagęszczają się. Coraz trudniej będzie żyć z piętnem hitlerowskim na czole. Zwłaszcza że i sąsiedzi czuwają, a donosicielstwo kwitnie w tej krainie jak nigdy dotąd. Rzucone przez Hitlera w naród powiedzenie, że „Niemcy kochają zdradę” wydaje teraz swoje owoce.

Kary przewidziane dla zbrodniarzy wojennych i militarystów są ciężkie. Kara śmierci, więzienie dożywotnie, internowanie na dziesięć lat i więcej, konfiskata majątku oraz utrata praw obywatelskich. Ponadto, nawet po odcierpieniu kary pozbawienia wolności, skazany przez pięć lat nie może wykonywać innej pracy, jak zwykłego robotnika. Karierowicze podlegają mniejszym zasadniczo karom, ale życie ich stale kontrolowane będzie przez władze policyjne. Mogą też oni, jeśli dorobili się nielegalnie majątku, otrzymać polecenie wypłacenia odpowiednich sum na konto odszkodowań wojennych.

W zasadniczych liniach nowa dyrektywa nie bardzo odbiega od starej „konstytucji denazifikacyjnej” z marca 1946 r., jaka obowiązywała w strefie amerykańskiej. Zaostrzono jedynie sankcje oraz prace komisji poddano silnej kontroli czynników wojskowych. A już rzeczą władz okupacyjnych będzie nie dać się wystrychnąć i tym razem na dudków.

Może Niemcy przestaną dowcipkować na temat denazifikacji, kiedy zobaczą, że to nie żarty. Nic dziwnego, że dotąd stroili figle, skoro, jak podały pisma niemieckie, w strefie amerykańskiej na liczbę sześciu milionów złożonych „fragebogenów” wydano zaledwie 8 tysięcy decyzji i te jeszcze nie wszystkie wykonano.

Minister denazifikacji, p. Pfeiffer, będzie musiał tym razem lepiej zakasać rękawy.

Przyda się to nie tylko jemu!

AUF DEN STRASSEN DES SIEGES

1. ARMIA NIEMIECKA JESZCZE ISTNIEJE!

To nie jest żaden paradoks ani przerośnięta poetycka, lecz zwykła, najprawdziwsza prawda. Armia niemiecka jeszcze dotąd istnieje, mimo że od końca wojny upłynęło tyle czasu, mimo że toczył się proces w Norymberdze, gdzie Wehrmacht jako organizacja był pod ciężkim oskarżeniem, mimo że jest okupacja czterech państw w Niemczech i nie ma wobec tego centralnego rządu niemieckiego. Policja niemiecka chodzi przeważnie bez broni, a tu nagle okazuje się, że na ziemi niemieckiej znajduje się wcale nieźle uzbrojona armia niemiecka.

Już od dawna przebąkiwano w Berlinie, a nawet w Warszawie, że gdzieś w północnych Niemczech znajdują się dotąd nierozbrojone, liczne i zwarte oddziały Wehrmachtu.

Przekonałem się na własne oczy, że taka armia istnieje. Wojsko to jest w strefie brytyjskiej. Zresztą dla każdego cudzoziemca, który przejeżdża przez strefę brytyjską, wydaje się rzeczą co najmniej dziwną jeśli nie oburzającą, że tutaj właśnie byli oficerowie niemieccy czują się najlepiej. Chodzą po ulicach Brunświku, Hanoweru czy Hamburga z butnymi minami, w pełnym mundurze z naramiennikami, dystynkcjami oraz wszystkimi orderami hitlerowskimi. Tego nie zobaczy się ani w amerykańskiej strefie, ani w rosyjskiej, ani we francuskiej, gdzie oficer czy żołnierz niemiecki nie miałby odwagi nawet wyjść w takim stroju na ulicę. Inaczej w dominium brytyjskim. Anglicy traktują ich jak swoich biednych krewnych, uprawiając swoją politykę, równie ciekawą, jak niebezpieczną.

Z końcem wojny Brytyjczycy otoczyli wielką armię niemiecką w okręgu Schleswig-Holstein, graniczącym, jak wiadomo, z Danią. Armia ta liczyła dwa miliony żołnierzy, którzy ściągali tu z różnych frontów, spodziewając się właśnie pod brytyjskim sztandarem bezpiecznego azylu. Początkowo Anglicy mieli wiele

kłopotu z tak licznym towarzystwem, powoli jednak zaczęli rozładowywać ten nawet dla nich pod wieloma względami już niebezpieczny rezerwuár sił niemieckich. Po wyłączeniu marynarzy, zwolnieniu rolników na żniwa, przetransportowaniu rannych do lazaretów i szpitali, wciąż jeszcze pozostawał w obozach milion doborowych żołnierzy niemieckich, którzy mało dotąd mieli styczności z frontem, gdyż przebywali poważnie w Danii i Norwegii oraz północnych okęgach Niemiec, które poddały się Anglikom prawie bez walki. Milionowa armia niemiecka stała się dla Brytyjczyków poważnym problemem.

Z końcem grudnia w Berlinie głośnie mówiono już w kołach dziennikarzy zagranicznych, że pół miliona żołnierzy niemieckich będzie skoszarowanych na prawach kombatanów. Sprawa zaczęła niepokoić wszystkich, zwłaszcza Rosjan, którzy graniczą ze strefą brytyjską.

Jak więc sprawa wygląda w istocie?

Okazuje się, że w Hamburgu działa nadal kwatery główna *Wehrkreisu X* (to samo, co u nas D O W), którą Brytyjczycy swego czasu razem z całym sztabem wzięli do niewoli. Utworzono tutaj tzw. *Deutsches Hauptquartier Nord*. Instytucja ta dzieli się z kolei na dwie strefy: strefę „F”, która obejmuje obszar prowincji Schleswig-Holstein i półwyspu Oldenburg oraz strefę „G”, obejmującą obszar trzech małych półwyspów, tam gdzie Kanał Kiloński wpada do Morza Północnego. Strefa „F”, która liczyła jeszcze w listopadzie 1945 r. 650 tysięcy żołnierzy, pozostaje pod dowództwem generała - porucznika Stockhausena, strefa zaś „G”, licząca do niedawna 350 tysięcy ludzi, pod dowództwem generała - porucznika Witthofa. Obecnie obie te grupy są zespolone administracyjnie w jedną całość i całkiem niezależne pod tym względem od administracji brytyjskiej. Mają własne, dawne zaopatrzenie, umundurowanie, transport. Mają też własny statut organizacyjny. Oficerowie niemieccy nadal sprawują władzę dyscyplinarną nad załogami. Trzy tysiące niemieckiej Feldpolizei odpowiada za bezpieczeństwo wewnątrz obozów wojskowych. Jest ona uzbrojona.

Anglicy oczywiście demobilizują powoli tę armię. Strefa „G” na początku grudnia 1945 r. została prawie że rozparcelowana i mało co z niej zostało. Na terenie strefy „F” przebywa do dziś dnia kilkaset tysięcy żołnierzy niemieckich, podzielonych na korpusy pod dowództwem pięciu generałów: Gumbela, Hekera, Ausata, Janka i Chilla. Ostatnio generał Chill został zastąpiony przez generała Pflugbeila, gdyż miał zwyczaj codziennie spać do godziny dwunastej, co wwołało sprzeciw Niemców. W każdym razie był to jedyny generał, który naprawdę uwierzył

w koniec wojny. Żołnierze mieszkają albo w barakach, albo w domkach chłopskich. Tutaj zebrali się pogrobowcy militarystyki niemieckiej, wiedząc po wsiach i miasteczkach oldenburskich żywot pełen wyczekiwania na nowy cud wojenny. Spotykamy tu mundury wszystkich jednostek niemieckiego wojska, przy czym mundury żołnierzy z frontu wschodniego stanowią wyraźny kontrast na tle eleganckich frenczów jednostek, które przebywały w Norwegii czy Danii.

Piechota, grenadierzy pancerni, spadochroniarze, jednostki paramilitarne, jak RAD, DAF, *Arbeitsdienst*, *Organisation Todt*, a nawet *Volkssturm* — wszystko to razem stanowi jeden niebezpieczny amalgamat pruskiego militarystyki, który tutaj, na własnej ziemi, nadal roi sen o szpadzie.

Jak zapewniają Brytyjczycy, zabawa ta potrwa niedługo. Powołane przez Anglików do życia *Deutsches Hauptquartier Nord*, które rezyduje w dawnym *Wehrkreis X* w Hamburgu, ma przeprowadzić demobilizację tych żołnierzy pod brytyjską kontrolą. Ale kto zna miejscowe stosunki, wie doskonale, jak ta kontrola w rzeczywistości wygląda i jak często terminy są przesuwane.

Dowódcą Kwatery *Nord* jest generał wojsk pancernych Hans Cramer, który był następcą Rommla w Afryce. Dotąd nosi jeszcze oliwkowy mundur niemieckiego korpusu afrykańskiego ze wszystkimi odznaczeniami. Został on wzięty do niewoli w Tunisie, zbiegł do Rzeszy w roku 1943, wziął ponoć udział w spisku lipcowym r. 1944 na życie Hitlera, za co dostał się do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu. Razem z nim znajduje się jego adiutant z *Afrika-Korps*, podpułkownik Bernau oraz szereg dawnych towarzyszy broni. Słowem, generał Cramer ma znów swoje stare środowisko. Urzęduje też z wielką pompą w pałacu *Am Plöner See* pod Hamburgiem.

Gdy widzi się tych oficerów maszerujących paradnie przed pomnikiem Hindenburga czy mknących w samochodach z urojonymi do pewnego stopnia rozkazami — są to przecież tylko jakieś nieważne zlecenia, albo salutujących z namaszczeniem swoich przełożonych, choćby już nawet zdemobilizowanych, ogarnia nas niesamowite uczucie. Widmo militarystyki pruskiej wyłazi ze wszystkich domków, baraków i ulic.

Patrząc na ten cały kolorowy tłum niemieckich żołnierzy, spacerujących swobodnie po Hamburgu, kolega mój, pewien znany dziennikarz amerykański, wyraził się: „To jest bardzo barwny obrazek, ale podobnie niebezpieczny jak wyspy kora-

lowe. Często jest tam trzęsienie ziemi. Lepiej w pobliżu takich wysp nie mieszkać..."

A właśnie żołnierze niemieccy trzymani są na wyspach oldenburskich.

Miejmy jednak nadzieję, że Brytyjczycy to szybko zrozumieją. Im szybciej, tym lepiej dla umęczonej wojną Europy.

2. DYWIZJA 999

Sprawa jeńców niemieckich nie od dziś niepokoi opinię publiczną. Ostatnio zaś, dzięki wyczynom pewnych kół angielskich, nabrała posmaku wprost niezdrowej sensacji. Faryzeusze brytyjscy, dla których karta niemiecka pozostała ostatnim atutem w rozgrywce europejskiej, operują argumentem jenieckim *per fas et nefas*. Sekundują im w tej niebezpiecznej grze ich sojusznicy amerykańscy, często dając się wodzić za nos swym bardziej doświadczonym krewniakom znad Tamizy. Sprawa jeńców niemieckich bowiem ma i drugą stronę medalu, o której normalny zjadacz chleba nie ma wcale pojęcia.

Podczas bowiem gdy Anglicy przyjmują jeńców przy stole wigilijnym, a Jankesi bawią się w św. Mikołaja, obdarowując berlińczyków czekoladą i owocami, kosztem głodujących narodów Europy, których zagłady tak pragnęli „owi tak bardzo doświadczeni przez los Niemcy” — jak ubolewał niedawno pewien pastor brytyjski — nadchodzą do nas wiadomości o innej kategorii jeńców, których niesamowite wprost dzieje dają wiele do myślenia.

Podczas gdy Anglicy zwalniają z obozów jeńców niemieckich, nawet hitlerowców i zawodowych militarystów, w Egipcie do dziś dnia gniją za drutami kolczastymi żołnierze niemieccy, nieprzejechni antyfaszyści, członkowie słynnej Dywizji 999, którą Hitler stworzył celem zgładzenia wewnętrznej opozycji. Gdy sojusznicy żywili najlepszymi konserwami arystokrację militaryzmu pruskiego i podejmowali Goeringa śniadankiem nazajutrz po jego aresztowaniu w Bawarii, żołnierze - antyfaszyści padali ofiarami skrytobójczych mordów w obozach jenieckich, a tajne gestapo szalało w lagrach amerykańskich. Dokumenty i listy, jakie miałem w ręku, otwarte apele w prasie lewicowej Berlina przekonały mnie o koszmarnym gehennie, jaką przechodziła garstka prawdziwych demokratów niemieckich, która z narażeniem własnego życia uciekała w czasie walk na stronę aliantów.

Ludzie ci dotąd trzymani są w obozach, jak parszywe owce, których nie należy wpuszczać do kraju. Deleguje się natomiast zacieklej nacjonalistów, albowiem to odpowiada polityce zmurszałej reakcji światowej, która wszędzie pragnie mieć swoich agentów.

Posłuchajmy jednak jaki los spotkał tych, którzy mieli odwagę w „brunatnej epoce” myśleć i działać inaczej niż ogół ziomków.

Oto historia Dywizji 999.

W październiku 1942 r. powstała na rozkaz Hitlera Dywizja 999. Spodziewano się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Dywizja ta składała się bowiem z niemieckich antyfaszystów, których ściągnięto z obozów i wysłano na front, dając im miraż wolności. W istocie, sądzono, że część tych wrogów reżimu polegnie w boju, druga część zaś będzie dalej walczyła. Dla zabezpieczenia przed buntem, włączono do jednostki tej również zawodowych kryminalistów, którzy mieli „czuwać” nad porządkiem i wiernością Dywizji 999.

Dywizję w marcu 1943 r. wysłano na front afrykański. Przy pierwszym jednak starciu lwia część dywizji przeszła na stronę sojuszników. Niemieccy antyfaszyści zostali odesłani do amerykańskich obozów dla jeńców w Stanach. I teraz zaczęła się ich golgota. Przeczuwając, że sprawa ta nie przejdzie im gładko, już w drodze antyfaszyści łączyli się w grupy, gdyż spodziewali się bojkotu ze strony jeńców niemieckich, zapalonych hitlerowców.

Już w pierwszych obozach przejściowych na ziemi angielskiej hitlerowcy zamordowali kilku antyfaszystów, którzy po upadku Tunisu i Stalingradu głośno opowiadali, że wojna jest przegrana. Odtąd mordy polityczne w obozach stawały się coraz częstsze i coraz bardziej wyrafinowane.

Antyfaszyści zostali umieszczeni w osobnych obozach. Ludzie ci postanowili nie próżnować i przy pomocy biuletynów informować pozostałych Niemców o faktycznej sytuacji na froncie. Robota ta nie podobała się jednak władzom obozowym. Antyfaszystów włączono na powrót do ogólnych obozów, choć umieszczeni zostali w osobnych blokach. Hitlerowcy i obecni wśród nich agenci gestapo rozpoczęli natychmiastową akcję przeciwko tym „zdrajcom ojczyzny”. Jednej nocy czterystu jeńców napadło na barak antyfaszystów. Wywiązała się walka, gdyż mieszkańcy baraku czuwali. Dopiero po godzinie zacieklej bijatyki władze amerykańskie — mimo że napadnięci wzywali kilkakrotnie policji wojskowej — zdecydowały się ingerować.

Później dochodziło do starć nawet pod okiem żołnierzy i wartowników amerykańskich.

Prasa amerykańska motowała te skandaliczne wypadki bicia i dręczenia jeńców niemieckich, którzy zwalczyli hitleryzm, ale bez skutku. Agencja *Associated Press* podała kiedyś, że w obozie dla jeńców w Cheffes, Arkansas, znaleziono jeńca z roztrzaskaną czaszką. Leżał w łóżku, przykryty kocem. *New York Times* pisał kiedy indziej, że „hitlerowcy są nadal panami w niemieckich obozach jenieckich”. Okazało się, że znów w jednym z obozów powieszono antyfaszystę z Dywizji 999. Nierzadko zdarzały się i samobójstwa zaszczutych przez współjeńców antyhitlerowsko nastawionych żołnierzy niemieckich. W gazecie *German American* wydrukowano list otwarty żołnierza amerykańskiego, pracującego w obozach dla jeńców niemieckich, w którym m. in. pisał:

Jeniec niemiecki umarł nagle w obozie C. Należał do Dywizji 999, która przeważnie składała się z politycznych przestępców. Został po prostu zadrzęcony przez kolegów, ponieważ miał odwagę myśleć demokratycznie. Władze amerykańskie tolerowały ten stan, mimo licznych skarg zmarłego. Nie ustalono w jaki sposób zmarł ten człowiek. Wiem jednak, że nie jest to pierwsza ofiara terroru gestapo na terenie naszych obozów dla Niemców. Najciekawszy jest fakt, że trumnę jego nieśli żołnierze SS w uniformach, okrywшы ciało sztandarem ze swastyką, podczas gdy inni śpiewali *Horst Wessel Lied*. Działo się to w Stanach Zjednoczonych Ameryki, która znajdowała się w stanie wojny z Hitlerem.

Władze milczały, a gazety wciąż ostrzegały. Oto tytuły wiadomości, pochodzących z obozów jenieckich w Ameryce: „Czy terror gestapo nadal będzie rządził w obozach?”. „Kapturowe mordy w obozach”, „Tajemnicza śmierć w obozie Concordia (Kanzas)”, „Dwa wyroki śmierci na antyfaszystów niemieckich w obozie Huntsville w Texas” itp.

Władze nie ukarały nikogo ze sprawców, nie pomszczono też śmierci niemieckiego tłumacza obozowego Kraussa, którego za mordowano, a poćwiartowane ciało wrzucono do latryny obozowej.

Jedyne co uczyniono, to z powrotem zebrano wszystkich antyfaszystów we wspólnym obozie w Mc Cain (Missisipi), ale umieszczono politycznie wyrobionych antyfaszystów ze złodziejami, oszustami i homoseksualistami. Członkowie Dywizji 999 nie ukrywali swego zdumienia. Nie pozwolono im na żadną pracę polityczną, nie dano im również samorządu obozowego, który jednakże mieli jeńcy hitlerowcy. Działo się to w tym samym cza-

sie, kiedy w obozie „Oklahoma” drukowano ulotki ze swastyką, kolportowane wśród pobliskich mieszkańców. W tym samym obozie hitlerowcy zniszczyli wszystkie książki o tendencjach demokratycznych, obchodzili corocznie dzień urodzin Hitlera, którego portrety widniały w salach.

A władze milczały.

W obozie Mc Cain widniał wielki napis „No politics!”.

Kiedy pewien jeniec z Dywizji 999, więzień Buchenwaldu, chciał ogłosić swoje wspomnienia obozowe, jakiś hitlerowiec, który je przeczytał, zawołał: „Trzeba dać znać do Niemiec, aby rodzinę tego łobuza rozstrzelano!”. Obecny przy tej rozmowie autor spoliczkował denuncjanta. Sprawa oparła się o władze wojskowe obozu. Autor pamiętnika, antyfaszystowski jeniec otrzymał 14 dni aresztu...

Dopiero po zakończeniu wojny, warunki dla członków Dywizji 999 nieco się polepszyły. Przestano ich mordować, ale nie przestano szykanować. Gdy innych zwalniano do domów, im kazano czekać cierpliwie. Gdy hitlerowcy wracali do domów i obejmowali przy pomocy komisji denazifikacyjnych kluczowe nieraz stanowiska, starzy bojowcy i antyfaszyści ginęli nadal w obozach amerykańskich. Siedzą tam do dziś, albo też przesłani zostali do obozów angielskich. Kiedyś jeden taki transport wysłano na roboty do Belgii. Sądząc, że chodzi tu o zagorzałych hitlerowców, których przysłano na ciężkie roboty, ludność belgijska surowo ich potraktowała, zatrudniając przy ciężkich i niebezpiecznych robotach. W tym samym czasie pan Pfeiffer w Bawarii denazifikował zbrodniarzy wojennych I klasy...

Takie były losy Dywizji 999.

Zapomniani przez własny naród, opuszczeni przez przyjaciół, prawdziwi demokraci niemieccy, którzy nie ulękli się walki z Hitlerem w jego własnym legowisku, wiodą swój nędzny żywot w obozach amerykańskich albo rąbią drzewo na Alasce.

A ciągle słyszymy z ust anglosaskich, że niestety, nie ma ludzi do pracy w Niemczech.

3. ZACZEŁO SIĘ OD ERLANGEN...

Byłem niedawno w Erlangen, w mieście w którym młodzież akademicka wygwizdała dobrego pastora Niemoellera, za to, że miał odwagę powiedzieć jej kilka słów prawdy. Erlangen, czyste, schludne, przez wojnę prawie nie tknięte miasteczko bawarskie, stało się po tej demonstracji czymś w rodzaju niemieckiego Picomtu, dokąd ściąga potajemnie cała młodzież niemiecka, która

nie chce pogodzić się z aktem klęski i ekspiacji. Nastrój ten wyczuwa się już na ulicy. Przede wszystkim, nie widać tu Amerykanów. Po drugie ksenofobia daje się we znaki na każdym kroku: w sklepie, w kinie, na dworcu czy w autobusie. Na każdym kroku rośnie draby, o pociętych policzkach, burszowskie, nalane mordy, patrzące z ukosa na obcy mundur, a coś dopiero na polski. Nieprzyjemna atmosfera. Ośrodkiem wszystkich poczynań jest tutaj oczywiście uniwersytet — kuźnica dywersji i buntu.

Przypuszczam, że stąd cały tajny ruch młodzieży promieniuje na Bawarię i Niemcy. Stąd pewno wychodzą anonimy do wszystkich redakcyj z pogrózkami, stąd członkowie *Acht und Acht* kolportują swe ulotki i napisy na murach i słupach. Otrzymałem ostatnio taką kolekcję ulotek i listów. Sałatka sloganów z dzieł Rosenberga i Goebbelsa. Czegoż zresztą innego można by się spodziewać po tych „studentach”, a właściwie zakonspirowanych oficerach SS i Wehrmachtu, którzy tutaj znaleźli schronienie? Z Erlangen poczta idzie do Getyngi, a stąd do Heidelbergu. Mamy więc już trójkąt. Jest on zarazem rezerwatem ostatnich pogrobowców hitlerowskiego reżimu.

Procesy przeciwko uczestnikom różnych tajnych organizacji młodzieżowych wykazały, że podczas gdy władze okupacyjne ciągle zastanawiają się, co zrobić z młodzieżą niemiecką, zakonspirowane komórki hitlerowskie mają już swój program. I powoli starają się go realizować. Grunt jest szczególnie podatny, a stanie się jeszcze podatniejszy, gdy powrócą z niewoli młodzi żołnierze niemieccy. Jeśli dziewczęta niemieckie dają sobie radę, korzystając z profitów fraternizacji, coś począć mają młodzi chłopcy, którzy nie chcą więcej zbierać niedopałków na ulicach, a apetyt też dopisuje? Mimo wszystkich łagodzących przepisów o denazyfikacji, wielka ilość młodzieży wyrzucona została poza nawias normalnego życia.

Miałem kiedyś okazję rozmawiać z pewnym rozumnym Niemcem, który cieszy się uznaniem zarówno nacjonalistów jak i demokratów. Zapytałem go, co sądzi o wychowaniu nowego pokolenia niemieckiego na tle tych wszystkich tendencji, które teraz nurtują i w przyszłości nurtować mogą społeczeństwo niemieckie. „Młodzież niemiecka, oświadczył mi nie bez troski ten człowiek, znajduje się w daleko gorszej sytuacji niż my, którzy żyliśmy w republice weimarskiej. Klęska zastała ich na takim gruncie, z którego ciężko jest wystartować tak nagle w inne życie.

Dzisiaj młody człowiek widzi bohaterów hitlerowskiego nimbu, wypranych ze sławy i godności, na ławie norymberskiej.

Trzeźwo musi patrzeć w zimną, pozbawioną romantyzmu przyszłość. Możliwe, że ojciec jego walczy o posadę albo już ją utracił. On sam załamanie się Niemiec przeżył na froncie lub fabryce. Dom jego spalony, matka zgnębiona, bracia zginęli albo w niewoli... cóż mu teraz pozostaje? Czyż można dziwić się, że idzie po linii najmniejszego oporu? Młodzież tę można pozyskać tylko nowymi ideałami albo wiarą. Ale skąd dziś wziąć nowe ideały? Nasza młodzież, ciągnął dalej mój rozmówca, sprawia poniekąd wrażenie „wędrowców poprzez dwa światy”, z których jeden zwał się w gruzy, a drugi objawia im się w pustych sloganach. Ale młodzież rozczarowała się do sloganów, transparenty nie trafiają już jej ani do rozumu, ani do serca, gdy w uszach ciągle brzmia jeszcze echa niedawnych fanfar i werbli.

Mówić młodzieży o demokracji? Pięknie, ale czy potrafi ją tak zrozumieć, żeby dźwięk tego słowa zdołał zagłuszyć choćby nawet i szmery „szeptanej” po kątach propagandy odwetu?”. W konkluzji mój Niemiec dodał: „Moim zdaniem, naszą młodzież trzeba czymś zająć, trzeba odwrócić jej uwagę od klęski i głodu, podniecić jej wyobraźnię nową perspektywą. Dokonać tego może nawet jeden człowiek, który potrafi stworzyć jakiś program. Samym negowaniem tych czy innych ideałów niczego się u nas nie dokona...”.

I znów utkwiliśmy na martwym punkcie. Trudno, dusza niemiecka nigdy nie zrozumie istoty demokracji i podświadomie wciąż marzyć będzie o „jednym człowieku”.

A teraz — inny punkt widzenia: zwycięzcy.

Pewien dziennikarz amerykański, który zwiedzał szkołę w Wiesbaden, zapytał chłopca w czwartej klasie nowootworzonego gimnazjum: „Kto wywołał wojnę?” „Żydzi i Polacy”, odpowiedział szybko chłopiec. Na zapytanie, czy wie, z jakich powodów Ameryka przystąpiła do wojny, uczeń odpowiedział jak z katechizmu: „Ponieważ Amerykanie zazdrośni byli o przemysł niemiecki...”. W niższej klasie, dziewięcioletni chłopczyk na pytanie korespondenta, co sądzi o Murzynach, odpowiedział: „Murzyni, zdaniem Hitlera (dzieci niemieckie wciąż cytują Hitlera jako autorytet) są złym narodem. Aby ich ukarać, Pan Bóg zrobił ich czarnymi...”.

W innej szkole zdarzył się taki wypadek, że synek pewnego oficera SS, który znajduje się obecnie w obozie, stał na czele bandy, która formalnie sterroryzowała małego Żyda niemieckiego, którego ojciec zginął w Buchenwaldzie; sierotę oddała do szkoły niemieckiej UNRRA. Po kilku tygodniach chłopiec uciekł z klasy, a nauczyciel nie uważał nawet za stosowne usprawiedliwić się. W takim duchu wychowywani są malcy od 7 do 12 lat. Ale

i to nie jest dziwne, skoro sami Amerykanie przyznają, że w szkołach mają teraz do dwóch milionów dzieci, ale przeważnie stare podręczniki. Te same książki, które zalecali Rosenberg, Streicher i Baldur von Schirach.

Oglądałem te podręczniki. Na każdej stronie dewiza *Blut und Ehre* przypomina młodym Niemcom o ich obecnej sytuacji. A opowiadania o bohaterach i bogach germańskich, opowiadki i legendy z wojen światowych nie nastrajają młodych Fritzów bynajmniej pokojowo. Posługiwanie się podręcznikami sprzed 1933 r. też nie wydaje się godne polecenia, skoro i w nich nie brak szowinizmu i przebłysków idei rewanzu. „Stracone, ale nie zapomniane” nosi tytuł książka szkolna, podręcznik geografii, pełna insynuacji i inwektyw politycznych pod adresem Polaków, Czechów, Belgów i Francuzów. A więc i te książki są niezlą pożywką dla małych szowinistów.

Prócz odpowiednich książek brak jest oczywiście i nauczycieli. Już w czasach republiki weimarskiej narzekano na nich. Nauczyciel niemiecki był zawsze zatwardziałym reakcjonistą. Wierzył we Fryderyka Wielkiego i posłannictwo Niemiec. Jeśli trudno o nowe książki, jakżeż ciężko jest dziś o personel nauczycielski! Hitler wychował sobie wierny korpus wychowawczy.

Łańcuch tych trudności idzie poprzez szkolnictwo średnie do wyższego. I wszędzie te same problemy: podręczniki i wychowawcy. O ile na niższych szczeblach działa instynkt i posłuszeństwo, o tyle na wyższych dochodzi do tego jeszcze rozum. Reasumując to wszystko, przyjmijmy chyba bez zdziwienia fakt, że studenci niemieccy czują dziś tak samo jak za czasów republiki weimarskiej: walczą o narodowe Niemcy, nienawidzą demokracji, Żydów, Polaków oraz okupantów. I mają naród za sobą. Pewien poważny profesor oświadczył po zajęciach w Erlangen i Darmstacie: „Dzięki Bogu, że mamy jeszcze taką młodzież”. A przecież staruszek ten nigdy nie był hitlerowcem.

Nowe wychowanie, o jakim wciąż myślą Anglosasi moim zdaniem w tych warunkach jest mrzonką. Zwłaszcza jeśli z jednej strony natrafia na zupełną dezorientację i nieudolność okupantów, a z drugiej strony na świadomą swych celów politykę wszystkich narodowo myślących Niemców. Inni i tak się przecież nie liczą.

Walka o pozyskanie młodzieży, zanim jeszcze się rozpoczęła, już została przegrana. Wiedzą o tym i Niemcy, dlatego też zachowują się tak beczelnie i pewnie. Przyznają to w wypowiedziach i dyskusjach obie strony.

I to jest pierwsze zwycięstwo niemieckie po wojnie.

4. OPERATION „NURSERY”

Historia o Arthurze Axmannie i jego niespodzianie odkrytej tajnej organizacji obiegła całe Niemcy i świat, wywołując wielkie wrażenie, zwłaszcza wśród Niemców. Oto nareszcie zdecydowali się na jakiś odruch i zanim zdążyli jeszcze dokonać czegokolwiek już wszystkich hersztów wpakowano do więzienia. Ci sami Niemcy, którzy jeszcze kilka miesięcy temu zapewniali mnie solennie, że Niemcy nie myślą o wojnie ani o odwecie, ale chcą nareszcie w spokoju odbudowywać swój zniszczony kraj i złamane życie, teraz po prostu z łzami w oczach wołali: „I znów wszystko na nic!... Ale trzeba dalej walczyć, choćby przyszło jeszcze większe ponieść ofiary”.

Młodzież hitlerowska już nazajutrz po klęsce podjęła z popiołów porzuconą buławę Goeringa i swastykę schowała pod klapę wytartego *Waffenrocku*. Wszystkie te *Wehrwolfy*, *Maililie*, członkowie *Acht und Acht* itp., to tylko, jak się teraz okazało, komórki jednej wielkiej organizacji podziemnej, na której czele stanęli wytrawni działacze dawnego *Hitler-Jugend* i BDM.

Organizacja, jaką agenci CIC (*Counter Intelligence Corps*) wykryli, była obliczona nie tyle na działalność sabotażową czy dywersyjną, lecz raczej nosiła charakter walki długofazowej i wielofazowej, gdyż zarówno schwytany obecnie Arthur Axmann jak i jego zastępca Willi Heidemann doskonale zdawali sobie sprawę, że tą drogą niczego w tym okresie nie dokonają, skoro głód i nędza bardziej interesuje większość Niemców od jakichkolwiek patetycznych porywów. Celem tej organizacji było zbadanie całego terenu, podsycanie wśród młodzieży „świętego” ognia ksenofobii i umacnianie jej we wierze hitlerowskiej. Nie chodziło więc tym ludziom o walkę bezpośrednią, chociaż i ona była w planie, ale właśnie o infiltrację urzędów, składów, magistratów, policji i prasy, aby w dogodnym momencie, kiedy wreszcie ludziom znudzi się okupacja, a i sojusznicy będą jej mieli dosyć, (w co święcie wierzy spora grupa Niemców), byli przygotowani do objęcia władzy według zasad narodowo-socialistycznych. Zdaniem przywódców spisku, podsycanie wiary hitlerowskiej, jak również obrona przed miazmatami zachodu i wschodu ustrzegą młodzież przed „bakcylem demokracji” i pchną ją, gdy nadejdzie właściwa pora, na posterunki gotowe do dalszej walki.

W tej chwili śledztwo nie jest jeszcze ukończone, dalsze aresztowania są w toku. Prasa donosi o dalszym, pomyślnym rozwijaniu się tej akcji, której kryptonim brzmi *Operation Nursery* (*Nursery* znaczy tyle co opieka).

Złapano prawie wszystkie ważniejsze ryby tego ruchu, pozwalając plotkom pływać nadal, do czasu, aż wszystkie nici będą w rękach agentów CIC. Najciekawsze bowiem jest to, że na ślad tego spisku natrafiono właśnie dzięki tym działaczom drugorzędnym, którzy poróżniwszy się o stanowiska i rangi jedni drugich oskarżyli przed władzami okupacyjnymi. W ten sposób już w grudniu 1945 r., aresztowano Axmanna, który znajduje się na liście zbrodniarzy wojennych, oskarżony o to, że po Baldurze von Schirach kontynuował dzieło militaryzowania młodzieży i podlegania jej do wojny. On wystawił osławione dywizje *Hitler-Jugend*, które paliły podczas inwazji czerwcowej północną Francję, mordowały jeńców i osoby cywilne, zgodnie z przykazaniami wodza. W ciągu 10 miesięcy wyłowiono ponad 1000 „małych führerów”, którzy mieli z czasem zastąpić poległych lub zgładzonych swych dawnych nauczycieli i dowódców.

Aresztowani ani nie próbowali się bronić, ani też nie zaprzeczali niczemu. Spora ilość tych spiskowców pracowała w urzędach władz okupacyjnych, gdyż Axmann i Heinemann starali się swych ludzi umieszczać gdzie tylko było można. Z kolei jedni protegowali drugich, tak że wytworzył się istny łańcuch protekcji. Ale zazdrość i egoizm tych ludzi sprawiły, że zamiast wierności zdrada była pierwszym ich uczynkiem. Jedni wydawali drugich, tak że obecnie, jeśli jeszcze tu i ówdzie istnieją jakieś resztki tej organizacji, jest już ona pozbawiona zarówno kierownictwa jak i środków pieniężnych.

Okazało się bowiem, że część kasy partyjnej zaraz po upadku Niemiec zabrał ze sobą Axmann, który potem z niej wypłacał swym ludziom pobory oraz finansował różne tajne wydawnictwa. Sam Heinemann założył przedsiębiorstwo transportowe i, pod płaszczykiem przewożenia mienia repatriantów, buszował po całym terenie Rzeszy. Ślady jego działalności prowadziły do wszystkich stref okupacyjnych. Jego agenci działali w różnych okręgach, jak oświadczyli schwytani pełnomocnicy spisku: Gustaw Memminger, Ernst Overbech i Willi Lohel, wszystko wysocy funkcjonariusze dawnej *Hitler-Jugend*. Cały zresztą spisak korzeniami swymi tkwił wśród członków tej organizacji. Wskazuje to jasno, że stosowanie łagodnych kar wobec byłych członków organizacji młodzieżowych jest podstawowym błędem całej polityki reedukacyjnej.

Wystarczy przyjść do jakiejkolwiek niemieckiej piwiarni lub na zabawę tzw. turn-clubów, aby przekonać się, czym żyje i jak żyje ta młodzież, którą niewcześni politycy gotowi są uznać za nieszczęśliwe i oszukane baranki. Jeśli przypomnimy jeszcze, że właśnie młodzież niemiecka pierwsza poparła Hitlera,

że oddziały SA i SS w przeważającej większości zwerbowane zostały spośród młodzieży, to wystarczy, aby otrzymać obraz, jaki w przyszłości przedstawiać będą Niemcy, jeśli nadal władze okupacyjne patrzeć będą przez różowe okulary złe pojętego samarytanizmu na te wszystkie wybryki i wyczyny Fritzów i Hansów.

Gazety niemieckie pełne są listów i artykułów na temat ciężkiego losu młodzieży niemieckiej. Jest to obłuda i fałsz. Jeśli kto dziś w Niemczech cierpi, to starzy ludzie, którymi młodzież pogardza, zgodnie z zasadami hitleryzmu, że starych i chorych należy spalać w krematoriach, jako nierentujący się kapitał ludzki.

Młodzież ma się nieźle, kto wie czy nie lepiej od naszej czy francuskiej młodzieży. Wyglądają zdrowo, ubrani są dobrze i są coraz bezczelniejsi. A o czym myślą i jakie są ich plany, najlepiej wskazuje ostatnio wykryty spisec. Związek Radziecki, jak zresztą i Polska, niejednokrotnie wskazywały na niebezpieczeństwo tej wałęsającej się „bez celu” młodzieży. Może teraz i nasi zachodni sojusznicy przestaną rozczulać się nad „niedolą” narodu niemieckiego i przejdą do konkretnego zrealizowania swych planów.

Program reedukacji, jaki kiedyś przedstawił gen. Eisenhower, jest niezły. Trzeba tylko dobrej woli, aby go wykonać. I na to czekają ci wszyscy, dla których niebezpieczeństwo niemieckie wcale nie należy jeszcze do historii.

AMERYKANIN W NIEMCZECH

1. BERLIN BEZ PRZEKLENSTW

Gród Albrechta Niedźwiedzia i Hohenzollernów jeżeli jest dziś może nie najbardziej zniszczonym miastem w Europie, jest w każdym razie — najbardziej upadłym. I to pod każdym względem. Jest istną wieżą Babel, miastem o młodym profilu i najgorszym klimacie politycznym. Miastem niecodziennych kontrastów, niezwykłych interesów, błyskotliwych karier. Niemcy nie przyznają się dziś do Berlina. Złorzeczą mu, wstydzą się swej dawnej stolicy, jak porządna rodzina wstydzi się upadłej krewniaczki.

Tym niemniej Berlin jest dziś syntezą tego, co się dzieje w Niemczech. Politycznie, moralnie i gospodarczo. Jest eksperymentalną próbówką, jaką czterech alchemików zanurzyło w błoto pohitlerowskie. Jest tygłem, w którym kipi wrzątek politycznych namiętności odradzającej się państwowości niemieckiej.

I dlatego, mimo swej brzydoty i ponurego bytowania, Berlin jest dziś może najciekawszym politycznie miastem w Europie. Dowodem tego są liczne kwatery prasowe oraz stały ruch dziennikarzy i reporterów, polityków i wojskowych, którzy — niczym jaskółki na wiosnę — ściągają do tego miasta pełnego na pozór marazmu i szpetoty.

Berlin stał się po wojnie tematem wielu książek, opowieści, reportaży i artykułów w prasie całej kuli ziemskiej. Bez przesady można powiedzieć, że przez stolicę Prus przewinęła się cała śmietanka światowego reportażu. Ludzie ci stwarzają cenny materiał dla historyka naszych czasów, współczesnym zaś dają obraz przemian i prądów, nurtujących naród niemiecki po klęsce.

Wiele tu wnikliwych i poważnych ocen, nie mniej fałszywych sądów lub tendencyjnych informacji. Nie od dziś jest przecież Berlin jarmarkiem szeptanej propagandy i kwaterą „szóstej kolumny”. Na specjalną uwagę zasługuje reportaż znanego dziennikarza amerykańskiego Williama L. Shirera, którego pamiętnik

pt. *Berlin Diary* (Pamiętnik Berliński), rozszedł się szybko w nakładzie ponad pół miliona egzemplarzy. Dziennikarz ten przebywał w Berlinie niemal do chwili wypowiedzenia Niemcom wojny przez Stany Zjednoczone.

Dzisiaj znowu odwiedził Berlin. Znał on to miasto jako najbardziej dumną stolicę świata. Teraz ta pycha skruszała. Poniższy obrazek martwego miasta, jak nazywa dzisiejszy Berlin, naskikowany jest przez człowieka, który znał każdą ulicę tego grodu z czasów jego świetności.

Jak znaleźć słowa dla wiarogodnego opisanie wielkiej stolicy, kiedyś potężnego narodu, zniszczonej prawie do niepoznania?

Jak opisać naród zwycięski, który był tak brutalnie arogancki, tak ślepo pewny swojej misji „wyższej rasy“, gdy wyjeżdżałem stąd pięć lat temu, naród, który się widzi teraz jak łązi na ruinach? Złamane, otumanione, trzęsące się, głodne istoty bez woli, celu, pozbawione kierownictwa, istoty które jak zwierzęta szukają pożywienia i schroniska, by jeszcze przez jeden dzień utrzymać się przy życiu.

Powiecie, że to nie jest przyjemne do obserwowania, ale że ostatecznie ci ludzie nauczyli się jednej rzeczy, a mianowicie, iż wojna się nie oplaca.

Chyba żalują dzisiaj, że tę wojnę wywołali i są zdecydowani nigdy więcej tego nie robić. Niestety, nie można powiedzieć, żeby tak było w istocie. Niemcy żalują nie tego, że wojnę wywołali, ale tego, że ją przegrali.

„Gdyby Hitler słuchał rad swoich generałów podczas kampanii rosyjskiej“, „gdyby nie wypowiedział wojny Stanom Zjednoczonym“, „gdyby cały świat nie zawział się na biedne Niemcy“ — jęczą i dodają „wtedy Niemcy wygrałyby wojnę i oszczędzone byłyby im dzisiejsze cierpienia“. Nie ma żadnego poczucia winy ani wyrzutów sumienia. Większość Niemców, z którymi się mówi, myśli, że nie mieli szczęścia.

Kilku z nielicznych przywódców demokratycznych, którzy się teraz ujawnili, starają się wytłumaczyć swoim rodakom rozmiary zbrodni popełnionej przez Niemcy i odpowiedzialność całego narodu za wiele z tych przestępstw. Ale to jest wysiłek beznadziejny.

Niemieccy przywódcy robotniczy, którzy obecnie wracają z wygnania lub z obozów koncentracyjnych, potwierdzili mi, że nawet większość klasy robotniczej jest zdemoralizowana przez nazizm. Robotnicy nie chcą sobie zdać sprawy, że ich wspaniały wysiłek przy budowie wojennej maszyny Hitlera i przy utrzymaniu jej w ruchu, robi ich odpowiedzialnymi za nędzę, do której Niemcy doprowadzili ludzką. Trzeba przyznać, że komuniści starają się im wytłumaczyć prawdę, natomiast socjal-demokraci uważają, że jedynie nazisci są winni.

Oczywiście nie brak odważnych Niemców, którzy nigdy nie należeli do partii narodowo-socjalistycznej. Większość z nich wychodzi z obozów koncentracyjnych, ciała zniszczone, lecz duch niezachwiany. Mówili mi o nowych Niemcach demokratycznych i uczciwych. Jest jednak jeszcze o wiele za wcześnie, by powiedzieć, czy będą mieli wielu zwolenników. Zresztą większość Niemców jest obecnie zbyt zajęta znalezieniem mieszkania, opalu, dostatecznej ilości żywności po-

trzebnej do utrzymania się przy życiu, by móc w ogóle myśleć jeszcze o czymś innym. A ci co starają się myśleć, są jeszcze tak otumanieni, że trudno sobie wyobrazić, by mogli zejść tak daleko. Jedyna rzecz, na którą zgadzają się wszyscy moi rozmówcy, zarówno komuniści, socjaliści, liberalowie, jak i chrześcijańscy demokraci, cztery partie dozwolone przez sojuszników w Niemczech, to zjednoczone Niemcy.

Ostatnio byłem na posiedzeniu w komendanturze sojuszników, która rządzi Berlinem. Słyszałem zwykle ploteczki, że Rosjanie mało wnoszą do współpracy, że Francuzi robią wielkie zamieszanie i że Brytyjczycy nie zawsze są pomocni. Tego dnia przewodniczył generał rosyjski Smirnow i przypomniałem sobie, jak mi opowiadano, że Rosjanie nigdy nie mieli najmniejszego pojęcia jak prowadzić posiedzenia międzynarodowe. Stwierdziłem jednak, że generał Smirnow przewodniczył świetnie, z wielkim taktem i humorem. Było się pod wrażeniem tolerancji i dobrej woli, które cechowały wszystkich czterech generałów, godzących się na kompromisy, by dojść do porozumienia we wszystkich dyskutowanych kwestiach.

Palącym problemem dla sojuszników, przede wszystkim w strefie amerykańskiej, jest: ile wielkich przedsięwzięć przemysłowych trzeba zlikwidować, by Niemcy nie mogli zagrozić wojną, a jednocześnie, ile tych zakładów przemysłowych trzeba zostawić, by zapewnić Niemcom życie nie gorsze, niż prowadzą ich sąsiedzi. Rozwiązanie tego problemu pozostawiła konferencja poczdamska Kontrolnej Radzie Sojuszników. Nie rozwiązali go jeszcze, ale pocą się nad nim. Wydaje się, że są dwie tendencje. Jedna, by uratować dużą część przemysłu dla Niemców. Druga, biorąca za punkt wyjścia przeświadczenie, iż Niemcy mogą żyć w pokoju, dysponując o wiele mniejszą częścią tego przemysłu. Kością niezgody jest tajny raport w tej sprawie, może za pośpiesznie przygotowany pod kierownictwem prof. Calvina Hoovera. Oszacowanie przez Hoovera produkcji, która powinna być pozostawiona, wydała się wielu ekspertom fantastycznie hojna. Ale Niemcy nie będą mieli wysokiej stopy życiowej przez przynajmniej pięć lat. Powiedzmy jednak, że nie będą jej mieli także Polacy, Holendrzy, Belgowie i inni, których Niemcy okradli, obrabowali i wymordowali.

W strefie amerykańskiej 60 procent ludzi żyje, odżywiając się niedostatecznie, ale nie mają na pewno mniej od tego, co Niemcy uważali za wystarczające dla narodów zawojowanych.

Niemcy oczywiście skarżą się i jęczą. Kilka dni temu redaktor jednej z gazet berlińskich umieścił na pierwszej stronie taką wzmiankę: „Nie tylko my głodujemy. Wszystkie państwa europejskie głodują. Głodują dlatego, że my, Niemcy, zniszczyliśmy wszystkie kraje, ukradliśmy ich trzody, zniszczyliśmy ich urodzaje. Głodują po raz drugi; po raz pierwszy gdyśmy ich napadli, a teraz po raz drugi, odradzając się po wojnie Hitlera. A jednak sojusznicy przysyłają nam teraz żywność w dostatecznej ilości, by umożliwić utrzymanie się przy życiu“.

Redaktor wyobrażał sobie, że Niemcy powinni sobie z tego zdawać sprawę. Ale powiedziałem mu, że jego doskonałe rozumowanie prawdopodobnie pozostanie bez echa. Obawiam się, że dużo czasu upłynie, zanim będzie to zrozumiane i ocenione przez ten otumaniony, chaotyczny kraj, należący ongiś do „wyższej rasy“...

Te słowa prawdy, napisane piórem uczciwego człowieka i bezstronnego obserwatora, powinni zapamiętać sobie przede wszystkim ziomkowie Williama Shirera, którzy aż nazbyt często popełniają niewybaczalne gafy polityczne.

2. DLACZEGO POWINNIŚMY OKUPOWAĆ NIEMCY?

Ostatnio na terenie strefy amerykańskiej w Niemczech, jak również w innych krajach, gdzie przebywa armia amerykańska, odbyły się liczne zebrania żołnierzy amerykańskich, popularnie zwanych GI, (od żartobliwej nazwy *Government Issue*, czyli wydawnictwo państwowe), a mające na celu jak najszybszą demobilizację i powrót do domu. Doszło do tego, że naczelnym dowódcą armii okupacyjnej, generał Mac Narney, musiał przyjąć delegację na pół zrewoltowanych żołnierzy, aby uspokoić ich umysły. Wreszcie zajął się tą sprawą kongres amerykański.

Z drugiej strony zarówno żołnierze, jak i prasa doceniają znaczenie okupacji oraz związaną z nią konieczność utrzymywania stałego kontyngentu wojska w Europie. W celu zbliżenia żołnierzy amerykańskich do problemów kontynentalnych, oraz wytłumaczenia im, że to, o co walczyli, musi być w każdym razie utrzymane i to właśnie dla dobra pokoju, pismo wojsk okupacyjnych, popularne *Stars and Stripes*, to znaczy „Sztandar Amerykański”, rozpisało niedawno konkurs na artykuł żołnierski pod tytułem: „Dlaczego konieczna jest armia okupacyjna”?

Na osiem tysięcy nadesłanych utworów, pierwszą nagrodę w wysokości 100 dolarów otrzymał sierżant Trzeciej Armii, Willi Hermann. Bardzo ciekawe i charakterystyczne są wywody laureata. Hermann pisze:

Niedawno pewien inspektor amerykański, wizytując szkołę niemiecką, zapytał 10-letniego chłopca: — „Kto wywołał wojnę?”

Chłopiec odpowiedział bez wahania: „Żydzi”.

Nauczyciel niemiecki wtrącił szybko: „Nie było dotąd czasu, aby sprostować wiadomości tego chłopca”.

Inspektor pytał dalej: „Co wiesz o obozach koncentracyjnych?”

Zanim jeszcze chłopiec zdolał odpowiedzieć, nauczyciel znów wtrącił: „po co odświeżać stare dzieje?” Stare dzieje!...

Ledwie upłynęło od końca wojny więcej niż pół roku, a Niemcy nazywają już to wszystko „starymi dziejami”. Oni chcą, abyśmy również jak oni szybko o wszystkim zapomnieli. My zapomnieliśmy o okrucieństwach niemieckich z pierwszej wojny. Nie uważaliśmy wtedy za właściwe okupować Niemcy i dlatego właśnie jeszcze raz krew młodszych amerykańskiej musiała obficie zrosić europejską ziemię. Nie walczyliśmy wtedy z nazizmem. To nie był również hitleryzm. To był

ten sam stary pruski przesąd o niemieckim nadczłowieku i *Deutschland über alles*. Ludzie kaisera śpiewali: „*Deutschland, Deutschland über alles, über alles in der Welt*“, a hitlerowcy — „*Denn heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt*“, co na jedno wychodzi...

Hitler miał tylko inne na to określenie, nazizm, ale to były właściwie te same Niemcy.

Militaryzm jest tradycją Niemiec. Dawno przed Hitlerem Niemcy wierzyli w potęgę broni oraz w zasadę „siła przed prawem“. Pokój dla Niemców oznacza jedynie przerwę między wojnami. Niemcy nie zapomnieli wskazań Fryderyka Wielkiego, który powiedział im: „Najlepszą drogą dla ukrycia waszych prawdziwych myśli jest utrzymywać pokój, dopóki nie przyjdzie odpowiedni czas na wyjawienie waszych prawdziwych zamiarów“.

Dopóki ta trucizna będzie działać na umysły niemieckie, dopóki Niemcy nie zostaną reedukowane i nie uwierzą w świat pokoju, by razem z nami zechciały pracować dla dobrobytu i postępu, nie uda nam się uspokoić Niemiec. Dopóki będą myśleć tylko o swoich planach zgodnie z programem ich szalonych i fanatycznych przywódców, dopóki nie uwierzą w to, że świat jutra musi być światem tolerancji i pokoju, dopóty nie uda nam się uspokoić Niemiec.

Do tego czasu nie powinniśmy opuścić Niemiec. A jeżeli to uczynimy, nie będziemy mogli powiedzieć, że wygraliśmy wojnę. Będziemy mieli jedynie drugą rundę wygraną i w 20 lat później nasze dzieci znów będą umierały.

Za te właśnie słowa sierżant Will Hermann otrzymał pierwszą nagrodę. Należałoby tylko życzyć sobie, aby i brytyjski Tommy napisał coś na ten temat.

3. WYZNANIE ROZSĄDNEGO AMERYKANINA

Na początku mała przypowieść. Tytuł: „Zbawca“.

Pewnego dnia, w przepelnionym teatrze wybuchł pożar. Straszna panika ogarnęła publiczność. Wszyscy rzucili się jak nieprzytomni do wyjścia. Wtedy wskoczył nagle na krzesło jakiś młody człowiek i zawołał na całe gardło do ogarniętej paniką publiczności:

Ladies and gentleman! Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa. Proszę was, abyście zupełnie spokojnie zajęli z powrotem swe miejsca.

To zrobiło wrażenie. Ludzie uspokoiли się i usiedli na swoich miejscach.

I wszyscy splonęli.

Zawsze mi się ta powiastka przypomina, ilekroć spaceruję po ulicach miast amerykańskiej strefy okupacyjnej, albo kiedy czytam ukazujące się tu gazety niemieckie. Amerykanie postępują

lekkomyślnie i bezplanowo, uspokajają jak mogą i gdzie mogą opinię publiczną obu półkul. O ile okupację brytyjską cechuje pewna familiarność kolonialna, a sowiecką — surowość zwycięzcy, który poznał wroga na własnej skórze, o tyle okupację amerykańską cechuje zbyt daleko posunięta krótkowzroczność.

Byłem niedawno na balu maskowym w małej mieścinie bawarskiej Stein, opodal Norymbergi, gdzie mieszczą się słynne na cały świat fabryki ołówków Johanna Fabera. Nie mogąc patrzeć, jak pijani żołnierze amerykańscy spoczywali w tłustych (tak! nawet zmniejszone racje żywnościowe nie zmieniają bawarskich talii...) ramionach Niemek, wyszedłem z dusznej piwiarni z uczuciem prawdziwego niesmaku.

Chłopcy z dalekiej Arizony, z Teksasu, z Oregon a nawet Chicago, to bardzo poczciwi ludzie, dla których cała ta okupacja to jedna wielka przygoda, a już za nic na świecie misja. Spróbujcie wytłumaczyć takiemu farmerowi ze stanu Dakota, roslemu dębczakowi, że ma umoralnić Niemców i swoim postępowaniem nauczyć ich, jak mają stać się prawdziwymi demokratami, skoro on sam niewiele więcej wie od nich. Przeciwnie, sam często nasiąka ich poglądami.

Nie wszyscy Amerykanie tak sądzą. Są i tacy, którzy te rzeczy doskonale pojmują i zdają sobie sprawę z tego, że skompromitowali się w Niemczech. Niedawno ogłosił ciekawe wrażenia z pobytu w Niemczech jeden z redaktorów najbardziej rozpowszechnionego w Stanach miesięcznika *The Readers Digest* (ponad 6 milionów nakładu), mr Frederic Sondern jr, który znał dobrze Niemcy przed wojną, był tam w czasie wojny, a obecnie — przeprowadził na miejscu badania nad pracą amerykańskich władz okupacyjnych.

Z chwilą objęcia naszej strefy okupacyjnej, stanęliśmy przed najbardziej trudnym i politycznie ważnym zadaniem w naszej historii. I nie robimy tego dobrze, muszę przyznać. Nasza Główna Kwatera w Berlinie nie żyje w specjalnej zgodzie z innymi aliantami, nasz rząd cywilny stał się pośmiewiskiem w Rzeszy. A i ludność, która nauczyła się coś niecoś po klęsce, też nie jest nami zbyt zachwycona. Nie darmo powiedział mi kiedyś jeden z szefów niemieckiej policji, człowiek, który za swe przekonania demokratyczne przesiedział sześć lat w obozie: „Adolf Hitler wprowadził zmarł, ale jego duch jest bardziej żywy niż kiedykolwiek i z dnia na dzień staje się groźniejszy. Zamknęliśmy kilkadziesiąt tysięcy hitlerowskich przywódców w więzieniach, zniszczyliśmy partię i wojsko, ale nie wymazaliśmy z serc niemieckich „tysiącletniej Rzeszy“. Duch führera sprawi wam jeszcze niejedną niespodziankę i to już wkrótce.

Niemcy nienawidzą Amerykanów, mimo uśmiechów jakie im tak szczerze rozdzielają. Perfidia i podstęp — to nakazy niemieckiego ducha. Mr Sondern opowiada, że nieraz już słyszał na ulicy, jak za plecami jego wolano: *Amerikanisches Schwein*.

Niedawno na rogu jakiejś ulicy w Berlinie podeszła do mnie Niemka z dwoma małymi chłopcami i zapytała z czarującym uśmiechem, czy nie mam zbywającej czekolady dla jej dzieci. Odebrałem niedawno rację, więc dałem malcom całą porcję. Gdy zawrócili, poszedłem za nimi.

— Mamo, czy to był amerykański żołnierz? — zapytał starszy chłopczyk.

— Tak — odpowiedziała matka — to jest jeden z tych amerykańskich bydlaków, których nasz ukochany führer uczył nas nienawidzić!

— Prawda, że nauczymy ich jeszcze kiedyś rozumu? — zanwał uroczyście synek.

Matka skinęła głową. Podobne obserwacje poczyniło już wiele osób.

Wiele młodych Niemców powraca obecnie z niewoli. Stają się oni wielkim zbiornikiem niezadowolenia i kłopotów dla władz okupacyjnych. Zbierają się często na ulicach, patrząc spode łba na niemieckie dziewczęta, spacerujące z Amerykanami. Wszyscy oni są z reguły zagorzałymi hitlerowcami. Organizują różne bandy i szajki, które są utrapieniem całej okolicy. Znają między sobą tylko jedno powitanie — hitlerowskie, a dewizą ich jest: „Dziś — cierpieć i walczyć, a jutro — rewanz”.

Nieraz — czytamy w książce Sonderna — spotykałem napisy na ścianach domów: „Śmierć amerykańskim filosemitom!” Autorami tych i innych napisów jest albo młodzież, która wychowana w duchu hitlerowskim nie ma jeszcze odpowiednich szkół, aby zająć się czymś godziwym, albo ci wszyscy, którzy wskutek przepisów o denazifikacji utracili swą pracę. Wszyscy oni stanowią ów wrzący kocioł rosnącego stale niezadowolenia i buntu. Oni też tworzą teraz różne „komórki oporu”, które choć niezbyt groźne, przecież sprawiają nam wiele zmartwień. Czy to, że niszczą telefony i drogi, czy to, że rozciągają druty na szosach celem dekapitacji naszych szoferów, czy też szerząc paniczne wiadomości i nastroje. Nie mają czego się zresztą obawiać, bo ani policjant niemiecki, ani sąsiad nigdy ich nie wyda, gdyż albo sam boi się ich, albo sympatyzuje z nimi. I nic tu nie pomogą aresztowania, jak mi powiedział jeden z szefów CIC (*Counter Intelligence Corps*). Jest ich po prostu za wiele.

Kiedyś zatrzymała nasza *Military Police* pewnego terrorystę, który usiłował sprzedać naszemu żołnierzowi zatrutą wódkę. Chłopak ten powiedział szczerze: „Pięć lat walczyłem na froncie. Gdy wróciłem do domu, znalazłem tylko zgłiszczą. Amerykanie zbombardowali wszystko. Moja dziewczyna żyła z amerykańskim oficerem za żywność, którą jej dawał. Nie mogłem otrzymać żadnego zajęcia, ponieważ jestem na czarnej liście *nazi*. I wy chcecie, żebym ja was jeszcze kochał? I jeśli kiedykolwiek nadarzy się okazja rewanzu, chętnie wam za wszystko zapłacę...”

„Amerykanie ciągle mówią nam o wolności — powiedział w knajpie inny Niemiec — ale my takiej swobody nie potrzebujemy. O, żebyśmy mieli takiego drugiego Hitlera, oto co nam potrzeba. Ten pierwszy też nie był wcale taki zły...”

A pewien przemysłowiec z Ruhry szepnął autorowi konfidencjonalnie do ucha: „Musimy mieć znowu naszą armię. My jesteśmy waszym jedynym przedmurzem przeciwko Rosji. Hitler miał rację w tej sprawie, wie pan?!”.

A najgorsze jest to, że sami Amerykanie nie orientują się w tych wszystkich zawilych problemach niemieckich. Popełniają więc wiele przykrych gaf i pomyłek, które ich ośmieszają w oczach samych Niemców. Okupować obce ziemie, to niełatwy chleb, a cóż dopiero Niemcy!

Pierwszy wojskowy gubernator Bawarii, pułkownik Charles E. Keegan, postanowił powołać radę miejską w Monachium. Ponieważ słyszał, że Bawarska Partia Ludowa uchodzi za najbardziej wrogo usposobioną wobec hitleryzmu, powierzył więc jej leaderowi władzę w mieście, zwłaszcza że Niemiec ten wyglądał bardzo pocziwie i wiele miał sentymentu dla amerykańskiej demokracji. W niedługim czasie cały ratusz zapelniał się lojalnymi hitlerowcami, tak że wkrótce monachijczycy przezwali go „nowym brunatnym domem”. Ludzie ci rozdzielali między swymi towarzyszami partyjnymi wszystkie mieszkania, posady i specjalne racje żywnościowe. Mnóstwo „sekreterek” i „tłumaczy”, wszystko Pg. czystej krwi, broniło „intruzom” dostępu do oficerów i urzędników zarządu wojskowego. „Jeśli chcesz zrobić karierę, musisz być członkiem partii” — kpili przy piwie Bawarczycy. Ten kompromitujący przypadek nie był bynajmniej odosobniony.

W Niemczech trudno zresztą dziś znaleźć odpowiednich ludzi na poważne i odpowiedzialne stanowiska. To, co dziś jest szczerze demokratyczne, rekrutuje się przeważnie z dołów. Góra i średnia klasa przeżarte są nazizmem. Piętnaście lat zrobiło swoje i skutki tego odczuwa się na każdym kroku. Poza tym wielu ludzi wciąż jeszcze nie ma zaufania do tego, co się w Niemczech dzieje, uważając stan ten za jakieś *lucidum intervallum* w hitlerowskim szaleństwie.

Mr Sondern przytacza taką rozmowę:

Pewien Niemiec, którego znałem przed wojną, przestraszył się nie na żarty, skoro zaproponowałem mu dobrą posadę w zarządzie wojskowym. „Wielkie nieba! — zawołał — czy myślisz, że u'miecha mi się pobyt w obozie po raz drugi, gdy za cztery czy pięć lat „oni” powrócą do władzy? Czy sądzisz, że chce mi się ponosić odpowiedzialność za to wszystko, co twój, wybacz mi, nieświadomieni ziomkowie tutaj wyprawiają?!

Z takimi odmowami spotykamy się tu często.

Zresztą jakże dziwić się Niemcom, skoro i niejeden z wyższych oficerów lub dostojników MG (*Military Government*) pod wpływem stałego przebywania z Niemcami wyraża często podobne poglądy. Klasyczna uwaga zmarłego niedawno generała Pattona ma wciąż jeszcze swoich zwolenników. Powiedział on, że między nazistami a antynazistami jest taka sama różnica jak między demokratami w USA a republikanami". Tę parafrazę słyszy się ciągle w różnych wersjach i odcieniach. Treść pozostaje jednak zawsze ta sama.

Według Sonderna — „pewien oficer oświadczył, że poza grupą politycznych więźniów, inni ludzie nie byli wcale maltretowani w obozach. Inny zaś posunął się nawet do twierdzenia, że Żydzi niemieccy różnią się bardzo od tych, którzy są w Stanach; Hitler, pod tym względem, wiedział widocznie, co robi..."

Najgorsze jest to, że wielu spośród Amerykanów, którym powierzono funkcje w Niemczech, mało się tym przejmując, podchodzi zupełnie subiektywnie do spraw i myśli ciągle, jakby tu zwać do domu. Wiele problemów stoi więc wciąż otworem od edukacji aż do przemysłu. Podczas gdy jedni sympatyzują z Niemcami, a inni są zgola obojętni na wszystko, co się tutaj dzieje, są jeszcze i tacy, którzy nienawidzą Niemców i pragnęliby, aby wszyscy zginęli z głodu. Wszyscy oni nie mają racji. I w tym wyraża się właśnie cała polityka amerykańska w Niemczech."

I jak mówi Mr Sondern: „Mamy do wyboru albo zmusić nasze władze do przeprowadzenia konsekwentnej polityki okupacyjnej, albo też rychło ujrzymy ducha Hitlera. Nowy, tajny sztab generalny zostanie zorganizowany, nowoczesna, czarna Reichswehra zmartwychwstanie i pewnego pięknego dnia bomba atomowa, *made in Germany*, spadnie na Waszyngton“.

Głos Sonderna nie jest bynajmniej odosobniony. W miesięczniku amerykańskim *Harper's Magazine* pojawił się tchnący nie mniejszym pesymizmem artykuł politycznego doradcy prasowego ekspedycyjnych wojsk amerykańskich pt. „Nasza klęska w Niemczech". Autor podając jeszcze więcej szczegółów amerykańskiej krótkowzroczności politycznej, doszedł do niemiłych wniosków.

Ostatnie zarządzenia generała Claya w sprawie denazyfikacji oraz wielkie zmiany na różnych stanowiskach w zarządzie amerykańskim zdają się być pierwszymi zwiastunami otrzeźwienia władz.

Bądźmy więc dobrej myśli i my, którzy nie od dziś znamy prawdę o narodzie niemieckim.

4. CO SĄDZĄ O TYM ŻOŁNIERZE?

Dla nikogo nie jest już dziś tajemnicą, że przeciętny żołnierz amerykański raczej lubi Niemców niż miałby ich nienawidzić. Na to składa się wiele przyczyn, nie tyle może politycznych, ile raczej uczuciowych. Zresztą Amerykanie niczego złego nigdy od Niemców nie zaznali, a wszystkie cierpienia innych narodów znają przeważnie z drugiej ręki. Kiedy więc dziś są i między nami tacy, którzy mimo cierpienia niejedną z dawnych uraz puszczają w niepamięć, czegoż żądać od pogodnych chłopców z Texasu czy Arizony, którzy w ogóle nigdy nie mieli i dotąd nie mają pojęcia o duszy niemieckiej?

Takie nastroje nie są rękojmnią właściwego postępowania wobec pokonanego wroga, który pilnie czeka na okazję jeśli już nie rewanżu, to w każdym razie jak najszybszej odbudowy. Wiedzą o tym i rozsądni Amerykanie. Niejeden z nich zastanawia się nad powodami, które skłaniają żołnierzy amerykańskich do życzliwego ustosunkowania się względem ludności niemieckiej. Zapytałem kiedyś o to moich znajomych oficerów. Jeden z nich, człowiek inteligentny, który podczas wojny służył we Francji jako tłumacz przy sztabie francuskim, później zaś przez siedem miesięcy siedział we Frankfurcie jako oficer łącznikowy i interesował się wspomnianymi zagadnieniami, odpowiedział mi szczerze: „Kiedy po latach wojny i okupacji wróciłem do Stanów, proszono mnie, abym wpisał do księgi Czerwonego Krzyża, jaki kraj najwięcej polubiłem podczas wojny. Procedurze tej podlega każdy żołnierz powracający do kraju. Przystudiowałem uważnie wszystkie strony tej ciekawej książki i stwierdziłem, że na pięciu żołnierzy czterech przekładało Niemcy ponad inne kraje, choćby sprzymierzone. To może zadziwić ludzi w Ameryce, ale nigdy człowieka, który odbył służbę wojskową w Europie. Często słyszałem GI krytykujących Anglików w Londynie, albo złoścących Francuzom w Paryżu.

Ale rzadkością było usłyszeć Amerykanów przeklinających wroga w Niemczech. Jeśli zdarzył się już taki wypadek, to na pewno uczynił to weteran wojny, który stracił na froncie przyjaciela albo oglądał trupy w Dachau lub Buchenwaldzie. Ci weterani dawno powrócili do swych domów, a ich miejsce zajęły młode roczniki, które poznały Niemców już jako spokojnych i życzliwych gospodarzy.

Doszło do tego, że w armii amerykańskiej należało do złego tonu nienawidzić „Krautów” jak nazywa się u nas potocznie Niemców, ciągnął dalej mój informator, Richard Joseph z 7 Armii. Żołnierze, którzy wyjeżdżali na urlopy do Francji i na Ri-

wierę, często wracali przed czasem, jak mówili „do domu” — do Niemiec. Może wyda się wam to niewiarygodne, ale liczni spośród nas nieraz skłonni byli sądzić, że wszystkie te „straszności” o Niemcach są wymysłem propagandy wojennej... Często też można było słyszeć w kantynach, jak żołnierze mówili, że gdyby wybuchła nowa wojna w Europie, oni woleliby być partnerami Niemców!”

Jakież mogą być przyczyny takich niepokojących nastrojów?

Przede wszystkim, żołnierz amerykański czuje się za Oceanem samotny i tęskni za swą ojczyzną. Niemcy wydają mu się bardziej bliscy i mniej obcy niż każdy inny naród, nie wyłączając Anglików. Przybywszy do Anglii sądził, że spotka tu ludzi sobie podobnych. Tymczasem odkrył, ku swemu zdziwieniu, wiele nieprzyjemnych różnic. W Niemczech spodziewał się wielkich różnic; stwierdził i to z przyjemnością wiele wspólnych cech. Niemcy przyjęli Amerykanów życzliwie. Dzieci dobrze odżywione, o różowych policzkach, młodzieńcy dobrze ubrani i mający kult dla techniki i siły, zachwycają Jankesów. A kobiety —

Posłuchajmy, co na ten temat, który zresztą stał się z biegiem czasu czołowym zagadnieniem okupacji amerykańskiej, opowie nam Wawerley Root, autor książki *The Secret History of the War*, a więc człowiek, dla którego nic, co jest związane z wojną, nie było obce lub obojętne:

„Dla żołnierza amerykańskiego była to i jest sprawa zasadnicza. Ona też wpłynęła decydująco na stanowisko naszych żołnierzy wobec całego zagadnienia niemieckiego. Od chwili przekroczenia granicy niemieckiej, nasz GI został po prostu osaczony przez rój chętnych dziewcząt. Spotykał je wszędzie. Na plażach, w parkach, w kawiarniach i na skwerach. Kiedy zapragnął dziewczyny, wystarczyło zatrzymać swego „jeepa” (mały samochodzik, marki „Willys”). Dlaczego dziewczęta niemieckie są takie łatwe do zdobycia? Sprawa jest prosta. *Reżim hitlerowski* zdeprawował je moralnie. Przecież od dzieciństwa wpajano im, że nie wolno niczego odmawiać żołnierzom niemieckim, że to jest obowiązek kobiety niemieckiej. A one rozciągnęły to prawo i na nas... A to, przyznać trzeba, spodobało się naszym chłopcom. Bo proszę zrozumieć: we Francji GI mógł mieć kontakt tylko z prostytutkami, doszedł więc szybko do konkluzji, bardzo wprawdzie uproszczonej, ale dla mentalności zwykłego żołnierza bardzo charakterystycznej, że Francuzi to naród niemoralny.

W Niemczech natomiast, gdzie dziewczęta — wszystkich sfer były do jego dyspozycji, gotów był uważać postępowanie kobiet niemieckich za wyraz życzliwości, a nawet szlachetności. Oczywiście że ustawa początkowa o zakazie fraternizacji była nieży-

ciowa i doprowadziła tylko do wzrostu chorób wenerycznych wśród żołnierzy, którzy kryli się ze swymi stosunkami. W tym czasie zanotowano 13 tysięcy wypadków zachorowań. To przyczyniło się do zniesienia tej „prohibicji”. Niemcy oczywiście wykorzystali fraternizację dla swych celów politycznych. Amerykanie odnosili często wrażenie, że Niemcy to najprzyjemniejszy naród na świecie. Jakby na jakieś hasło, mieszkańcy miast i wsi okazywali na każdym kroku swą życzliwość, a tylko ten i ów mógł odróżnić lisa od kota. Niemcy często uśmiechali się do żołnierzy, bądź też pytali ich o swych krewnych w Stanach, dziewczęta robiły do nich „oczko”, a dzieci prosiły o czekoladę i gumę do żucia. W tym samym czasie Francuzi, Anglicy czy Włosi traktowali Amerykanów jak natrętnych cudzoziemców lub naciągali ich jak mogli i gdzie mogli. A przecież nikt nie pomyślał nigdy, jak wiele szkody takie postępowanie wobec nas może przynieść.

Niemcy przy każdej okazji podkreślali swą wzięczność za wyzwolenie z rąk nazistów (*Gott sei Dank!*), zgadzali się w dyskusjach na wszystko, co mówił żołnierz amerykański, który lubi kiedy mu się przyznaje rację, podczas gdy Francuzi czy Anglicy ciągle wytykali mu niedoświadczenie czy głupotę. Oczywiście, że żołnierz nigdy nie wnikał w pobudki takiego postępowania Niemców, lecz był zadowolony, że może wygadać się do woli. I dlatego polubił Niemców. Przy sposobności Niemcy uprawiali propagandę i między wierszami, prawie niepostrzeżenie wsączali w umysł żołnierza amerykańskiego wątpliwość co do winy narodu niemieckiego za wszystkie zbrodnie, a zabezpieczając swój los osobisty przez kontakty z Amerykanami, jednocześnie nigdy nie zapominali o całym narodzie. Pod wpływem takich rozmów, niejednen z Jankeesów oburzał się na metody karania narodu niemieckiego.

Podczas gdy inne narody robiły wszystko, aby zniechęcić Amerykanów do siebie, Niemcy powoli i systematycznie wygrywali wszystkie atuty rozsądnych gospodarzy, którzy goszczą bogatych i łatwowiernych turystów. Nowa „szeptana” propaganda objęła dziś już prawie całe wojsko okupacyjne, a czule parki na ulicach, liczne podania o małżeństwo, formalne konkubinaty, nawet wśród oficerów oraz wypowiedzi na różne ankiety tygodników i pism wojskowych są najlepszym świadectwem postępow nowego imperializmu niemieckiego. Tym razem w ofensywie są kobiety, dla których fraternizacja jest ową historyczną bronią, która, jeśli tak dalej pójdzie, spełni rolę, jaką przeznaczyły jej tajne organizacje niemieckie, a mianowicie: moralnego rozbrojenia armii okupacyjnej.

Krótkowzroczność Amerykanów jest już dziś przysłowio-
wa. Powracający żołnierze opowiadają na wszystkie strony o za-
letach narodu niemieckiego. Traktują dziś swych niedawnych
wrogów znacznie życzliwiej niż sprzymierzonych. Mimo woli
stają się narzędziem w rękach odradzającej się „hydry niemiec-
kiej”, urabiają opinię amerykańską swymi błędnymi sądami,
w których się utwierdzili w objęciach Małgorzatek. A pamię-
tajmy, że ci właśnie żołnierze, którzy teraz wracają do cywila,
będą niezadługo na urzędach, w parlamencie, na różnych sta-
nowiskach społecznych, i gdy przyjdzie do decydujących roz-
grywek, mogą zaważyć na szali sprawiedliwości dziejowej.

Ich łatwowierność i krótkowzroczność może stać się klęską
całego świata. Największym nieszczęściem narodu jest, jeśli nie
umie odróżnić wrogów od przyjaciół. A tak jest teraz z Ame-
rykanami.

Kto za to odpowiada?

Właściwie wszyscy. I rząd amerykański, który marnuje owo-
ce tak krwawego zwycięstwa i my, Europejczycy, którzyśmy nie
umieli zaskarbić sobie zaufania poczciwych i dobrych w gruncie
rzeczy chłopców znad Missisipi.

5. JOHN DOS PASSOS I NIEMCY

Kto uważnie śledzi wypadki w Niemczech, ten szybko do-
chodzi do wniosku, że klęska, jaką ponieśli Niemcy, nie złamała
wrodzonego im nacjonalizmu i że nie odczuwają oni tej porażki
choćby równie mocno, jak w roku 1918. Oficjalni i nieoficjalni
obserwatorzy są zgodni i w tym względzie, że Niemcy nie wie-
dzą również co to jest skrusza, ani nie szukają usprawiedliwie-
nia przed granicą. Sprawozdania z procesu norymberskiego
przyjmują zazwyczaj pogardliwym wzruszeniem ramion, w naj-
lepszym wypadku z bazylijskowym uśmiechem na twarzy.

Niemcy czują się w tej chwili jak pokonani wojownicy, nigdy
zaś jak naród, który pełen jest winy. Jeśli pojawiają się nawet
jakieś sporadyczne głosy, nawołujące do opamiętania należą one
przeważnie do mało znaczącej garstki intelektualistów, którzy
sami dopiero co powrócili z emigracji lub z obozów śmierci,
a których *vox populi* traktuje jak ptaki, co własne gniazda ka-
lają. Natomiast duch niepokonanego nacjonalizmu z dnia na
dzień krzepnie i umacnia się nie tylko wśród młodzieży i stu-
dentów, ale wszędzie: na wiecach i w parkach, na ulicy i w ka-
wiarniach, w anonimach do redakcji i w tych rozmaitych

zamachach na tych śmiałków, którzy mają odwagę przeciwstawić się naturze własnych współziomków.

Wielu ludzi, którzy obecnie stykają się z Niemcami na różnych terenach z racji wykonywania swej pracy w urzędach okupacyjnych, zdaje się czasami zapominać kim są Niemcy i daje się unieść innej fali, która jeśli nie napotyka na swej drodze falochronów w postaci zdecydowanej polityki, doprowadzić może do nowej tragedii. Ludzie bowiem łatwo ulegają sugestii indywidualnych walorów narodu niemieckiego, narodu, o którym mówił Otto Strasser, ongiś przyjaciel Hitlera, że „indywidualnie Niemcy są najbardziej czarującym narodem, w kupie najbardziej nikczemnym na świecie”.

Zwłaszcza na podatny grunt natrafiają agitatorzy niemieccy w narodach anglosaskich, którym wojna nie dała się specjalnie we znaki i którzy obecnie sami nie wiedzą co począć z tym fantem, jakim jest dla nich okupacja. Podczas gdy Związek Radziecki ma zdecydowaną i jasną politykę wobec Niemców, powziętą na wiele lat wstecz i obliczoną na wiele lat naprzód, Anglosasi wciąż błądzą po manowcach niemieckiego nacjonalizmu popadając z jednego impasu w drugi, bądź też oscylując między gwałtownymi akcjami ad hoc i obietnicami lepszego bytu w najbliższym czasie. Wszystko to wprowadza chaos nie tyle wśród Niemców, którzy doskonale łowią ryby w mętnej wodzie, ile wśród samych okupantów i ich załóg. Stąd wszelkie niekonsekwencje polityki okupacyjnej, która nawet za oceanem wywołuje liczne głosy krytyczne.

Powtarzają one wciąż tę samą prawdę, tylko w różnych wariantach. Przytoczę treść rozmowy, jaką odbyłem kilka miesięcy temu ze znanym pisarzem amerykańskim Johnem Dos Passos, autorem niezapomnianego utworu *The Manhattan Transfer*, który jako korespondent pisma *Life* przybył na proces norymberski i przy okazji zwiedził Niemcy oraz kilka innych państw na Zachodzie.

Spotkaliśmy się przy barze w *press campie*, który mieści się w dawnym pałacu Johanna Fabera pod Norymbergą. Tu, pijąc swoją porcję whisky, w otoczeniu kilku innych korespondentów (między nimi była i Erika Mann, córka Tomasza), wspomniały ten stylista amerykański zwierzył nam się ze swych wrażeń, odniesionych po trzech miesiącach waleśniania się po kontynencie. Rozmowa właśnie toczyła się wokół roli Stanów Zjednoczonych w Europie, która po tylu cierpieniach wymaga iście samarytańskiej opieki. Zdaniem większości rozmówców, jedynie Ameryka, jako kraj najmniej zainteresowany w sprawach wewnętrznych Europy, mogła podjąć się tej roli. Kiedy osiągnięto zwycięstwo

i Niemcy rzucono na kolana, wszyscy sądzili, że Ameryka właśnie zajmie godną postawę wobec niedawnego wroga, który przecież tak jeszcze niedawno trzymał nas za gardło, a dziś już je amerykański chleb.

Dos Passos, który przysłuchiwał się początkowo tej dyskusji, przerwał ją nagle i oświadczył zebranym:

„Posłuchajcie, co wam powiem. Ameryka straciła już to, co wygrała. Zubożałe narody europejskie sądzą, że Amerykanie zawiedli. Przekonałem się o tym podczas moich ostatnich wycieczek po Europie. Nasi żołnierze również nie stanęli na wysokości zadania; częste wypadki rabunków i handlu na czarnym rynku nie zyskały nam bynajmniej szacunku, a na pewno nie dodały splendoru. Miałem dobrym Amerykaninie powoli zamiera nawet w najwytrwalszych optymistach kontynentalnych. Zmysły, wódka i grabież są dzisiaj żółdem naszych wojsk okupacyjnych. Nic więc dziwnego, że przegraliśmy pokój. Tak w każdym razie opowiadali mi żołnierze, którzy wracali do domu...

Podróż po zniszczonych wojną miastach Europy — ciągnął Dos Passos — otwiera oczy każdemu, kto umie i chce widzieć. Europejczycy, tak wrogowie jak przyjaciele, patrzą ci w oczy wzrokiem, w którym maluje się rozczarowanie do ciebie jako Amerykanina. Na swój sposób komentują sobie ewolucję słowa „wyzwolenie”, które przed desantem w Normandii oznaczało wydostanie się z kleszczy hitlerowskiej tyranii, a teraz dla cywilów sprowadza się do jednego — do grabieży. Skoro usiłujesz im wytłumaczyć, że oczekiwali zbyt wiele, spotkasz się z odpowiedzią, że mieli prawo do tego, skoro wszyscy sądzili już po pierwszej wojnie, że Ameryka jest nadzieją Europy. I od razu cytują ci i Hoovera, i kwaków, i Wilsona.

Nigdy jeszcze prestiż amerykański nie był niższy w Europie jak obecnie. Europa oskarża nasze wojska o ignorancję i brak zainteresowania warunkami życia w Europie. Nasi żołnierze kradną i sprzedają na czarnych rynkach towary ze składów wojskowych. Nasi towarzysze broni oskarżają nas o korupcję i bałagan w UNRRA. Oskarżają nas o złe skrywaną bojaźliwość w negocjacjach ze Związkiem Radzieckim. Mówią nam ciągle o mechanicznej denazifikacji w Niemczech, która sama przekreśliła pierwotnie zamierzone plany. Czy nie macie prawdziwego męża stanu w Ameryce? — pytają mnie Europejczycy.

Nie mając jakiegokolwiek konstruktywnej polityki względem Niemiec bezwiednie oddaliśmy stery jej w ręce naszych żołnierzy. A pocziwy GI w ramionach grubej Liselotty chętnie nadstawia ucha szepcanej propagandzie niemieckiej i on teraz prowadzi politykę przez stwarzanie odpowiedniego nastroju wśród swych

kolegów z tej i tamtej strony oceanu. Wystarczy przeczytać listy nadchodzące do Stanów. Pod wpływem tych listów smak zwycięstwa stał się gorzki w ustach każdego rozsądnego Amerykanina. Straszna lekcja jaką otrzymaliśmy w rok po zwycięstwie sprowadza się do tego, że to co wydarzyło się masom w Europie dziś, jutro może spotkać nas w Ameryce.

Dlatego, moim zdaniem — zakończył John Dos Passos — póki możemy, musimy pomóc Europie i dać jej to co mamy najlepszego, a nie odpadki. Nasza polityka wobec Niemców musi być nacechowana rozumnym umiarem, ale również stanowczością i powagą. Nie możemy naśladować hitlerowskich wzorów, ale pamiętajmy o powodach, które zmusiły Niemców do chwycenia za broń. I zgadzam się z moimi kolegami z Europy, że jedynie Ameryka i ZSRR mogą prowadzić konkretną politykę w Niemczech, gdyż nawet wśród samych Niemców widać teraz wyraźnie dwa obozy: tych co ciągną do nas i tych, którzy pragną szukać rozwiązania w oparciu o Związek Radziecki.

Po dwóch latach pokoju stoimy przed ogromem problemów, których rozwiązanie jest palącą koniecznością, jeśli rzeczywiście nie chcemy w krótkim czasie pożegnać się z owocami tak krwawo wywalzonego zwycięstwa.

6. NIEMKI WOLĄ MURZYNÓW...

Mój rozmówca, którego spotkałem w pociągu pośpiesznym Frankfurt-Berlin, Sam L. Blackwood, młody, rosły podoficer piechoty amerykańskiej, jest Murzynem z Chicago. Wychował się wśród czarnych, skończył liceum dla Murzynów, służy również w jednostce murzyńskiej. Tutaj, na ziemi niemieckiej jest dumny ze swojej rasy, do której niedawno odniósł się tak pogardliwie senator Theodore Bilbo, zacofaniec z południowych Stanów, mający odwagę po tej wojnie oświadczyć, że czarny jest człowiekiem drugiej kategorii i że lynch nie jest niczym tak niezwykłym, jak się Europejczykom wydaje.

Nic dziwnego, że pan Bilbo o nalanej twarzy byka z Texas został wybrany honorowym prezesem Ku-Klux-Klanu. Fotografie jego były na wszystkich okładkach pism amerykańskich w tym samym czasie, kiedy prasa doniosła o świeżych wypadkach lynchu. Dziś już — na szczęście — człowiek ten nie żyje...

Mój znajomy Murzyn przeżył wszystkie kampanie wojenne, ma liczne odznaczenia, dwa razy był ranny, uratował od śmierci swego białego pułkownika, ale tym niemniej nie może wejść

do kasyna dla białych we Frankfurcie i jadąc do Berlina, musiał zająć miejsce razem ze swymi czarnymi braćmi w osobnym przedziale. Zdaje też sobie doskonale sprawę z tego, że obecnie w Niemczech — jedynie Amerykanie uprawiają politykę rasową w stosunku do swych współobywateli.

Dziś w Niemczech przebywa trzydzieści tysięcy żołnierzy murzyńskich, którzy pełnią służbę w *Military Police* lub jako szoferzy i konwojenci transportów. Zawsze jest im przydzielana ciężka, brudna praca. Jak mówi Sam, nie ma się czego zbytnio temu dziwić, skoro były naczelnym dowódcą wojsk amerykańskich w Europie, generał Joseph Mac Narney nie należy bynajmniej do przyjaciół czarnych żołnierzy. Przecież on to powiedział kiedyś, że musi upłynąć chyba ze sto lat, zanim Murzyn znajdzie się na jednym poziomie z białym... „A przecież czarni żołnierze nie bili się gorzej na froncie od białych” — dodaje skromnie mój towarzysz podróży. „Przypomina nam to” — mówi dalej Sam Blackwood — „propagandę Goebbelsa i dzikie okrzyki opętanych teorią rasową pachołków Hitlera. Niemcy, którzy tak powtarzali za swym *boss*em (tyle co szef), dziś muszą za to płacić krwią i łzami”.

Tak mówi do mnie Sam.

Tygodnik *Ebony*, wydawany przez Murzynów w Chicago pisze o tych sprawach, tak bolesnych dla kolorowych obywateli tzw. wolnych Stanów:

„Czy kiedyś Ameryka nie zapłaci tej samej ceny za swe doktryny rasowe, szerzone przez takich ludzi jak choćby generał Mac Narney?”

Pociąg mknie dalej. Wchodzi dowódca transportu i zaprasza pasażerów do wagonu restauracyjnego na kolację. Muszę teraz rozstać się z moim czarnym przyjacielem, gdyż nie możemy jeść przy jednym stoliku. Takie są przepisy. To samo jest w klubach rozsianych po całych Niemczech. gdy pytam o to naszego *train-commandera*, niemłodego już kapitana z Missouri, ten odpowiada mi bez głębszego nawet namysłu: „Wy Europejczycy nie rozumiecie tych spraw. Wam łatwo jest traktować Murzynów jak równych sobie, ale u nas jest to bardziej skomplikowane. Wiemy o tym, że dla was Murzyn — to normalny człowiek. Widziałem, jak podczas wojny ludność europejska nie czyniła różnicy między czarnymi a białymi. A jaki był koniec? W samej Wielkiej Brytanii dziewczęta angielskie urodziły 1.500 nieślubnych dzieci murzyńskich...”

— Czy im korona spadła z głowy? — zapytałem z uśmiechem.

— Nie wiem, ale u nas nie byłoby to do pomyślenia.

Chciałem już coś przykrego powiedzieć temu panu o demokracji amerykańskiej, ale ugryzłem się w język. Byłem jego gościem, więc wypadało zachować przynajmniej pozory kurtuazji.

Dwieście tysięcy Murzynów walczyło w Europie podczas wojny. Walczyli nie tylko o wolność Europy, ale i o swoje prawa. Hitler ich nienawdził na równi z Żydami. Nic dziwnego, że w czasie zajmowania Niemiec tu i ówdzie dochodziło do ekscesów. Sam mówił o tym bez dumy, ale z satysfakcją, jak kazali w Kolonii SS-manom całować spocone nogi żołnierzy murzyńskich. „I co — robili to. Tak bardzo cenili swe życie!” Sam mówił o nich z pogardą.

Ale wojna się skończyła i wszystko poszło w zapomnienie.

Murzyn jest człowiekiem dobrym i nienawidzi jego jest krótka. Wróg pokonany przestaje być wrogiem. Zwłaszcza że właśnie na ziemi niemieckiej zaznali Murzyni od tubylców najwięcej szacunku. I to przede wszystkim — ze strony Niemców.

Gdy we Frankfurcie prasa niemiecka podała notatkę, że urodziły się pierwsze Murzyniátka, moja gospodyni mówiąc mi o tym i widząc moje zdziwienie, zauważyła: „Nic dziwnego, bo Murzyni to porządni ludzie, są dobrzy, dają prezenty i dziewczęta nasze chętnie z nimi przebywają...”

Gdyby o tym Hitler wiedział! — pomyślałem sobie w duchu. — Ależ ci Niemcy, to narodek!

Widziałem we Frankfurcie, Monachium, Norymberdze i Berlinie kluby murzyńskie gdzie pełno było dziewcząt niemieckich. Pily, tańczyły swingi i wydawały się naprawdę szczęśliwe w objęciach rosnących żołnierzy kolorowych. Jak mówiono mi, dancingi dla czarnych są zawsze pełne i Niemki już od piątej wieczór kręcą się przed lokalami w oczekiwaniu na zaproszenie. Najładniejsze dziewczęta Bawarii schodzą się tu jak na jarmark miłości. Plaże niemieckie latem pełne były Murzynów, parki i ogrody — parok czarno-białych. Tam gdzie kiedyś kwitł kult aryjskości — dziś tolerancja rasowa święci swe triumfy. Amerykanie patrzą na to oczywiście złym okiem. Istnieje obawa, aby żołnierze ci, którzy zakosztowali takiego równouprawnienia w Europie, nie zbuntowali się po powrocie do domu.

Dziś Murzyn czuje się w Niemczech, we Francji czy w Belgii znacznie lepiej niż w Ameryce. Może spokojnie iść z białą dziewczyną do paryskiego kabaretu, ale nikt go nie wpuści na Broadway, chyba jako grajka, pucybuta lub portiera. Nigdy jako gościa. Z białą dziewczyną? O tym nie śmie nawet czarny oficer pomyśleć!

Widziałem Murzynów spacerujących z dziewczętami w Berlinie. Widziałem z jaką satysfakcją zwiedzali bunkier Hitlera. Niejeden z nich pochodził z Południa. Na pewno myślał wtedy, że większa demokracja panuje na Wilhelmstrasse w brudnym niedawno Berlinie, niż np. w mieście Memphis, po ulicach którego chodzą jeszcze ludzie typu senatora Bilbo z pejcami.

Jak powiada Sam, wielu Murzynów w Niemczech ma swe stałe przyjaciółki, które marzą tylko, aby wyjść za nich za mąż. I choć wiedzą, że *der schwarze Amerikaner* któregoś dnia wyjedzie i je opuści, mimo to kochają ich i nie przejmują się. Murzyni są dobrymi kompanami, dają wszystko co potrzeba, więc Niemki garną się do nich. Nic dziwnego, że kwatera amerykańska zalewana jest potokiem podań żołnierzy, którzy pragną służbę swoją odbywać właśnie w Niemczech.

A mój przyjaciel Sam, który nie chce już nigdy wrócić do roli „wujka Toma” (tak nazywają postępowcy z Chicago swych bardziej ustępliwych braci), mówi mi na pożegnanie:

„Podczas gdy nasze stosunki z białymi w Europie układają się wcale przyjemnie, nie można tego powiedzieć o współżyciu z naszymi białymi kolegami. Po wojnie gdy nie potrzeba już naszej krwi, nie ma już dawnej serdeczności. Wszystkie dawne atawizmy powróciły. I właśnie najboleśniej odczuwamy to w Niemczech, gdzie teraz odbywa się cicha walka o *fräuleins*. Nie dlatego, że biali żołnierze dbają podobnie jak w Ameryce, o czystość białej rasy, ale dlatego, że Niemki twierdzą, iż jesteśmy lepszymi mężczyznami. A białych pożera ambicja i zazdrość. Nic dziwnego, że ostatnio coraz częściej przychodzi do bójk... o Niemki.”

Żyjemy w czasach paradoksów, jakich nawet Shaw nie umiałby wymyślić.

7. GI JOE

Tak nazywają popularnie żołnierzy amerykańskich, podobnie jak angielskich ochrzczono nazwą *Tommy*, a francuskich *poilu*. GI — to skrót żartobliwych słów *Government Issue* czyli „wydawnictwo państwowe”, Joe — to imię. Nazwa utarła się, żołnierze pogodzili się z nią. Nawet napisy na szosach, zalecające szoferom ostrożną jazdę, głoszą dużymi literami na zakrętach: *GI Joe — go slow*. To samo w barach: *GI Joe — drink slow tzn. pij wolno...*

Na ogół Europejczycy mało znają i rozumieją przeciętnego żołnierza amerykańskiego. Często zbiera on niezасłużone kom-

plementy albo dostaje po palcach za grzechy niepopołnione. Armia U. S. A. nie jest takim monolitem jak armie europejskie. Żołnierz z New Yorku i jego przyjaciel z Idaho albo Oregon to dwa różne światy. Stąd wiele nieporozumień, ogólników i nieścisłości w ocenie charakterów, sposobów życia i obyczajów tych chłopców zza oceanu.

Utarło się, zwłaszcza wśród ludzi, którzy nigdy nawet dwóch słów nie zamienili z GI Joe, że żołnierz amerykański to wcielenie dobroci, sprawiedliwości i wyrozumienia cudzych wad, że nikogo nie skrzywdzi, nic nie zabierze, a zawsze chętnie wspomaga, że jest elegancki, trzeźwy i delikatny, zwłaszcza względem kobiet. Zawsze uśmiechnięty i chętny raczej do psot niewinnych niż prześladowań. Słowem anioł w khaki, jeśli nie tańsze wydanie Armii Zbawienia.

Owszem, spotykałem i takich. Ale widziałem i innych. U nas pokutuje wciąż mania przeciwstawiania Rosjanom żołnierzy z U. S. A. Mają to być dwa bieguny, żywe kontrasty konwensu amerykańskiego. Może być. Ale przebywając od przeszło roku z Amerykanami, wyrobiłem sobie o nich zgoła inne pojęcie. Widziałem przyzwoitych i spokojnych żołnierzy, ale często też zdarzało mi się być świadkiem zgoła innych obrazków. Widziałem GI, którzy handlowali papierosami jak zawodowi kupcy, widziałem takich, co wieczorem nie dali spokojnie przejść kobiecie, a ostatni proces płka Kiliana w Lichtfeld (Niemcy) przekonał mnie, że Amerykanie potrafią również znęcać się nad więźniami.

Kierownictwo armii amerykańskiej ma wiele kłopotu z utrzymaniem karności wśród swych żołnierzy. Młodzi ci chłopcy z gór i piaszków kalifornijskich, znad granicy Meksyku i Alaski, niełatwo dają się okiełznać poważnym i kościstym panom z głównej kwatery. Świadczy o tym najwymowniej seria artykułów na ten temat, jaka pojawiła się w oficjalnym organie armii amerykańskiej *The Armed Forces Digest* oraz w tygodniku *Army Talks*.

Postaramy się niektóre te bolączki przedstawić polskiemu czytelnikowi, aby miał przed oczami prawdziwy obraz rzeczywistości amerykańskiej.

Mały Francuz przyszedł bardzo zdenerwowany do biura prawnego armii amerykańskiej. Opowiada dyżurnemu oficerowi, że w nocy pijani żołnierze amerykańscy zatrzymali jego samochód, obrazili go i jego żonę, w końcu wyrzucili ich po prostu z samochodu i uciekli w nieznaną. Następnego dnia mały Francuz znalazł swoją maszynę rozbitą w rowie. Cóż miał robić

kapitan amerykański? Obiecał sprawę zbadać i wypłacić w razie potrzeby odszkodowanie. W całej Europie wuj Sam płaci dolarami za każdy tego rodzaju wybryk. Ale czy to wystarcza? Czy ten mały Francuz będzie teraz, po tej przygodzie, jeździł spokojnie nocą po swym własnym kraju? Czy pieniądz wynagrodzi mu straty moralne?

Oficer finansowy opowiada:

„Zapłaciliśmy za każdą rozbiją szybę po pół dolara, a za kamienicę, którą dwaj nasi żołnierze tylko dlatego podpalili, że od dłuższego czasu nie widzieli porządnego pożaru, 5 tysięcy dolarów. Innym razem wypłaciliśmy 4 tysiące dolarów człowiekowi, któremu pijani Amerykanie zabili żonę, a 150 dolarów belgijskiemu kościołowi, za skradziony przez naszych ludzi złoty kielich”.

Pewien major opowiedział taką historię, która wydarzyła się we Francji:

„Siedmiu amerykańskich żołnierzy włamało się do chłopskiej zagrody, właściciela związano i na jego oczach zgwałcono jego żonę i córkę. Nasze prawo nie przewiduje odszkodowań za ból i cierpienia. Z chęcią powiesilibyśmy całą siódemkę, gdybyśmy ich tylko schwytali. Cóż, kiedy zbrodniarze ci znikli bez śladu. Jedno co mogliśmy w tej sytuacji uczynić, to zapłacić honorarium lekarzowi w wysokości 40 dolarów. Alkohol i broń to zbyt niebezpieczna mieszanka dla naszych żołnierzy, a GI zabili w całej Europie wielu niewinnych ludzi, widocznie aby przekonać cudzoziemców, że nasze gangsterskie filmy z Chicago nie są wcale przesadzone. Kiedyś byłem świadkiem walki ulicznej między Francuzami a Amerykanami. Od kuli francuskiej zginął jakiś przechodzień. Odszkodowanie zapłacił znów Wuj Sam, gdyż winowajcami zająścia okazały się własne jego dzieci.”

Często zdarzało się, że domy które nietknięte zostały przez Niemców, spłądowała właśnie nadciągająca armia amerykańska. Ludność nieraz na to narzekała.

Często zdarzają się też i wypadki, kiedy poszkodowany nie przyjmuje pieniędzy. I to z różnych przyczyn. Pewien Francuz nie przyjął ofiarowanych mu pieniędzy za spalony przez biwakujących żołnierzy dom, gdyż kwota wydała mu się śmiesznie mała. Innym razem pewien Norweg, któremu rakietą świetlną spaliła firanki i meble, nie chciał przyjąć wynagrodzenia, ponieważ uważał, że takiego pięknego fajerwerku w życiu jeszcze nie widział. Ale chyba najpiękniej postąpił ów chłop z Flandrii, który nie przyjął dolarów za zniszczony płot, motywując swoją odmowę tym, że to jest jeszcze bardzo mała suma, jaką zapłacił Amerykanom za wyzwolenie.

Często słyszymy, że ci lub owi żołnierze kradną. Zdarza się to i u Amerykanów. Wielka afera brylantowa małżonków Durant, którzy zabrali rodowe precjoza książąt heskich wartości 1,5 miliona dolarów, poruszyła opinię całych Stanów. A zrobił to pułkownik i jego żona, kapitan. Wykryto ostatnio liczne przestępstwa w magazynach przydziałowych, z których Amerykanie do spółki z Niemcami wynosili potajemnie papierosy, czekoladę, zegarki za tysiące dolarów. Jeden z kierowników takiego magazynu, jakiś podpułkownik, palnął sobie nawet przy okazji w łeb!

Wiele przykrych spraw wywołała fraternizacja. Gazety woj-skowe stale pełne są opisów różnych przygód, samobójstw jednej czy drugiej strony oraz szalonego wzrostu chorób wenerycznych wśród armii amerykańskiej w Niemczech. Na „czarnym rynku” nie brak żołnierzy amerykańskich. Ich różne machinacje dolarowe zmusiły władze do rewizji systemu opłat i książek czekowych oraz wprowadzenia dolarów zamiast marek w obiegu wewnętrznym armii. Znane było wśród żołnierzy powiedzenie, że książka czekowa to nie pamiętnik, gdzie można samemu wszystko wpisywać. Bo i do tego dochodziło.

Armia amerykańska jest taka sama jak każda inna. Nie brak tu ludzi złych, jak nie brak uczciwych, spokojnych, postępowych i pracowitych. Nie należy tylko traktować ich jak aniołów.

Trzeba jednak zrozumieć tych młodych chłopców, którzy z dala od domu, w obcych, nieznanych warunkach, schodzą na manowce. Traktujmy ich naturalnie, bez uniżoności i bez uprzedzającej grzeczności, a zobaczycie, ile dobrego można od nich zaznać.

Przesada bowiem, z jaką ich często traktujemy, uderza im nieraz do głowy. Stąd też i te nieporozumienia.

Bo jak powiada napis na drogach krętych i śliskich:

GI Joe — go słów!

L A M P A D I O G E N E S A

1. RZEKA PRZEZNACZENIA

Pociąg nasz wolno sunie po naprawionym moście na Renie. Przed nami panorama potrzaskanej Moguncji, możnego ongiś miasta biskupów reńskich. Za nami pola winne, słynne „złoto Renu” i zachwaszczone pastwiska bez trzód. Francja, która okupuje te tereny, potrzebuje mięsa, bo głodny Paryż atakuje ministrów. Polityka zaś *corned beefów* jest dzisiaj wcale finyzyjną bronią, zwłaszcza jeśli wyniki jej skrupiają się jedynie na Niemczech. Nie można bowiem powiedzieć — po tym co się tu oglądało — o Francuzach, że szanują Niemców. Tu panuje zupełnie inny duch, bardziej ostry klimat polityczny, niż choćby w, o godzinę jazdy stąd, Frankfurcie nad Menem. Jakby dwa światy i dwa narody — niemieckie. Tam buta i tupet iście pruski, tutaj — mimo słońca i winnic — strach, może obojętność, ale zawsze smutek.

Saarbruecken, Saarlautern, Kaiserlautern — na całej tej „paryskiej” trasie kolejowej znać rękę okupanta, który wiele widać sam doświadczył, skoro tak pewnie postępuje.

Wszędzie *tricolora*, język francuski, często krzyż lotaryński — Niemcy, zwłaszcza Nadreńcy, nie od dziś mówią dwoma językami. Jak Szwajcarzy. Zwykły los pograniczników.

Powiedział kiedyś pewien dowcipniś, że Rosjanie mają w Niemczech żywność, Anglicy ciężki przemysł, Amerykanie — piękne widoki a Francuzi — Baden - Baden. Trudno odmówić słuszności temu żartowi. Baden - Baden to dziś czysto francuskie miasteczko kolonialne, gdzie panowie bawią się i flirtują, a tubylcy usługują i żywią się ochłapami z pańskiego stołu. Nie obfity to stół, ale zawsze pański.

Francuzi bowiem mają tę wyższość nad Amerykanami, po trosze zaś i nad Rosjanami, że rządy kolonialne są im nieobce i doskonale czują się w roli pogromców dzikich zwierząt. A mają wszystkie powody, aby Niemców za takie uważać. Byłoby

to może bardzo zachęcające i pełne satysfakcji osobistej, gdyby nie krótkowzroczność polityków francuskich, którym w gruncie rzeczy wydaje się, że „ich Niemcy” to poczciwy i ujarzmiony ludek. Zapominają i oni, że tu ludzie z zapartym oddechem śledzą wszystko, co się dzieje po drugiej stronie Renu, starą rzeką przeznaczenia, łowią każde słowo, które tu odbija się stugębnym echem. Niemcy bowiem, jak zresztą wszędzie, przy- czaili się tylko, gotowi za łada podmuchem podnieść głowy. Duch Leo Schlagetera, rozstrzelanego przez Francuzów w 1923 r. tajemnie krąży po polach reńskich, tropami dawnych *freischützów* torując sobie drogę ku wolności.

Zresztą strefa francuska pełna jest niespodzianek.

Nie znalazłem tu wcale tradycyjnej nienawiści Francuzów do Niemców, czego można byłoby się spodziewać po okupacji Paryża. Dwa wielkie trójkąty, jakie, topograficznie biorąc, tworzą obszar tej strefy, nie stanowią ani geograficznej, ani ekonomicznej całości, nie mają też centralnego ośrodka administracji, a przecież francuska strefa jest jedyną, której udało się zrównoważyć budżet. Wielkie zniszczenia można zauważyć jedynie w dużych miastach, ale tutaj jest znacznie lepiej niż w pozostałych Niemczech. A mimo to podróż przez Nadrenię, Schwarzwald czy Vorarlberg (francuska strefa Austrii) jest nie- raz aż przygnębiającym przeżyciem. Sytuacja żywnościowa zwłaszcza jest tu daleko gorsza niż gdziekolwiek indziej.

Polityka francuska na tych ziemiach jest ze stanowiska zarzą- du okupacyjnego sukcesem. Można ją zwięźle ująć w trzy tezy: 1. Niemcy nie powinni wprawdzie głodować, ale racje żywno- ściowe muszą być utrzymane na takim poziomie, na jaki ten kraj wyłącznie stać. Nie chcemy — jak mi powiedział pewien oficer — aby w naszym parlamencie padały słowa jak np. w Izbie Gmin, gdzie kiedyś wołano: „Wysyłacie teraz chleb tym, którzy jeszcze nie tak dawno wyciągali ręce, aby nas... zadusić!” Francja nie będzie żywiła Niemców kosztem swych dzieci. 2. Niemcy muszą pracować, aby pokryć koszt okupacji, tzn. handel i przemysł niemiecki na tych ziemiach muszą nastawić się na produkcję takich towarów, które nadają się do eksportu, przede wszystkim do Francji. 3. Niemcom nie wolno pod żadnym pozorem zezwolić na zarząd przemysłem węglowym, nawet jeśli- by pozostali sojusznicy okazywali swe niezadowolenie, jak to się dzieje teraz w Berlinie, gdzie wiele dzielnic żyje bez światła, a gazety dopominają się o węgiel właśnie z Zagłębia Saary.

Te trzy „złote reguły”, jak pisał niedawno korespondent *The Manchester Guardian*, są kluczem do poznania istotnych

planów francuskich, z których teza druga wydaje się być najważniejsza.

Skutkiem tej właśnie polityki jest wyraźne przygnębienie, które maluje się na twarzach mieszkańców miast. Łatwo zaobserwować je można już choćby w Baden-Baden. Są oni też bardziej apatyczni niż gdzie indziej. Ich uległość jest równie przykra jak niepokojąca. Francuzi zaś, nie palając bynajmniej nienawiścią romantyczną, co byłoby może usprawiedliwione, są jednakże konsekwentni i dają Niemcom do zrozumienia, że nauka hitlerowska nie poszła tu w las. W Baden-Baden nie spotkałem ani jednej kawiarni niemieckiej. Są znaczne ograniczenia w podróżowaniu i widać brak swobody w poruszaniu się w ogóle. Francuzi sprowadzają tu swe rodziny, skutkiem czego rekwizycje domów mnożą się. Jak mi powiedziano, świeże owoce i warzywa są rekwirowane. Prasa jest pod baczną kontrolą. Racje żywnościowe w praktyce nie przekraczają dzień nie tysiąca kalorii. A Niemcy wcale się nie skarżą. Może i lamentują, ale tylko w prywatnych rozmowach, jak to zwykle Niemcy. Naród ten bowiem, gdy poczuje silną rękę i widzi, że żartów już nie ma, siedzi cicho jak trusia i pracuje niczym mrówka.

Widziałem kilka raportów żywnościowych, od czerwca do października 1945 r. Niemcy otrzymywali w tym okresie 6000 g chleba miesięcznie, 440 g mięsa, 312 g tłuszczu, 200 g sera. Cukier nie był w ogóle przydzielany, skoro go nawet i w Paryżu za pieniądze dostać niesposób, a w *bistrach* dają sacharynę lub jakąś słodkawą a wielce obrzydliwą ciecz do herbaty...

Mimo to w Nadrenii jest cicho, a potulność Niemców jest zastanawiająca. Francuzi zaś, jak to zwykle oni, dumni są z wyników swej polityki. Zdaniem jednakże fachowców zawdzięczają swe powodzenie raczej bierności Niemców niż własnej umiejętności.

W pewnym przeciwieństwie do tych efektów pozostaje polityczne oblicze administracji francuskiej, która bynajmniej nie jest jednolita, jakby to na pozór wydawać się mogło. Dla nikogo, kto zna choć trochę sprawy francuskie, nie jest tajemnicą, że strefa ta jest ziemią obiecaną dla wszystkich zawiedzionych polityków, którym w kraju ziemia paliła się już pod stopami albo dla których Paryż był zbyt czerwony. Tutaj uwili sobie ciche gniazda *pétainowcy*, tutaj kolaboracjoniści wszelakiego autoramentu lub pomniejsi karierowicze szukali schronienia. Tutaj wreszcie mogą szermować swym patriotyzmem, kraść, bogacić się i śmiać się w kułak z głodujących nieraz „algerczyków”. Nie darmo mówi się, że dziś Baden - Baden to raczej Vichy-Vichy.

Oprócz nich jest i garstka ideowców, co najciekawsze, ludzi rekrutujących się z dawnych *maquisardów*, którzy uważają, że ich posłannictwem na tych ziemiach jest nie zemsta, ale właśnie praca nad Niemcami, aby naród ten wychować i na przyszłość położyć kres wszelkim waśniom narodowym.

Ideowcy ci mają w Baden-Baden wysokie stanowiska, ale w istocie małe wpływy. Obsiadła ich bowiem zgraja zawodowych oficerków, którzy są o wszystko zazdrośni, nieufni i jeśli co kochają — to własną kieszeń i wygodne życie, jak dawniej w Senegalu lub Mozambiku. Gdy wiali z Francji byli żebrakami, dziś opływają w nieprzyzwoity dobrobyt. Sprowadzają krewnych i przyjaciół z Maroka, tworzą własne kółka, mafie, bractwa szabrownicze, plotkują na tajnych zebraniach, a w zamkniętych klubach na modłę amerykańską piją i radują się życiem. Tutaj mają spokój i dostatek. Nienawidzą więc wszelkich reformatorów, nowinkarzy politycznych, boczą się na denazifikację, nienawidzą Niemców, ale tylko komunistów, chętnie zaś korzystają z ich majątków. Tym może tłumaczyć się wielkie wpływy dawnych hitlerowców w tej strefie i skandale denazifikacyjne. Prawica niemiecka cieszy się sympatią wojskowej kliki, która sabotuje nieraz cywilną administrację, narzeka na Paryż i uwielbia „staroego marszałka”, „biednego Filipa”, jak mówią ich żony na przyjęciach.

Jednym z takich skandali była dymisja prezesa niemieckiej komisji denazifikacyjnej w Konstancji, ponieważ nie mógł pogodzić się z faktem, że współpracownik Alfreda Rosenberga piastował wysoki urząd cywilny w zarządzie niemieckim oraz że jeden z sędziów tej komisji był hitlerowcem, a pewien dyrektor fabryki w Schwarzwaldzie członkiem gestapo. Władze wojskowe tolerowały jednak tych ludzi, tak samo jak przyjęły dymisję pełnomocnika dla spraw denazifikacji, radcy Eckerta, członka partii komunistycznej, który nie mógł pogodzić się z praktykami władz francuskich. Prawica francuska w Niemczech, która dobrze się tu urządziła i nie myśli rezygnować ze swych wpływów, popiera prawicę niemiecką. Rząd francuski w Paryżu ma tyle kłopotów, że wybryki jego urzędników w Niemczech uchodzą niemal bezkarnie.

Pod jednym względem tylko wszyscy Francuzi tutaj są jednego zdania, jeśli chodzi o centralny rząd w Niemczech i centralną jedność gospodarczą. Ostatni wywiad Stalina był tu przyjęty z wyraźnym niezadowoleniem. Zagłębie Saary i Ruhry nie daje im spokoju. Francuzi bowiem z Baden-Baden wciąż marzą o przyłączeniu tych ziem i oni raczej a nie rząd centralny kierują tu polityką francuską, której głową i ramieniem jest ge-

neral Koenig. Popierają więc gdzie mogą i jak mogą wszelkiego rodzaju autonomistów niemieckich, separatystów i innych karierowiczów spod znaku Opitza, dając im lepsze warunki bytu, posady, kartki żywnościowe, na które rzeczywiście coś otrzymać można, słowem kokietują miejscową inteligencję, która z dawna ulegała po trosze kulturze francuskiej. Stąd i pewne sukcesy.

Intonując motyw pojednania, Francuzi zjednali sobie jedynie wyższe warstwy oraz kler katolicki. Wszyscy oni, zwłaszcza miejscowi intelektualiści, czynni są wydatnie w propagandzie francuskiej. Stare sny o francuskim Palatynacie ciągle jeszcze nie dają panom z Baden-Baden spać po nocach.

Wszystko to są tylko marzenia, w polityce realnej równie niebezpieczne, co niepraktyczne. Przysłaniają one jedynie prawdę niemiecką, która na tych ziemiach podobna jest do tej za Renem i nad Sprewą. Ci spośród Francuzów, którzy ją rozumieją dobrze, są tu za słabi, aby przeciwstawić się frontowi groźszorobów i karierowiczów o podejrzanym przeszłości politycznej, którzy krzykiem i hałasem licytują się w patriotyzmie, wreszcie współpracą z najbardziej niebezpiecznymi elementami niemieckimi, paczą ze szkodą dla Francji istotny obraz francuskiej rzeczywistości po obu stronach Renu, „rzeki przeznaczenia” — naturalnej granicy między obu narodami.

2. SAGA RODU STINNESÓW

Uwolnienie od winy i kary przez Trybunał w Norymberdze Hjalmara Schachta zwróciło uwagę świata na tych przemysłowców niemieckich, którym zarówno Adolf Hitler jak i militarizm pruski zawdzięczał swoje istnienie i początkowe zwycięstwa, którym świat ma również do zawdzięczenia bezmiar cierpień i ofiar.

Aksjomatem jest już dzisiaj twierdzenie, że, gdyby nie grupa bankierów i przemysłowców reńskich, nigdy by hitlerowcy nie wynieśli się ponad poziom małej partii politycznej. Dopiero pomoc finansowa oraz moralna ze strony plutokracji niemieckiej umożliwiła grupie awanturników uzurpację władzy w republice weimarskiej.

Sprawa jednak finansjery niemieckiej łączy się ściśle z międzynarodówką bankierską, organizacją, którą już dostatecznie w poprzedniej wojnie skompromitował „wielki” Bazyli Zacharoff, Lewantyńczyk, który został angielskim baronetem. Narody

jednak niewiele się nauczyły, nie wyciągając prawie żadnych wniosków praktycznych z działalności tajnej dyplomacji. W czasie pierwszej wojny światowej żołnierze francuscy ginęli na zasiekach z drutu kolczastego, jaki Niemcom dostarczały fabryki francuskie, a Niemcy ginęli od pocisków... Kruppa. Słowa premiera angielskiego z okresu wojny z Burami, Joe Chamberlaina, w odpowiedzi na interpelację w Izbie Gmin, czy prawdą jest, że angielski *Vickers* dostarczał karabinów Burom, nie straciły i w tej wojnie na aktualności. Wtedy premier brytyjski odpowiedział interpelantowi spokojnie, ale cynicznie: „Skoro Burowie mają kupować broń, lepiej będzie, jeśli my im dostarczymy”.

Niedługo odbędzie się proces przeciwko tej klicie niemieckich kapitalistów i przemysłowców, którzy na równi z Hitlerem przygotowywali wojnę i penetrację gospodarczą Europy. Krupp, Flick, Hugenberg, Schroeder i inni potentaci złota i stali znajdą się nareszcie na ławie oskarżonych. Ich zbrodnie, jeśli międzynarodówka przemysłowa tylko zezwoli i nie ukryje dokumentów, ukażą światu prawdziwe oblicze niemieckiego kapitalizmu wojującego.

Cicho jakoś dotąd jest zupełnie o innym magnacie, należącym do rodziny wielkich rekinów pieniądza, która od dziesiątek lat prowadzi za nos naród niemiecki i jego polityków. Któż nie pamięta słynnej inflacji niemieckiej po pierwszej wojnie i króla giełdziarzy Hugo Stinnesa? Człowieka, który doprowadził własny kraj prawie do ruiny a potem miał jeszcze czelność skutki owej katastrofy przerzucić na atakowaną i zwalczaną zewsząd lewicę?!

Hugo Stinnes jr, magnat hitlerowski, nie znajduje się bynajmniej w więzieniu. Spokojnie mieszka w Düsseldorfie, pod okupacją angielską. Prowadzi otwarty dom, ma wielu wpływowych przyjaciół nad Tamizą! Ród jego nie od dziś jest w ścisłej współpracy z finansjerą londyńskiej *Old City*. Człowiek ten zdobył się jesienią 1946 r. nawet na pewien akt odwagi. Otóż przez swoje biuro berlińskie (a jakże!) interweniował w Lipsku, w zarządzie saskim, protestując przeciwko parcelacji swych majątków ziemskich. Stinnes, o którym historyk czasów hitlerowskich powie kiedyś, że zasilął kasę partyjną dość wydatnie i że przez długi czasłożył na *Völkischer Beobachter*, który przy jego pomocy z tygodnika przekształcił się na dziennik.

Ciekawe są w ogóle dzieje rodu Stinnesów.

Miesięcznik *Die Weltbühne*, gdzie znalazły obecnie schronienie niedobitki środowiska wokół Ossietzkyego, przynosi w tej sprawie nader pouczające szczegóły. Ojciec

naszego bohatera, baron węglowy Hugo Stinnes I, był uważany za najbogatszego człowieka w Europie. Już w r. 1911, popierany przez reakcję i dwór Wilhelma II, magnat ten był monopolistycznym dostawcą węgla do Włoch, królował w Szwecji i Hiszpanii, jako dostawca rudy, posiadał pakiety akcji wszystkich zakładów w Normandii. Jego to były owe pamiętne słowa skierowane wtedy do *Heinricha Classa*, przewodniczącego Związku Wszechniemców: „Dajcie mi jeszcze trzy lata, a podbiję pieniądze całą Europę”.

Gdy wybuchła wojna Stinnes wystosował słynny apel do Niemców, mówiąc o korzyściach zwycięstwa i malując przed oczami „głodnego” narodu stół pełen obfitości i dosytu. Ten sam chwyt powtórzył w dwadzieścia pięć lat później inny intrygant i oszust — Goebbels. „Walczymy o dobrze nakryty stół” — wołał gadatliwy kuternoga. Gdy wojna skończyła się klęską imperializmu pruskiego, Stinnes nie myślał bynajmniej iść w zacisze domowe. Przeciwnie, rzucił siebie i swój kapitał w wir walki politycznej. Rekin znalazł podatny grunt w Berlinie. Straszakiem komunizmu i zagłady świata mieszczańskiego szermował nie gorzej od Rosenberga. Finansował reakcyjne gazety, wykorzystywał swe rozległe stosunki za granicą, dawał środki na formowanie wojskowych organizacji i „Czarnej Reichswehry”, która dopuszczała się kapturowych mordów i która odpowiedzialna jest za zamordowanie Erzbergera i Rathenaua. On właśnie udaremnił plan Waltera Rathenaua w sprawie spłaty odszkodowań niemieckich.

Prawdziwy cios w plecy zadał młodej republice niemieckiej Stinnes swą polityką gospodarczą. Zorganizował inflację, pożyczając olbrzymie sumy w Banku Rzeszy i skupując na rynku zagraniczne dewizy. Ludzie stracili zaufanie do własnej waluty, widząc prowokacyjne spekulacje takiego magnata, jak Hugo Stinnes, przed którym drżał Berlin kalek i bezrobotnych. Gdy marka upadła tak nisko, że znaczek na list kosztował miliardy, a ludzie gubili się w astronomicznych cyfrach, Stinnes spokojnie wypłacił w papierach niemieckich swój olbrzymi dług w Reichsbanku. Tą metodą odkupił on chyba wtedy wszystko, co miało jeszcze jakąś trwalszą wartość w Niemczech, kosztem oszczędności i drobnych wkładów milionów robotników i chłopów. Takiej nędzy, jaka panowała w latach 1920 — 1923 w Berlinie, nie pamięta historia nowoczesnych czasów. Swymi machinacjami Stinnes przygotował grunt pod narodowy hitleryzm.

W roku 1923 Stinnes posiadał 1200 fabryk, zatrudniających ponad 600 tysięcy robotników, 290 kopalń węgla i 200 żelaza, 190 elektrowni, wielką flotę handlową, 289 banków i przedsię-

biorstw handlowych. Do niego należały koncerny prasowe, naftowe i stalowe. Jego wpływy sięgały do Włoch, na Węgry, do Rumunii, Szwecji, Argentyny i Indyj Holenderskich. Był to miliarder na miarę amerykańską. W tym samym czasie ludzie umierali z głodu i wyczerpania na ulicach wielkich miast. Generałowie marzyli o drugiej wojnie, a Stinnes nęcił ich złotem i mirażem łatwych awansów.

Po jego śmierci w 1924 r. koncern Stinnesa rozpadł się na trzy firmy, które nadal pozostały w rękach jego synów. Były to *Mühleimer Bergwerksverein*, Zakłady *Matthias Stinnes* oraz *Hugo Stinnes GmbH*. Do rodziny Stinnesów, której patronował obecnie syn starego rekina, Hugo II Stinnes, należały przede wszystkim kopalnie węgla w Zagłębiu Ruhry, o rocznej produkcji 7 milionów ton, wielka flota morska i rzeczna oraz własne stacje portowe na wschodzie i północy Niemiec. Stinnesowie potrafili nawet swymi interesami zachęcić kapitał amerykański, wskutek czego powstało nowe towarzystwo holdingowe. Wkrótce okazało się, że pomoc amerykańska posłużyła sprytniej rodzinie jedynie do ukrycia rzeczywistych dochodów oraz do korzystania ze szczególnych przywilejów, jakimi cieszyły się firmy amerykańskie w Niemczech.

Gdy Hitler doszedł do władzy, z wdzięczności za okazywaną tak zawsze hojną ręką pomoc, patrzył przez palce na wybryki rodziny Stinnesów, mimo że nawet prasa hitlerowska, acz nieśmiało, stale podkreślała, że nie wszystko tu jest w porządku. W 1938 r. robotnicy w kopalniach Stinnesa nie otrzymali jeszcze dywidendy za rok 1929! Ale Stinnes czuł się pewnie, bo należał zawsze do stałych gości Hitlera na Berghofie, a i Goering miał mu coś niecoś do zawdzięczenia. Cóż dziwnego, że Hugo II Stinnes sprawował jednocześnie co najmniej dwadzieścia różnych posad w trustach stalowych, fabrykach samochodowych, zakładach budowy maszyn i okrętów.

Latem 1939 r., gdy chmury wojenne zaciemniały horyzont europejski, Stinnesowie widząc co się święci postanawiają rozłączyć się. Brat Hugona, Edmund Stinnes udaje się niezwłocznie do Anglii. Gdy wojna wybuchła, nie zostaje on jednak, podobnie jak tysiące emigrantów niemieckich, internowany przez Anglików, ale żyje dalej spokojnie i bez nadzoru. Mało tego! W czerwcu 1940 zaopatrzony w brytyjski paszport udaje się do Stanów Zjednoczonych. Czy to nie jest dziwne?

W siedem miesięcy później, 30 czerwca 1941 r., znajdujemy notatkę w *New Yorku Times*, że do portu przybył z Lizbony statek *Siboney*, mając wśród pasażerów jakąś tajemniczą osobę. Tą bynajmniej nie tajemniczą osobą jest pani Marga Stinnes,

zona Edmunda. Hitler w tym czasie przejechał już swymi czołgami prawie cały kontynent. Noc okupacyjna zaległa Europę. Reporterzy amerykańscy są ciekawi, co o tym wszystkim sądzi Niemka — Marga Stinnes, która jeszcze przed tygodniem była w Europie.

Co o tym myśli? W każdym razie nic złego o Hitlerze. Przeciwnie. „Nie jestem ani emigrantką, ani też uciekinierką” — zastrzega się kategorycznie pani Marga. Była to poniekąd deklaracja solidarności zarówno z „Trzecią Rzeszą” jak i z jej wodzem.

Po co przyjechali? Co tu zamierzają robić? Kto ich wysłał?

Może przyszły proces rzuci światło na te ciemne sprawy Stinnesów. Dotąd wiemy tylko, że Edmund raczej przebywa w Argentynie i Brazylii, gdzie dogląda plantacji swego ojca oraz nabywa nowe. Interesuje się naftą. Jest zawsze w towarzystwie znanych faszystów niemiecko-amerykańskich, jak np. Edwarda Rumely, który już po pierwszej wojnie został skazany za zdradę stanu jako szpieg niemieckiego imperializmu w Ameryce. Stinnes i Rumely paktują z wydawcą amerykańskim Frankiem Gannettem, który daje się użyć do walki z polityką Roosevelta i Wallace'a, a w polityce zagranicznej — przeciwko Sowietom, w czasie kiedy Armia Czerwona gromi Niemców i zbawia Europę. Stinnes zajmuje się nawet pisaniem. Szerzy teorie rasowe Hitlera, wzywając do wypędzenia ze Stanów Murzynów i Meksykańczyków. Gdy szala zwycięstwa zbyt wyraźnie przechyliła się na stronę sojuszników, Edmund Stinnes stał się orędownikiem nowej teorii. Zachęcał kapitalistów amerykańskich, aby przejmowali zakłady niemieckie, dopuszczając byłych właścicieli w charakterze młodszych partnerów.

Jasne jak na dłoni. Stara polityka pruska — ratować, co się da!

Gdy Edmund jedzie do Anglii, jego brat starszy Hugo II nie zasypia gruszek w popiele. Zbrojenia hitlerowskie są prawdziwą kopalnią złota, a nowe aneksje — prawdziwym błogosławieństwem. W Austrii, później zaś w Sudetach, Stinnes zagarnia wciąż nowe i nowe obiekty przemysłowe. Kopalnie, huty, rafinerie powiększają koncern. A Hugo II wraz z Hitlerem maszeruje przez płonący kontynent.

Stinnesowie zwyciężali z Hitlerem, ale nie chcieli wraz z nim ginąć. Stary Hugo opuścił kajzera, dla czegoż więc Hugo II ma być bardziej sentymentalny? Gdy katastrofa się zbliża, bracia Stinnesowie udają się pod koniec 1944 r. potajemnie do Sztokholmu, gdzie wszczynają pertraktacje z międzynarodowym kapitałem, posługując się znów komunistycznym straszakiem. Pragną w ten sposób uratować z pożaru, co się jeszcze da.

W tej walce nie są osamotnieni. Pomaga im sam wielki admirał Karl Dönitz, który jest ich krewniakiem. Było to w czasie, kiedy Dönitz z łaski Hitlera został prezydentem Trzeciej Rzeszy i przez wstrzymanie operacji na Zachodzie a zostrzenie walk na Wschodzie pragnął wprowadzić rozłam między sojuszników.

Tak więc po obu stronach oceanu, w jednakim prawie czasie, rodzina Stinnesów usiłowała poprzez machinacje polityczne uratować majątek i przywileje szczupłej klasy, dorabiającej się przez dwie wojny fantastycznych sum kosztem krwi i łez milionów ludzi, którym — jak klasycznie kiedyś wyraził się Anatol France — wydawało się, że giną za ojczyznę. W rzeczywistości umierali tylko za przemysłowców.

3. GRABARZ REPUBLIKI WEIMARSKIEJ

W dniu, kiedy trybunał norymberski ogłosił uwolnienie Schachta i von Papena, władze wojskowe wydały rozkaz aresztowania ich nieodłącznego przyjaciela, Alfreda Hugenberga, człowieka, który wbił ostatni gwóźdź do trumny Drugiej Rzeszy. Gdy ogłoszono listę oskarżonych w Norymberdze, wszystkich zadziwiło, że na ławie tej nie znalazł się właśnie Hugenberg, magnat prasowy, właściciel Ufy, koncernu Scherla i wielu innych gazet, człowiek, który propagował wśród drobnej burżuazji niemieckiej idee hitlerowskie, podobnie jak von Papen robił to wśród niemieckiego ziemiaństwa, a *Hjalmar Schacht* — wśród wielkiej finansjery.

Trójka ta ułatwiła Hitlerowi wejście do domów niemieckich Biedermajerów i pruskich junkrów, przekonała, mimo początkowych niechęci, że Hitler nie jest taki straszny, jak go inni malują, i że będzie dobrze. Inaczej komunizm zawładnie Niemcami. Tym straszakiem operował sławny *Lokal Anzeiger*, wyrocznia kółtuna niemieckiego. Właścicielem jego był właśnie Alfred Hugenberg.

Później miejsce Hugenberga zajął *Hans Fritsche*, szkodnik wprowadzie, ale mały człowiek do wielkich interesów. Sam Hugenberg przebywał w tym czasie bezpiecznie na swym folwarku i robił różne mniej lub więcej dowcipne uwagi na temat procesu w Norymberdze. Człowiek ten miał odwagę zaskarżyć gminę okręgu, w którym miał jeden ze swoich majątków ziemskich, że ta odważyła się zabrać mu pałac na dom dla ofiar hitleryzmu, a majątek rozparcelować.

Doszło wtedy do wielkiego skandalu. Prasa piekliła się, czytelnicy oburzali się, a Hugenberg siedział spokojnie przy kominiku i protestował. Jak powiadali wtajemniczeni organizował nawet partię nacjonalistów niemieckich, na co jakoby otrzymał zezwolenie. Sprawa stała się tak głośna, że w końcu postanowiono go aresztować, bo tego już nawet Amerykanom było za wiele.

Kariera Alfreda Hugenberga przypomina pod wielu względami start Hitlera. Podczas gdy zawiedziony malarz i architekt postanowił zostać budowniczym Trzeciej Rzeszy, Hugenberg rozpoczął swą karierę — jako niedowarzony poeta na polu romantyki politycznej. Gdy przyjaciele wytłumaczyli mu, że jego wiersze nie zbawia Niemiec, młody Alfred wzorem ówczesnych fanatyków niemieckiego imperializmu ruszył na wschód. Poznań był wtedy ziemią obiecaną wszystkim zawiedzionym lub rozczarowanym Niemców, którym osławiony prąd kolonizacyjny dawał wielkie możliwości. Sytuacja była wtedy podobna do tej, jaka istniała na naszych ziemiach zachodnich w pierwszym okresie osiedlania repatriantów.

Hugenberg stał się od razu wielbicielem Wegenera, namiętnego hakatysty, który za pomocą kapitału zebranego ze składek społeczeństwa niemieckiego kolonizował Poznańskie. Orędownikiem nowego prądu, który nosił wtedy nazwę *Bodenromantik* stał się nasz Hugenberg. Pamiętne było jego powiedzenie, „że w każdą niemiecką monetę musi być wlana jedna kropla krwi niemieckiej”.

Śwąd hitlerowski już wtedy unosił się w powietrzu!

Bismarok ustąpił, a polityka wilhelmińska nie liczyła się już z niczym. Hugenberg gra pierwsze skrzypce w Prusach, zostaje tajnym radcą w pruskim ministerstwie finansów. On też pierwszy ukuł powiedzenie *völkisch wertvoll* przez co rozumiał tzw. Wszechniemców. Staje się powoli przywódcą imperialistycznej grupy, która składała się z finansistów, bankierów i przemysłowców.

W kilka lat później uchodzi już za dyktatora z Essen, ciężki przemysł bowiem jest po jego stronie. Otrzymuje od przemysłu zbrojeniowego wielkie sumy na zwalczanie postępowych elementów w Niemczech, które nie chcą wojny. Za sumy te Hugenberg montuje prasę, która systematycznie przyzwyczajają Niemców do hasła wojennych. Jego wpływ na Ludendorffa jest tak wielki, że stare hasło *Drang nach Osten* przeszczepta w mózg ambitnego generała. Stary plan spółki Hugenberg — Ludendorff, przewidyjący podział Rosji na małe ksiąstewka pod niemieckimi ksa-

żętami, wywarł wielki wpływ na plany spółki Hitler — Rosenberg.

Po klęsce 1918 r., Hugenberg nie założył rąk, ale rozpoczął misterną politykę zza kulis. Stał się inicjatorem i założycielem partii *Deutsch-nationale*, która ułatwiła Hitlerowi drogę do władzy w przełomowym okresie 1932 — 33 r. Połączył przemysłowców z zawodowymi oficerami, drobnomieszczan z ziemianami. Sam stojąc w cieniu, zaprzął w rydwan swej polityki licznych publicystów i pisarzy, którzy na łamach jego pism kruszyli kopie o wielkoniemieckie ideały. Jego partia stała się jedną z podstaw Trzeciej Rzeszy Hitlera.

Tkwiąc ciągle jeszcze w romantyce czasów cesarskich, walczył początkowo ze wszystkimi. Nikt dla niego nie był dosyć niemiecki. Był śmiertelnym wrogiem *Stresemanna* od czasów Locarno. Już wówczas rozpoczął wielką kampanię przeciwko Rosji, wszczynając akcję prasową, która wytworzyła ową trującą atmosferę, wykorzystywaną później przez Hitlera dla propagowania wojennych kroków przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

Po 1929 r., kiedy Niemcy stanowiły jeden wielki tygiel, w którym stapiały się wszystkie prądy i namiętności zwalczających się partnerów, Hugenberg po ciężkich walkach w łonie własnego stronnictwa opowiedział się za dyktaturą wojskową z obaleniem istniejącej konstytucji, tzw. weimarskiej. Nieufność, jaką wzbudził wśród narodowców niemieckich do konstytucyjnych rządów, pomogła później Hitlerowi do rozwiązania Reichstagu. Hugenberg powołał ale konsekwentnie łamał wszystkie tradycje młodej republiki. Postępował tak bezceremonialnie, że zraził sobie nawet swych mocodawców, którzy raz pobudzeni do czynów woleli już raczej Hitlera. Niezadowolenie objęło powołał i drobnomieszczaństwo niemieckie, zaintrygowane poważnie swastyką.

Jesienią 1931 r. Hugenberg widząc co się święci spotkał się po raz pierwszy z Hitlerem, aby umówić warunki przyszłej współpracy. Hitler przyjął podaną mu rękę, gdyż bez Hugenberga i von Papena nigdy by nie mógł legalnie przejąć władzy w Niemczech. Spotkanie to, które odbyło się w Harzburgu, poprzedziło o rok wizytę Papena w domu kolońskiego bankiera Schroedera, gdzie po raz pierwszy spotkali się Papen z Hitlerem, Hessem, Himmlerem i Ribbentropem. Harzburg i Kolonia — to koniec Weimaru. A Hugenberg i Papen — to ostatni grabarze republiki weimarskiej.

Ale jak zwykle chytry ludzie, Hugenberg tym razem przeliczył się.

Sądził, że hitlerowcy będą mu wdzięczni do grobowej deski za pomoc okazaną w walce z lewicą niemiecką. Bez jego pomocy Hitler musiałby rozpocząć bratobójczą wojnę, której wynik nie był wcale pewny. Już po sześciu miesiącach „sielankowej” współpracy kanclerz Hitler spławił swego dobrodzieja Hugenbergą, a jego potężną ongiś partię rozpedził na cztery wiatry.

Według nowego prawa międzynarodowego Alfred Hugenberg odpowiada jednak na równi z innymi zbrodniarzami wojennymi przed trybunałem narodów zjednoczonych. Dokumenty, zebrane przez sojuszników w sprawie Hugenberga, przyniosą dalsze rewelacje zza kulis niemieckiej maszyny wojennej.

Wykażą one, że nie tylko sami hitlerowcy odpowiadają za największe zbrodnie świata, ale i inne odłamy społeczeństwa niemieckiego, które teraz tak wyraźnie odzęguje się od brunatnego reżimu.

4. PROCES, O KTÓRYM MÓWIŁY CAŁE NIEMCY

I

Przed sądem niemieckim we Freiburgu stanął w dwadzieścia trzy lata po dokonaniu swej zbrodni kapitan marynarki niemieckiej Heinrich Tillesen, który w r. 1923 zamordował skrytobójczo pierwszego ministra finansów republiki weimarskiej Mathiasa Erzbergera. Był to wybitny działacz centrowy, który podpisał w imieniu Niemiec zawieszenie broni w słynnym lasku Compiègne w 1918 r.

Hitlerowcy w chwili dojścia do władzy nazwali go parszywą owcą Weimaru. Ale w okresie republiki, dla której zginął, nie bardzo zatroszczono się o rehabilitację jego pamięci. Postanowiono to uczynić dopiero teraz, po aresztowaniu mordercy.

Gdy Erzberger zginął miał lat 46. Mając lat 28 był już posłem do parlamentu. Był członkiem potężnego stronnictwa „Centrum”, które dzielnie i długo zwalczało Hitlera. Przywódca tej partii praelat Kaas musiał po r. 1933 uchodzić z Niemiec, a ostatni kanclerz niemiecki przed brunatnym reżimem, dr Brüning był przywódcą tego katolickiego stronnictwa.

Erzberger był człowiekiem odważnym, nawet we własnym stronnictwie był w opozycji do różnych politycznych posunięć. Podczas pierwszej wojny, mimo że początkowo wierzył w zwycięstwo kajzera, zorientowawszy się, jak wiele błędów popełniły Niemcy w polityce światowej, stał się od razu zwolennikiem polityki ugodowej i zaprzestania dalszego rozlewu krwi. Słynna była jego deklaracja w tej sprawie, wygłoszona przed reichstgiem w lipcu 1917 r.

Tego odważnego wystąpienia klika wojskowa nie mogła mu zapomnieć aż do jego tragicznej śmierci i tu należy właściwie szukać źródeł przyszłego zamachu.

Rezolucja parlamentu została odłożona *ad acta*, generałowie bowiem sądzili, że nie wszystko jest jeszcze stracone. Gdy było już za późno, Ludendorff zażądał natychmiastowego zawieszenia broni. I gdy generałowie uchylali się od odpowiedzialności, cywil Erzberger wziął na siebie kierownictwo komisji zawieszenia broni, a wraz z nim i wszystkie nieszcześcia, jakie później spadały na jego głowę. Bo chociaż Erzberger nic nie robił bez wiedzy Hindenburga, ostatniego wodza pokonanej armii niemieckiej, podpis w Compiègne położył on a nie stary marszałek. Dotychczas żaden polityk nie był tak znieważany i obrzucany błotem przekleństw i złorzeczeń jak Erzberger. Hindenburg, który o wszystkim wiedział, nigdy nie uważał za stosowne wstawić się za ministrem, mającym więcej osobistej odwagi od niego. Gdy zabito Erzbergera, stary Hindenburg pozwalał uważać siebie za „wodza niepokonanej w polu armii”.

Erzberger, mimo trudnych warunków, pracował nadal nad pokojem. Wierzył w Wilsona, w Ligę Narodów, mimo sprzeciwu Niemców przyjął traktat wersalski i podpisał go. Z tą chwilą reakcja niemiecka okrzyknęła go „ojcem wszystkich nieszcześć”. Miał jednak odwagę w tych ciężkich dla Niemców latach 1919—1922, kiedy głód i inflacja były mocną bronią w rękach Wielkoniemców, być niepopularnym, na co zawsze jest narażony każdy odpowiedzialny mąż stanu, który widzi nieco dalej poza koniec własnego nosa. Jakimż kontrastem jest odwaga tego skromnego cywila wobec postawy kabotyńszczyzny z Neudeck!

W rok później Erzberger obejmuje tekę ministra finansów. Jego reforma walutowa uratowała wielu Niemców od całkowitej ruiny. Mimo to prawica nie zapomniała mu „hańby”, jaką wyrzucił prawdziwym, jak powiadali, Niemcom. Zatruwano mu życie na wszelki możliwy sposób, doprowadzając go w końcu do ustąpienia. Ale i wtedy nie dano mu spokoju. Podjudzana przez militarystów młodzież postanowiła go zgładzić, aby „w ten sposób zmyć hańbę, jaką okrył naród”. Spotkał go los Waltera von Rathenau, Róży Luxemburg i Karla Liebknechta, najlepszych Niemców, którzy nie znaleźli łaski w oczach zwolenników Kappa, Ludendorffa, Hitlera i tych wszystkich, którzy byli duchowymi ojcami odradzającego się nacjonalizmu niemieckiego i „Czarnej Reichswehry”.

Matthias Erzberger został zamordowany 26 sierpnia 1923 r.

Mordercą był młody kapitan marynarki wojennej Heinrich Tillessen, którego obecnie, po bez mała ćwierćwieczu, przypad-

kowo rozpoznano i postawiono przed trybunałem. Rzesza leży w gruzach, partia „Centrum” nie istnieje, pozostał przy życiu jedynie morderca, symbol owej epoki, kiedy ludzie dobrej woli padali od kul podżegaczy wojennych.

Po swej dymisji Matthias Erzberger przebywał na urlopie w zapadłym miasteczku w Schwarzwaldzie, z dala od Prus, których ten katolicki demokrat nienawidził z całego serca. Było to w południe, kiedy znajdował się na spacerze w lesie. Nagle zza drzew wyłonił się młody człowiek w cywilnym ubraniu i podchodząc do ministra zapytał: „Czy nie wie pan, która jest teraz godzina?” Erzberger wyjął zegarek z kieszeni, spojrzał na wskazówki.

Moment ten wystarczył, aby wyjąć rewolwer i strzelić do pochylonego człowieka. Miał wtedy, strzelając, zawołać: „Niech żyją Niemcy!”. Ugodzony czterema kulami Erzberger upadł na ziemię i konając pytał: *Aber warum...?* Odpowiedzi na to pytanie nie dał nikt... do dziś.

Morderca Tillessen nie zadowolił się bynajmniej zastrzeżeniem bezbronnego człowieka. Kopał i pluł na ciało Erzbergera, jak to czynili później jego duchowi podżegacze, gdy po dojściu do władzy rozprawiali się ze swymi przeciwnikami. Tillessen jeszcze przez pewien czas przebywał w Niemczech, a poszukiwania za nim natrafiały na dobrze zorganizowane trudności. W miesiąc po dokonaniu zbrodni Tillessen w towarzystwie czynnego oficera *Reischwehry* oraz urzędnika straży granicznej, członków organizacji politycznej, przekroczył granicę holenderską, skazując się sam na banicję. Odtąd rozpoczyna morderca awanturnicze życie, które mogło być wątkiem sensacyjnego filmu. Wprawdzie żona Tillessena w liście do wdowy po zamordowanym ministrze pisała, że mąż jej nigdy nie zaznał spokoju i przez całe życie żałował tego czynu, który określiła jako „wybuch młodości”, jednakże nic w późniejszym jego życiu nie znamionuje owej rzekomej skruchy, o której tak rzewnie wspomina pani Tillessen.

Przedostawszy się do Holandii morderca zamieszkał w Amsterdamie pod nazwiskiem dra *Klebensa*. Tym razem handlował kwiatami. Strach jednak przed rozpoznaniem nie daje mu spokoju. W jakiś czas potem widzimy go już jako chemika pod zmienionym nazwiskiem van Kleffens. Później spotykamy go w Hadze, ale afery miłosna zmusza go znów do zmiany terenu. Wybiera Włochy, gdzie spodziewa się lepszej dla siebie atmosfery. Ale i w Rzymie, gdzie usiłuje rozpętać antyżydowską hecę, nie zaznaje spokoju, gdyż i tu biegną za nim listy gończe wermarskiej republiki. Otrzymuje więc od „nieznanych” przyjaciół

brazylijski paszport i cichą wille nad Tybrem. Ale afera, tym razem, homoseksualna wywołuje nowy skandal i podobno sam Mussolini radzi mu, aby opuścił Włochy. Tillessen udaje się do Boliwii, gdzie otrzymuje posadę instruktora armii boliwijskiej, podobnie jak wielu innych zbiegłych Niemców. W Boliwii uważany jest za Hiszpana nazwiskiem *Pablo Mandeno*. Ponieważ i tutaj zawikłał się w jakiś pucz, zostaje przez rząd boliwijski odstawiony do Hiszpanii, jako uciążliwy cudzoziemiec. Po drodze zbiegł i ukrył się w Buenos Aires, gdzie trudni się handlem żywym towarem. Wkrótce dorabia się i gdy Hitler sięgnął po władzę w dziesięć lat po zamordowaniu Erzbergera, Tillessen był już właścicielem dwóch dobrze prosperujących domów publicznych w stolicy Argentyny.

Dzień 30 stycznia 1933 kładzie kres tułaczce Tillessena. I w Argentynie mimo materialnego dobrobytu, człowiek ten nie czuje się dobrze. Hitler wydaje w marcu 1933 roku swą słynną amnestię dla „wszystkich bohaterów walk narodowych”, małomocy której skrytobójcy i wykonawcy tzw. *femegerichtów* mogą spokojnie wracać do kraju. Wraca i Tillessen, witany jak bohater. Rozpoczyna karierę polityczną. Pracuje naprzód u Goebbelsa, kieruje wydziałem zagranicznych audycji w radio niemieckim, później jest współpracownikiem wywiadu Canarisa. Następnie jedzie do Londynu z misją wojskową, wreszcie osiada w Paryżu i tutaj intryguje z osławionym *Abetzem*. Wojna zastaje go w lotnictwie. Później widzimy go na stanowisku w okupowanej Grecji, pod koniec zaś w gestapo. Od chwili powrotu do kraju był poza tym aktywnym członkiem partii.

Zapłata, jak widzimy niegorsza! Jasne jest, że hitlerowcy przyznali się tym samym do zbrodni na Erzbergerze.

Po wojnie Tillessen znikł. Dopiero przypadek sprawił, że go odkryto. Okazuje się, że człowiek z okazałą brodą i polskim nazwiskiem, który w małym miasteczku w południowych Niemczech handlował znaczkami jest właśnie skrytobójcą Tillessenem. Miał przy tym czelność legitymować się kartą członkowską OdF (ofiar faszyzmu)! Policjant, który miał u siebie starą jego fotografię z listów gończych, rozpoznał w rzekomej ofierze faszyzmu poszukiwanego przez tyle lat mordercę ministra Erzbergera. Zbiega aresztowano i postawiono przed sąd. I tu dopiero rozpoznano się wielki skandal!

II

Spokojne miasto Freiburg w okupacyjnej strefie francuskiej miało sądzić kapitana Tillessena w dwadzieścia trzy lata po doko-

naniu zbrodni. Trybunałowi przewodniczył sędzia dr Göring (nomen — omen), oskarżał prokurator dr Bader, a obrońcą zbrodniarza był dr Drischel. Oskarżony, niemłody już człowiek, był milczący i obojętny. Tyle przeżyć w tak krótkim czasie zniesczuliło go zupełnie. Nie zaprzeczył bynajmniej, że jest mordercą. Wspomniał tylko, że pomocnikiem jego był niejaki Schultz, który w lesie koło Kniebis zranił Karla Dietza, posła do reichstagu, towarzysza Erzbergera.

Nie chciał natomiast mówić o politycznych kulisach swego czynu, ani też o organizacji Consul, do której należał, ani o brygadzie Ehrhardt, która nasłala go na Erzbergera. Na pytanie, kto dał mu pieniądze i umożliwił ucieczkę, Tillessen odpowiedział: „Organizacje narodowe”. Dodał jeszcze, że żałuje swego czynu, który określił jako ohydny. Nacierpiał się, powiada, wiele podczas ucieczki i wygnania i poznał wszystkie „rozkosze” ukrywania się przed sprawiedliwością, nim wreszcie uwolniła go od tej zmory amnestia Hitlera z 1933 r. Sąd nie badał jak należało oskarżonego i zupełnie zadowalała się jego skąpyimi odpowiedziami. Można było wyczuć, że raczej jest po stronie oskarżonego, którego czyn prawie że został już w społeczeństwie niemieckim zapomniany. Wyciągać stare brudy, w czasie gdy wszyscy potępiają Niemców, sąd uważał widocznie za niewłaściwe. Odnosiło się wrażenie, że pan przewodniczący Göring chętnie by całą sprawę odłożył *ad calendas graecas*. Tak też później uczynił.

Oskarżyciel publiczny dr Bader zażądał kary śmierci. Motywując swój krok, prokurator m. in. oświadczył: „Za mną stoi jako współoskarżyciel pierwsza niemiecka republika, która wobec swych przeciwników była zawsze zbyt wyrozumiała i zbyt przyzwolita. Inicjatorami tej zbrodni byli ci, którzy później stali się trzonem partii hitlerowskiej. Ci sami ludzie z organizacji Consul i brygady morskiej Ehrhardt pomagali w puczu Kappa i Hitlera, ich skrytobójcze kule dosięgły najlepszych synów naszej ojczyzny. Ci mordercy jak Tillessen uznani zostali później przez swych hersztów za bohaterów narodowych, którym stawia się pomniki...”

Zdawałoby się, że los Tillessena jest przesądzony. Gdy sąd wrócił z narady, przewodniczący dr Göring ogłosił, że przychyła się do wniosku obrońcy Tillessena, który żądał uwolnienia swego klienta ze względu na przedawnienie, zgodnie z ustawą amnestijną Hitlera z marca 1933 r. Trybunał niemiecki w dwa lata prawie po wojnie nie zważając na czyn i charakter przestępstwa oskarżonego, oparł się w swojej decyzji na ustawie hitlerowskiej, która miała na celu morderców kalibru Tillessena uwolnić od kary za zasługi oddane partii. Oczywiście, że tego już

było za wiele nawet dla dość liberalnych pod tym względem władz okupacyjnych francuskich. Natychmiast na sali policja wojskowa aresztowała Tillessena, a z Baden-Baden nadeszła wiadomość, że przewodniczący dr Göring zostaje złożony z urzędu. Młoda demokracja niemiecka ma jeszcze jedną prowokację reakcji, a koła nacjonalistyczne nowego bohatera w osobie sędziego Göringa.

Próba uwolnienia skrytobójcy Tillessena na podstawie ustawy hitlerowskiej pozwala nam nieco głębiej wniknąć w atmosferę panującą obecnie zwłaszcza w zachodnich Niemczech. Tutaj niepodzielnie faktyczną władzę ma w swoich rękach stara reakcja niemiecka. Ta sama, która natchnęła Papena, Hugenberga i Schacht, aby poparli Hitlera i wydali mu Niemcy na zatrąę. I nie jest to także bez znaczenia, że właśnie w sądownictwie niemieckim i dziś, jak ongiś przed dwudziestu laty, kiedy zamordowano Erzbergera, znalazła swe siedlisko „czarna sotnia” niemiecka. Podobnie jak dawniej i dziś sądownictwo niemieckie zaczyna podkopywać się pod demokrację. Wyrokiem tym bowiem Niemcy znów sygnalizują światu, że „na zachodzie bez zmian”. I że reakcja siedzi tak mocno jak dawniej, pomimo słabych znaków życia demokracji niemieckiej, która wyrok ten nazwała „hańbą odradzających się z popiołów Niemiec”.

Komuniści niemieccy nazywają proces freiburski sygnałem do ofensywy, jaką reakcja niemiecka przygotowuje pod osłoną drobnomieszczańskich partij w Niemczech.

Skandal sądowy we Freiburgu znajdzie jeszcze swoje echo w walkach wewnętrznych Niemiec. Dla nas jest on tylko potwierdzeniem tych tez, jakie nie od dziś głosimy: Niemcy są krajem na wskroś przeżartym nacjonalizmem, który, acz przyćmił, gdzie tylko może daje znać o sobie. Kto tego nie dostrzeżga lub pragnie nie dostrzec, będzie swej krótkowzroczności politycznej tak gorzko żałował, jak ostatni demokraci niemieccy, kiedy na wygnaniu popełniali samobójstwa, w osamotnieniu i z tym przeświadczeniem, że przecież mogli złu zapobiec, mając kiedyś władzę w ręku.

5. „KRISTALLNACHT”

Kto zwiedził dokładnie Niemcy, kto zajął do domów i chat, kto był w fabrykach i w jadalniach, kto miał czas na teatr niemiecki i kawiarnie, ten wie dobrze, że antysemityzm nie wygasł w narodzie niemieckim. Co najwyżej jasny płomień nienawiści niemieckiej do Żydów pokrył popiół ogólnej klęski i strach

przed karą. Ale pod tą niezbyt nawet grubą powłoką rzekomej skruchy tli nadal, tu i ówdzie wybuchając ogniskami jadu rasowego, tajony acz powszechny antysemityzm. Powie ktoś, że przecież ciągle czytamy o dowodach ekspiacji za popelnione zbrodnie, że są procesy, że Żydom wcale nieźle powodzi się w Niemczech, słyszymy o dowodach sympatii dla powracających zbiegów, o odbudowie spalonych synagog przez ludność niemiecką, słowem skrucza na całej linii.

Nic błędniejszego! Świątynie żydowskie i procesy nie są dziełem skruszonych Niemców. To jest robota władz okupacyjnych rękoma niemieckimi. Jeśli Niemcy tolerują u siebie Żydów, to dlatego, że muszą i nie mają na to rady. Tak samo muszą tolerować u siebie i Polaków w obozach. Milczą, ale ich milczenie jest równocześnie wielkim krzykiem wewnętrznym, a w oczach ich maluje się tak wyraźna pogarda i nienawiść, że wystarczy tylko spojrzeć, aby zrozumieć co by się stało, gdyby tak pewnej nocy zniknęły wszystkie bariery strefowe i okupant cicho wyniósł się z Niemiec!

Nie byłem więc wcale zaskoczony, gdy pewnego dnia gazety niemieckie podały kilka charakterystycznych faktów. W Monachium grupa zorganizowanych bojówkarzy hitlerowskich napadła na wiec kobiet, na którym protestowano przeciw pogromom żydowskim pamiętnego 9 listopada 1938 r., który przeszedł do historii Żydów jako *Kristallnacht*. Wszystko wtedy płonęło tak jasnym ogniem jak kryształy. Na cmentarzu żydowskim w Bothfeld koło Hanoweru, który dopiero niedawno odbudowano, grupa niewykrytych sprawców zbezczeszczyła ponownie groby i splądrowała dom przedpogrzebowy. Dwanaście nagrobków zniszczono, ciała wyrzucono i złupiono. Wszystkie urządzenia w pokoju dla zmarłych zdemolowano. Brytyjskie władze orzekły, że napad ten miał wszystkie cechy antysemitycznych wybrków przedwojennego pokroju.

Nie bez znaczenia jest i ten fakt, że sklep żydowskiego właściciela Richarda Francka w Herfordzie został w nocy pomalowany swastykami, a samochód jego podpalony i zniszczony doszczętnie. Franck był więźniem Buchenwaldu przez pięć lat.

Nie można twierdzić, że cały naród niemiecki jest antyżydowsko nastrojony. Nie był nim i w czasach triumfów Hitlera. Ale powtarza się stara historia. Jedni uprawiają akcję rasową, a inni — milczą. Tak było w r. 1933, tak jest i dziś. Znow w narodzie niemieckim dochodzą do głosu owe elementy, które mordowały Żydów na ulicach Berlina, by później wyposażone w nowoczesną technikę uśmiercania wygubić miliony Żydów w komorach gazowych Europy.

Wypadki, o których wspomniałem zdarzyły się w rocznicę owej tragicznej nocy 9 listopada 1938 r., kiedy wyjące hordy hitlerowskie przeciągały ulicami miast niemieckich, rozbijały szyby, płađrowały sklepy, podpalały bóżnice, nie dopuszczając straży ogniowej do gaszenia pożarów, tej samej złowrogiej nocy, kiedy do mieszkań żydowskich wpadały bojówki SS i SA, wyciągając przeszło czterdzieści tysięcy kobiet, starców i dzieci z domów i wysyłając na zatrąę do pierwszych obozów zniszczenia. Goering przed Trybunałem oświadczył, że robił, co było w jego mocy, aby rozmiary tego pogromu i szal niemiecki powstrzymać, że nie pozwalał szturmowcom rabować, ale spontaniczność odruchu narodu za zabicie von *Ratha* w Paryżu przez Żyda *Grünbauma* była tak silna, że nawet jego osobisty autorytet niewiele mógł zdziałać.

Wiemy dziś, że zamordowany von *Rath* był przyjacielem hitlerowskiego Olimpu i że szturmowcy postanowili się zemścić. Ale w jakimże kraju podobny pogrom i wymordowanie dziesiątek tysięcy niewinnych ofiar za jednego człowieka byłoby możliwe?

Podczas przeglądania dokumentów norymberskich wpadły mi w ręce depesze, jakie owej „kryształowej nocy” z 9 na 10 listopada 1938 r. kursowały między generalicją hitlerowską. Kat z *Lidic* *Reinhold Heydrich*, szef gestapo *Müller*, osławiony zbir, szef sztabu do specjalnych akcji w *RSHA*, generał SS *Oko* — oto galeria zbrodniarzy, która przygotowała berlińską noc św. *Bartłomieja*. Posłuchajmy co zawiera tajny kablogram, nadawany w czasie pogromów:

Tajne. Pilne. Monachium 47607, 10/11, godz. 1,20 w nocy. Do wszystkich oddziałów Stapo i dowódców policji, do SA! Dotyczy aresztowań Żydów dzisiejszej nocy. Z powodu zamordowania radcy legacyjnego von *Ratha* w Paryżu należy się dzisiejszej nocy spodziewać demonstracji przeciwko Żydom w całej Rzeszy. Policja powinna czuwać nad porządkiem tylko o tyle, o ile zajdzie groźba naruszenia życia lub mienia niemieckiego. Należy np. ratować podpalone synagogi, jeśli przylegają do niemieckich domów. Porozumieć się z politycznym kierownictwem akcji we wszystkich okręgach i powiatach, zawiadamiając, że policja otrzymała rozkazy od reichsführera SS i niemieckiej policji. Przyciągnąć do akcji miejscowych dowódców policji porządkowej. Po akcji należy aresztować tyłu Żydów, ilu tylko mogą pomieścić miejscowe areszty. Brać tylko bogatych. Porozumieć się natychmiast z dowództwem obozów koncentracyjnych w sprawie szybkiego ulokowania aresztantów.

Podpisano: *Heydrich*, SS-Gruppenführer.

Aby jednak zachować porządek, nie zapomniano i o takich wskazówkach:

Policyjna obsługa iskrowa. 10/11. Stacja Hanower. Pilne. Tajne.
Do wszystkich komórek policyjnych. Gdy tylko nadejdą wiadomości z okręgu o wstrzymaniu akcji przeciwko Żydom, natychmiast przystąpić do zabijania sklepów deskami, aby zniszczenie było jak najmniej widoczne. Zgłaszać synagog itp. możliwie szybko usunąć.

Podpisano: szef policji porządkowej *Oko*.

Hitlerowców początkowo lekceważono. W 1923 r. wyśmiewano Hitlera i kpiono z jego *Mein Kampf*, gdy opuścił twierdzę w Landsberg. Gdy zorientowano się w niebezpieczeństwie, było już za późno. Trucizna objęła cały organizm „demokratycznych” Niemiec. To samo obserwujemy dziś.

6. O CZYM MYŚLĄ DZIECI NIEMIECKIE

Jednym z najbardziej charakterystycznych obrazków życia ulicznego w miastach niemieckich jest widok zebranych dzieci. Włóczą się wyrostki, chłopcy i dziewczęta po wszystkich najbardziej atrakcyjnych punktach miasta, nagabując żołnierzy i cudzoziemców, godzinami wyczekują przed sklepami lub kantynami oficerskimi, bądź też oblegają kawiarnie i kluby. Dzieci niemieckie czynią to z wprawą zawodowych żebraków. Mają swoje upatrzone stanowiska, zasób koniecznych słów angielskich bądź francuskich, „nieszczęśne” miny i figlarne uśmiechy, zwłaszcza jeśli „ofiara” ataku jest kobieta, siostra z Czerwonego Krzyża lub funkcjonariuszka UNRRA. W godzinach obiadowych lub kolacyjnych dzieci te ławicami nawiedzają pewne okolice, jazgotem niezrozumiałych słów i piskiem znacząc po ulicach swój szarańczy pochód. Mali ci żebracy stali się z czasem postrachem wszystkich kantyn i klubów, a władze musiały nawet zabronić oficerom o czułych sercach rozdawania produktów. Odtąd *Military Police* rozpoczęła formalną walkę z tym najazdem. Dzieci nie dały za wygraną, stosują tylko bardziej przewrotne metody w atakowaniu „wroga”.

Człowiek nieorientowany w stosunkach niemieckich mógłby w czułości swego serca sądzić, że biedne dzieci niemieckie nie mają co jeść i z tego powodu zmuszone są żebrać na ulicy. Nic podobnego! Nie widziałem lepiej ubranych, starannie wypielęgnowanych i troskliwiej odkarmionych dzieci niż niemieckie. Zwiedziłem wiele miast w Niemczech i muszę przyznać, że ani w Polsce, ani we Francji, ani na Bałkanach nie widziałem tak beztrosko bawiących się i tak przyjemnie wyglądających malców, jak np. w Berlinie! Niektóre z nich wyglądają wprost jak z okładki amerykańskiego magazynu.

Skąd więc to żebractwo?

Całkiem proste.

Dzieci niemieckie mają dość normalnego pożywienia. I na kartki i dzięki zapobiegliwości swych rodziców. Nie chcą jeść ciągle chleba z masłem czy mięsem, ale zachciewa się im czekolady oraz innych smakołyków. Troskliwe matki wskazują im, gdzie jest źródło tych specjalów. Dzieci niemieckie żebrzą o czekoladę, pomarańcze, cukierki dla siebie i o papierosy dla swych ojców.

Wśród żebraków tych można wyraźnie rozróżnić klasy i stany. Biedniejsi zbierają niedopałki papierosów, resztki porzuconych konserw, inni domagają się od przechodniów czekolady lub papierosów; są i tacy, którzy chętnie przyjmują pieniądze. Nie spotkałem jednak jeszcze nigdy niemieckiego dziecka, które prosiłoby o chleb. Jak opowiadał mi jeden z amerykańskich podoficerów, który pracował w kuchni oficerskiej, bardzo rzadko mali ci żebracy reflektują na obiad, a prawie zawsze na słodczy. Powstały już nawet małe szajki żebracze, które grasują w pobliżu wojskowych restauracji, stale zmieniając obsadę, zależnie od pory dnia i wydawanych posiłków. Te same bandy pikietują żołnierzy, odbierających swe racje tygodniowe w specjalnych sklepach. Są tak natarczywe, że nie ma prawie żołnierza, który dla świętego spokoju nie okupiłby się jakimś datkiem. Dochodzi czasem do tego, że przed takim sklepem stoją dwie kolejki: w jednej żołnierze po racje, drugą równoległą tworzą dzieci. Każdy malec ma już z góry upatrzoną ofiarę, którą natychmiast po odebraniu przez nią przydziału atakuje energicznie i prawie zawsze z powodzeniem.

Bo, jak mówią Niemcy, ich dzieci nie mogą żyć bez czekolady i ciastek.

Najlepszym dowodem tego było zachowanie się uwolnionego od stryczka dra Schachta, który w godzinę po wyjściu z sali sądowej w zamian za autograf zażądał słodczy dla swych dzieci, „które już tak dawno nie jadły czekolady”. Podczas gdy nasze w czasie okupacji puchły i umierały z głodu, dzieci niemieckie dzisiaj, po przegranej wojnie, mają więcej czekolady niż za czasów Hitlera. Wprawdzie zabronione jest rozdawanie Niemcom produktów pochodzenia amerykańskiego, ale trudno z drugiej strony wymagać przestrzegania tego przepisu, skoro dziecko czepia się człowieka, błagalnymi oczkami i nieszczęsną miną żebrząc o cukierek...

Już niejednokrotnie miałem sposobność przekonać się, jak przebiegłe i chytne bywają dzieci niemieckie. Jak potrafią „czarować”, ile sprytu i doświadczenia kryje się w ich główkach pod

maską cierpienia. W Niemczech rośnie pokolenie doświadczonych żebraków, którzy jeszcze niejedną niespodziankę sprawią swym miłosiernym darczyńcom. Po pierwszej wojnie Niemcy podobną metodą żebraczą okpiłi cały świat. Za pożyczane pieniądze uzbroidli się. Za wyludzone towary i żywność wykarmili i odziali swych żołnierzy. A dobrotliwy świat płakał nad ich losem. Podobnie jest i teraz. Tylko do ataku poszły dzieci niemieckie, pouczane przez rodziców, którym jakoś nieporęcznie jest działać na własną rękę. Po trosze może i dlatego, że „jest się cokolwiek skompromitowanym”, jak mówią Krausowie i Schulzowie. „Nam się już nie wierzy — powiadają między sobą — może dzieciom uwierzyć”.

Dzieci niemieckie, jak zresztą wszystkie dzieci na świecie (jedynie hitlerowcy tego nie uznawali, pamiętacie?) są miłe i przyjemne. Gdy proszą o coś trudno im odmówić. Nie jesteśmy przecież hitlerowcami, aby maltretować lub w kołyskach mordować niemowlęta. A cóż dopiero taki Amerykanin lub Kanadyjczyk, który niczego nie zaznał, a wszystkie okrucieństwa zna tylko z opowieści! Gdy spotyka małe, schludne dziecko, które się doń uśmiecha i wyciąga małą rączkę po cukierek, zapomina o polityce i daje, co ma przy sobie. Czasem wiele. Nieraz zabiera do domu i przypominając sobie własne dzieci, gdzieś hen! w Ontario czy nad Missisipi, obsypuje wprost łakociami. Nić przyjaźni zostaje nawiązana. Później przychodzi do mieszkania rodziców dziecka, z kolei lituje się nad ich losem. Może pozna córkę tych ludzi, może młodą matkę. Sztafeta przyjaźni dobiega mety. Trudno później wymagać od niego, aby był obiektywny w różnych sprawach niemieckich. Gdy się kilku takich panów zbierze w klubie na herbatce, dyskusje z reguły toczą się na tematy niemieckie. Panowie piją whisky i litują się nad biednym narodem niemieckim, którego dzieci muszą żebrać o czekoladę na ulicy. Padają różne słowa, wreszcie zaczyna się napadać na tych polityków, którzy żądają ukarania Niemców. I w ten sposób, tak prosty a tak perfidny, dzieci niemieckie stają się apostołami zbawienia własnego narodu.

Niebezpieczeństwo takiego postępowania rozumieją i Amerykanie. W ciągu ostatniego roku wiele zrobiło się na polu reedukacji dzieci. Żebractwo jest tępione. Ale i Niemcy nie zaspiają gruszek w popiele. Uświadamiają swoje dzieci, o co toczy się walka. Dziś każdy berbeć i skrzat berliński orientuje się w sprawach politycznych. Wie co mówić i jak odpowiadać w zależności od strefy i od munduru pytającego. Dzieci niemieckie stały się obecnie żołnierzami odradzającego się nacjonalizmu,

tym bardziej niebezpiecznymi, im są bezbronniesze i pokorniejsze. Pokora, za którą kryje się dobrze ukartowany plan gry.

Otrzymałem niedawno wyniki pewnej ankiety, którą władze amerykańskie rozpięły wśród dzieci niemieckich w Bad Kissingen. Pytanie brzmiało: Dlaczego Amerykanie są w Niemczech?

Dzieci miały odpowiedzieć krótko, najwyżej w stu słowach.

Pewien 10-letni chłopiec pisze: „Amerykanie przybyli do nas, aby nas wyzwolić, uwolnić od hitleryzmu, uczynić z nas państwo demokratyczne, ukarać hitlerowców itd. Wszystko to jest w porządku. Ale dlaczego niszczą oni tyle żywności?“. Inny malec pisze: „Amerykanie wkroczyli tutaj, aby położyć kres naszej potędze, ponieważ boją się nas i naszego wojska. Takie jest moje zdanie“.

Oto kilka dalszych wypowiedzi:

Amerykanie nie chcą, aby Rosjanie zajęli całą Europę i dlatego są u nas. Chcą podobno zbawić Niemcy.

Amerykanie chcą podzielić nasz kraj na małe państwa, aby zapobiec nowej wojnie. Pragną też uchronić nas przed Rosją... Amerykanie przybyli do Niemiec, aby zniszczyć nam przemysł...

W tym duchu pisane są odpowiedzi dzieci od 7 do 10 lat. Chwalą Amerykanów, narzekają na Rosjan, podobnie jak czynią ich ojcowie w knajpach. Ponieważ rzecz dzieje się w strefie amerykańskiej. Gdyby ankieta rozpisana była w strefie sowieckiej, napadano by na „brutalnych Jankesów“ a chwalono by Rosjan. Bo Niemcy, od dzieci do starców, potrafili być bardziej ulegli niż zmaltretowane zwierzę i bardziej podstępni niż kobra. Tak było za Henryka Ptasznika, tak jest za Kurta Schumachera.

Posłuchajmy jeszcze, co myślą dzieci w wieku od lat 10 do 12. Oto garść wypowiedzi:

Amerykanie przybyli po to, aby skończyć z chaosem, jaki tu panuje. Sądzą bowiem, że Niemcy mają już dość wojaczki...

Po klęsce jesteśmy stale prowokowani i słabi. Amerykanie przyszli do nas po to, aby chronić nas przed znów kłócącymi się partiami...

Po kapitulacji pozostaliśmy bez wodza. Amerykanie zastępują nam go...

Alianci okupują nasz kraj i zainteresowani są jedynie w wyzyskiwaniu jego bogactw naturalnych. Tylko Amerykanie mogą nam pomóc...

Amerykanie przyszli po to, aby skazać nas na biedę i nie pozwolić na odrodzenie się naszej nauki i kultury.

Amerykanie nie są wcale lepsi od innych. I oni nas pragną tylko zniszczyć. Nie tylko politycznie, ale gospodarczo i ekonomicznie...

I takich odpowiedzi nie brakło. Pochodzą one, jak stwierdzono, od dzieci, których rodzice siedzą w obozach za hitleryzm. Dzieci natomiast Niemców, którzy żyją dostatnio lub pracują u Amerykanów, były w odpowiedziach swych bardziej oportunistycznie nastawione. Ankieta podaje jeszcze wypowiedzi dzieci od 12 do 16 lat. Są one niezmiernie charakterystyczne dla tego wieku. Młodzież ta bowiem przeszła już przez hitlerowską szkołę życia. Posłuchajmy kilku próbek:

Amerykanie przybyli do nas jedynie w tym celu, aby zniszczyć nasz przemysł i wykreślić z międzynarodowego handlu napis „Made in Germany“...

Niektórzy mówią, że Amerykanie są u nas dlatego, że będzie wojna z Rosją...

Amerykanie są tu po to, aby zapewnić nam równy przydział żywności i urządzić nam życie demokratyczne. Moim zdaniem, przybyli tu jedynie dlatego, żeby nie pozwolić narodom wschodnim zagarnąć całe Niemcy.

Dzieci z Bad Kissingen nie są odosobnione w swych sądach. Tak myślą ich rówieśnicy i w innych miastach. Chyba, że zajęci są polowaniem na czekoladę lub gumę do żucia i nie mają czasu na pisanie. Nic więc dziwnego, że władze amerykańskie w Bad Kissingen obiecały za każdą odpowiedź paczkę słodczy. Dzieci niemieckie bowiem są bardzo praktyczne i nie zamierzają tracić czasu bez korzyści. Ich nauczyciel Goebbels, nazywał to „walką o dobrze zastawiony stół...”.

7. BRUNATNY HAMBURG

Powszechnie uważa się w Niemczech, że strefa brytyjska stała się Eldoradem dla politycznie skompromitowanych lub hitlerowskich aktywistów, którzy nie utracili jeszcze nadziei powrotu „starych, dobrych czasów”. Płyną więc tutaj ze wszystkich stron Niemiec ludzie, którym w innych strefach grunt palili się pod nogami lub którzy czuli się niezbyt dobrze pod skrzydłami odradzającej się — wśród śmiertelnych bólów — demokracji niemieckiej; zwłaszcza ze strefy wschodniej rekrutuje się najwięcej „uchodźców”.

Jeśli „brunatni ludzie” czują się bezpieczniej pod rządami Albionu, to już chyba najspokojniej żyją w Hamburgu. Nikt tutaj bowiem nawet nie stara się — jak jeszcze było na początku okupacji — przemałować swój niedawny szyld polityczny. W kabaretach niemieckich słyszy się ciągle dowcipy na ten temat. Ale np. komuniści w Hamburgu nie mają doprawdy po-

wodów do śmiechu. Odnoszą oni nieraz wrażenie, że zbliża się rok 1933.

Muszą oni przyglądać się, jak hitlerowcy spokojnie spacerują po parkach, prowadzą swe sklepy, rozbijają się po mieście autami—nawet jeśli nie pracują!—podczas gdy biedota mieszka nadal w zalanych bunkrach, godzinami czeka na mrozie na skromne przydziały, pieszko pokrywając kilometrowe drogi do pracy.

Ludzie, którzy wracają z obozów koncentracyjnych, spotykają na mieście niedawnych denuncjatorów, delegatów i siepaczy gestapo, którzy ich niedawno jeszcze torturowali. Podczas gdy sami chodzą w łapciach i pasiakach, spotykają swych gnębicieli w dobrych ubraniach i całych butach. Hitlerowcy palą amerykańskie papierosy i mieszkają dotąd w luksusowych mieszkaniach. Urząd mieszkaniowy jest głuchy na wszelkie skargi. „Protekcja łańcuskowa” działa tu znakomicie. Hitlerowcy doskonale sobie pomagają.

A przy tym wszystkim — Hamburg jest dziś miastem głodu i bezrobocia. Anglicy trzymają wszystko mocno w rękach, a mając doświadczenie kolonialnych rządów, wiedzą, jak i gdzie należy postępować, aby obie strony brały się „za łby”. Gdy lewica wychodzi z demonstracją na ulicę, wnet znajdują się prowokatorzy, którzy intonują *Horst-Wessel-Lied*. Przywódcy komunistyczni nigdy nie są pewni, czy akcja ich nagle nie przemieni się w hitlerowski wiec. Stąd rezerwa w ich postępowaniu. Zbieranina hitlerowska z całych Niemiec czeka tylko przecież na okazję zamanifestowania swych prawdziwych uczuć.

Lewica hamburska ma też wielkie trudności u władz niemieckich. Burmistrz miasta, reemigrant z Ameryki Max Brauer, postępuje tak, jakby co najmniej tolerował wybryki hitlerowskie w Hamburgu. Znany reakcjonista (i zacięty wróg Polaków) dr *Schlange Schoeningen*, szef aprowizacji na całą strefę brytyjską, decyduje o polityce żywnościowej. Ten właśnie człowiek, jako oficer tajnej organizacji *Escherich*, znany był zawsze jako militarysta, antysemita i nacjonalista pokroju Hugenberga. Radio hamburskie prowadzi systematyczną hecę przeciwko KPD i SED. Trudno więc dziwić się, że demokraci hamburscy są obecnie w defensywie.

Hamburg dziś głoduje, marznie i nie pracuje. Kto dawniej kradł i rabował na terenach okupacyjnych w latach 1941 — 44, ten ma dziś co do gęby włożyć. Czarny rynek kwitnie, jak nigdy dotąd, starzy partyjnicy zaś robią świetne interesy, bo mają i towary, i walutę i dobre stosunki z Brytyjczykami. Cóż ma pościć wygłodniały robotnik portowy albo marynarz bez pracy?

Z czego mają żyć ludzie, którzy — nie będąc członkami partii — poza skromną płacą niczego w raju hitlerowskim nie dorobili się?! Słusznie powiada do mnie pewien robotnik w dokach: „Za Hitlera nie miałem czasu bogacić się, bo musiałem cały dzień pracować, a niedzielę poświęcić dla Wehrmachtu. Na wschód nie wysyłano ludzi, którzy nie mieli książki partyjnej. Teraz doki stoją, a ja nie mam z czego żyć...”

W tym samym czasie, kiedy słyszę te słowa, dowiaduję się, że prawie wszystkie doki, fabryki i zakłady przemysłowe pozostają nadal w rękach lub pod zarządem hitlerowskim. Takie firmy, jak *Blohm i Vos, Menck i Hambrock, Schnelke i Mayer*, znane na całym świecie przedsiębiorstwa budowy okrętów, roją się od byłych aktywistów NSDAP, od dyrektorów poczynając a na woźnych kończąc. Zgodnie z maksymą: „ręka rękę myje”. Wymieniono mi szereg nazwisk, podawano szczegóły, sypano faktami, ale trudno doprawdy o wszystkim pisać, skoro można ogólnie powiedzieć, że Hamburg stał się jedną wielką meliną dla zbrodniarzy hitlerowskich.

Przytoczę tylko jedno nazwisko, które polskiemu czytelnikowi nie powinno być obce: dyrektorem wielkich składów żywnościowych w Hamburgu jest *Rudolf Ernst*, stary członek partii, współpracownik i doradca hitlerowskiego ministra wyżywienia *dra Backe*, który podczas wojny rabował w Polsce i w Rosji żywność dla Niemiec. Ostatnio był tzw. *treuhänderem* naszych cukrowni. Jak powiadają, dorobił się milionów, z których i teraz żyje, popierając hojną ręką swych dawnych towarzyszy partyjnych.

Kierownikiem wodociągów w Hamburgu jest dyrektor *Dienes*, prawa ręka *Alberta Speera* w jego ministerstwie uzbrojenia i amunicji. Tajny radca *Bücher*, prezydent koncernu *AEG*, członek Rady Zbrojeniowej „tysiącletniej Rzeszy”, został przez tutejszą komisję denazifikacyjną zrehabilitowany i nadal prowadzi oddział tego trustu zbrojeniowego w Hamburgu.

Zresztą wszyscy ci ludzie trudnią się obecnie pośrednictwem między kapitałem angielskim a dawnymi właścicielami fabryk, starając się w ten sposób przeciwstawić się socjalizacji przemysłu hamburskiego, który — ze względu na swe znaczenie — najwcześniej i najłatwiej mógł być upaństwowiony. Nie brak też i tu emisariuszy przemysłu amerykańskiego, którzy przybywają tu z pobliskiej Bremy. Właśnie prasa wspomnianego *Schlange-Schöningena* gorąco popiera wysiłki kapitalistów zagranicznych, dowodząc, że upaństwowienie fabryk jest bardzo niedemokratyczne, gdyż przede wszystkim godzi w interesy „szarego akcjonariusza”. Jest to oczywisty *bluff*, gdyż odspre-

daż pewnej ilości akcji szczupłej garstce robotników była tylko zręcznym manewrem kapitalistów, liczących się z nastrojami wśród elementów portowych. W gruncie rzeczy, nikt w fabrykach poza tymi „rekinami” nie miał nic do gadania.

Tak wygląda Hamburg w r. 1947. Dla nastrojów panujących w tym mieście bardzo charakterystyczny jest wypadek, jakiego świadkiem był jeden z moich znajomych w tramwaju. Konduktor zauważył, że jedna z kobiet, która wsiadała do wozu, miała w klapie znaczek ze swastyką. Konduktor oświadczył otyłej Walkirii, że ma natychmiast zdjąć znaczek i opuścić tramwaj. Publiczność z małymi wyjątkami stanęła po stronie zwolenniczkii Hitlera, która zawołała na cały głos: *Der Führer braucht Männer und keine Schweinehunde...* (Wódz potrzebuje mężczyzn a nie świń).

Czerwony ongiś Hamburg, miasto rewolucyjne, którego zaw sze bał się Hitler, jest dziś w miejsce Monachium — *Die Stadt der Bewegung*. Ludzie chodzą w mundurach, często noszą dawne odznaki lub ordery, salutują sobie wzajemnie, intrygują w *bierstubach*, oficerowie Wehrmachtu są pełni wigoru, skoro pod miastem stacjonują ich oddziały.

I wszyscy czekają. Niecierpliwie czekają na nową demonstrację przed ratuszem, aby znowu zaśpiewać *Horst-Wessel-Lied...*

Rację miał mój rozmówca, niemiecki komunista, twierdząc, że partia jego nie może jeszcze demonstrować na ulicach Hamburga. Ciekaw jestem — jak długo.

8. KARIERA PODŻEGACZA WOJENNEGO Nr 1

Z cyklu procesów przeciwko niemieckim zbrodniarzom wojennym, które z wielkim nakładem pracy prowadził w Norymberdze gen. Telford Taylor, następca sędziego Roberta Jackson w *War Crimes Commission*, na specjalną uwagę zasługuje rozprawa przeciwko znanemu przemysłowcowi hitlerowskiemu Friedrichowi Flickowi, i jego czterem pomocnikom: Otto Steinbrinkowi, Konradowi Kaletschowi, Bernardowi Wessowi oraz Hermanowi Terbergerowi. Akt oskarżenia przygotowany przez prokuratora *Thomasa Erwina* zarzuca oskarżonym przestępstwa przeciwko pokojowi oraz zbrodnie przeciwko ludzkości. Flick i jego pomocnicy olbrzymimi środkami finansowymi wspomagali akcję eksterminacyjną Himmlera przeciwko Słowianom i Żydom, bogacąc się równocześnie na zagrabionych majątkach swych ofiar.

Po raz pierwszy zasiedli więc na ławie oskarżonych nie tylko kaci i siepacze reżimu hitlerowskiego, ale i ich mocodawcy. Dla nikogo bowiem nie jest już dzisiaj tajemnicą, że właśnie kapitał niemiecki poparł Hitlera w jego zbrodniczych planach imperialistycznych. Bez pieniędzy i koncernów stalowych Kruppa, Flicka, Thyssena czy Heinckla, bez pośredników w rodzaju Schachta czy Schroedera, bez giełdjarzy pokroju Stinnesa lub Pfordmenges — Hitler nie mógłby marzyć o karierze.

Długo domagano się rozpoczęcia procesu przeciwko patronom hitleryzmu. Wiele komentarzy wywołało swego czasu odroczenie procesu Kruppa ze względu na „zły stan jego zdrowia”. Wskazywano wtedy, że przecież i Kaltenbrunner przez kilka miesięcy leżał w szpitalu więziennym, a nikomu nie przyszło na myśl, aby sprawę jego odroczyć. Niektórzy dopatrywali się w tym ręki międzynarodowych kapitalistów, którzy czuliby się dość nie-swojo podczas odczytywania aktu oskarżenia przeciwko Krup-powi. Wiemy bowiem wszyscy dobrze, że magnaci przemysłowi Trzeciej Rzeszy utrzymywali dobre stosunki z zagranicą, a wymiana pakietów akcji nie należała tu do jakichś wyjątków.

I z tych powodów proces Flicka był bardzo ważny. Wraz bowiem z nim wyszły na światło dzienne machinacje innych dobrze zamaskowanych sił, które były lontem w europejskiej beczce prochu.

Kim jest oskarżony Flick i jakie były jego wpływy?

Powszechnie uważano go w Niemczech za istotnego władcę Trzeciej Rzeszy. Pod koniec wojny uchodził on za właściciela największych zakładów przemysłu zbrojeniowego, jakie znajdowały się jeszcze w prywatnych rękach. Był to koncern-gigant, z którym ledwie konkurować mogły państwowe zakłady stalowe *Hermann Goering — Werke*. Flick miał w swych rękach kopalnie węgla, rudy żelaznej, stalownie, huty, przemysł syntetyczny oraz fabryki broni — od czołgów począwszy, a na samolotach kończąc. Słowem — był decydującym czynnikiem w niemieckiej organizacji wojennej. Koncern Flicka występował pod firmą *Friedrich Flick — Kommandgesellschaft*, której wyłącznym właścicielem był on sam, mimo że niektóre fabryki nominalnie należały do jego synów. Uchodził też za najbogatszego człowieka w Niemczech. Kapitał akcyjny pod koniec wojny dochodził do dwóch miliardów marek, rezerwowo prawie do miliarda.

Do tak zawrotnych sum doszedł Flick w krótkim czasie, rozpoczynając karierę przemysłowca od zwykłego handlarza złomu żelaznego, który we właściwym czasie ocenił trafnie znaczenie szmelcu i odpadków dla maszyny wojennej Niemiec. Stały się

one namiastką surowców, których poskapiła Niemcom ich własna ziemia.

Dzięki różnym machinacjom, których był mistrzem niezrównanym, Flick doszedł do takiej siły, że gdy zarząd potężnego koncernu *Vereinigte Stahlwerke* stanął przed kryzysem finansowym, rozpuścił pogłoski, że sprzeda swój udział Francuzom. Rząd niemiecki, który nie chciał dopuścić, aby kapitał francuski opanował serce przemysłu niemieckiego, jakim był bankrutujący koncern stalowy, wykupił akcje Flicka, który zarobił „od ręki” 100 milionów marek, po kursie znacznie wyższym niż na giełdzie. Po tej transakcji Flick mógł się już ubiegać o prymat w przemyśle niemieckim.

Skupuje więc coraz nowe fabryki i kopalnie, kładąc podwaliny pod przyszły koncern-monstre, którego był niepodzielnym władcą. Rozpoczyna teraz rozgrywkę z innymi magnatami przemysłu niemieckiego. Początkowo idzie ręka w rękę z Thyssenem, który ciągle jeszcze gra pierwsze skrzypce w truście stalowym *Vereinigte Stahlwerke*, kontrolującym trzy czwarte produkcji żelaznej w Niemczech. Powoli — intrygami i chytrą — eliminuje Thyssena z gospodarki niemieckiej, a zyskawszy sobie poparcie *Alberta Voeglera* i *Hansa von Flotow*, zmusza Thyssena do ucieczki z Niemiec. Flick staje się panem przemysłu hitlerowskiego. Z pomocą przyszedł mu wtedy Goering, który ułatwił mu zarówno pożyczkę państwową na skup kopalń węglowych, jak również oddał mu w dzierżawę koncern węglowy *Petschka* w Czechach, którego właścicielem był Żyd praski. W tym okresie rozpoczyna się ścisła współpraca Flick—Goering. Obaj przejmują dla swych przedsiębiorstw coraz to nowe fabryki, huty, kopalnie — drogą konfiskat lub przymusowego wykupu. I obaj realizują przygotowania wojenne Trzeciej Rzeszy. Udzielają sobie wzajemnych pożyczek, rozdają sobie fantastyczne prezenty, hulają, bawią się i polują. Kapitał koncernu Flicka podnosi się raptownie do miliarda.

Koneksje Flicka z hitlerowcami nie są czymś nowym w tym okresie. Jest on członkiem partii, a równocześnie człowiekiem, który w styczniu 1932 r. pośredniczył w Düsseldorfie przy organizacji spotkania magnatów reńskich z Hitlerem, w tym właśnie okresie, kiedy partia hitlerowska stała u progu bankructwa politycznego i finansowego. Dzięki pieniądзом Flicka i jego przyjaciół, mógł Hitler po powrocie z Nadrenii wypłacać zaległy żołd głodnym SS-manom i dać im nowe mundury w nadziei rychłego zwycięstwa. Flick należał również do *Kleiner Kreisu* (ścisłe kółko) *Wilhelma Kepplera*, doradcy gospodarczego NSDAP. „Kółko” to po objęciu władzy przez Hitlera przekształciło się

w klub przyjaciół Himmlera. O przyjęcie do tego ekskluzywnego grona ubiegali się najwięksi dygnitarze w państwie, SS-owcy, ministrowie i generałowie. Flick był tu *sztammgastem*, który finansował wszystkie eskapady brunatnej klik. *Oswald Pohl, Karl Wolff, Otto Ohlenbusch, Wolfram Sievers*, najbliżsi przyjaciele Himmlera, należeli do zaufanych gości tego *Kreisu*. Stąd wychodziły też wszystkie mordercze plany, tu knuto spiski przeciwko Europie, tutaj myślano nad sposobem „bezbolesnych” egzekucji.

Flick wszystko zawdzięczał hitlerowcom. Oni też wybrali go na realizatora swych imperialistycznych planów. Flick szybko robi karierę polityczną. Zostaje *Wehrwirtschaftsführerem*, wchodzi do zarządu *Nobel-Dynamit A. G.*, osiągając w ten sposób wpływy w koncernie *I. G. Farben*. Zostaje doktorem h. c. uniwersytetu w Kolonii oraz inż. h. c. politechniki wrocławskiej; sygnia się ordery, tytuły i beneficja; wreszcie zostaje prezydentem *Reichsvereinigung Eisen*, o co na próżno przez tyle lat ubiegał się von Krupp. Po wybuchu wojny Flick penetruje po wszystkich okupowanych krajach. Zabiera nasze kopalnie na Śląsku, wchodzi do zagłębia donieckiego, panuje w tzw. Ostlandzie. Z pomocą Goeringa organizuje wciąż nowe i nowe koncerny, m. in. osławione *Dniepr-Stahl-Werke GmbH*. Alfred Rosenberg i jego sekretarz Werner Dait, otwierają przed nim fabryki Łotwy i Estonii. Ale rabunek kapitałów i majątków to jeszcze nie wszystko. Flick, chcąc spełnić powierzone mu w czasie wojny zadanie, musi mieć przede wszystkim robotników. Jego przyjaciele Fritz, Sauckel i Himmler, dostarczają mu dziesiątków tysięcy niewolników, zgnanych z całego kontynentu. Pracują w strasznych warunkach, tysiącami ginąc w obozach pracy. Flick, który „aryzacji” przedsiębiorstw żydowskich w całej Europie zawdzięczałwią część swego majątku, nie żałuje pieniędzy na mordowanie Żydów. Wydaje miliony na akcję eksterminacyjną SS, stwarzając zresztą stały fundusz do dyspozycji Himmlera. Za jego pieniądze buduje się krematoria i baraki. W ten sposób Flick pozbywa się ewentualnych sukcesorów do zagrabionych bogactw.

Proces Flicka uświadomił nas, że celem narodów zjednoczonych powinno być postawienie przed sądem wszystkich tych, którzy w mniejszym czy większym stopniu przyczynili się do umożliwienia tragedii, jaka nie miałaby nigdy miejsca, gdyby kapitał nie widział swej ekspansji w imperialistycznych zamiarach Adolfa Hitlera.

9. KONRAD ADENAUER — PUKLERZ REAKCJI NIEMIECKIEJ

Dotychczas prasa polska — jeśli chodzi o polityków niemieckich, najwięcej miejsca poświęcała Kurtowi Schumacherowi, w mniejszym zaś stopniu Jacobowi Kaiserowi, upatrując w nich niejako cerberów reakcyjnej hydry w Niemczech. Mało natomiast poświęcano uwagi innemu „mężowi opatrnościowemu” powojennych Niemiec, drowi Konradowi Adenauerowi, przewodniczącemu frakcji CDU w strefie brytyjskiej. Polityk ten uważany jest nawet w kołach CDU za prawicowca i od dłuższego czasu toczy cichą podjazdową walkę o prymat partyjny z drem Müllerem (Monachium) oraz Kaiserem z Berlina. Adenauer, który zresztą serdecznie nienawidzi Schumachera, uważając go za „czerwonego”, postanowił sobie, że zostanie przyszłym kanclerzem niemieckim i z całą konsekwencją ku temu zdąża.

Ambitny ten polityk buduje swą karierę na reakcji niemieckiej, która w strefach zachodnich utworzyła „Piemont” narodowego odrodzenia. — Wszystko, co może schlebiać klasie posiadającej i jej tendencjom wszechniemieckim, każdy szept, dochodzący z tajnych konwentykli magnaterii nadreńskiej lub rekinów przemysłu Ruhry, staje się wnet argumentem politycznym w rękach Adenauera. Konrad Adenauer był pierwszym politykiem w Niemczech, który w „orędziu” noworocznym 1947, w imieniu swej partii (trzeba pamiętać, że dziś CDU po fuzji z CSU jest najsilniejszą partią w Niemczech, popieraną w dodatku bardzo wyraźnie przez amerykańskie *Military Government*) oświadczył, że „nie znajdzie się w Niemczech taki człowiek, który odważy się podpisać traktat pokojowy, przyznający Polsce granice Odry i Nysy”. Jego antypolskie przemówienia zyskały mu niemal mir w Kolonii, skąd pochodzi. Niektóre z nich żywcem przypominają filipiki osławionego Treviranusa z Turyngii, prekursora partii hitlerowskiej.

Nie ma w Niemczech większego szarlatana politycznego niż ten pupil władz brytyjskich. Pochodząc z kraju, gdzie przemysł jest ostoją dobrobytu, Adenauer stanął oczywiście po stronie monopolistów i notorycznych podżegaczy wojennych, dla których „robienie” wojny jest starą i dobrą tradycją. Na nich też polityk ten bazuje, stąd czerpie natchnienie, w nich widzi fundament dla swej kariery. Magnaci reńscy dostatecznie skompromitowani, aby bez przyłbicy pójść w szranki wojenne, wielką miłością i zaufaniem otaczają „konia trojańskiego”, jakim w obecnym stanie walki politycznej o demokrację w Niemczech — jest Konrad Adenauer. Albowiem puklerzem jego jest pozornie „chrze-

ścijaństwo" i „demokracja”, gdyż taką nazwę przybrała sobie jego partia, partia, do której nazajutrz po procesie norymberskim przystąpił i Alfred Hugenberg i Stinnes i inne grube ryby finansjery niemieckiej.

Jak dotąd, Adenauer nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Zgłębił komunistów na terenie swej strefy, pozbawiając ich w wyborach należnych mandatów — słynną ustawą o 10-procentowym minimum głosów na obszarze każdego okręgu wyborczego. Pokonał SPD i to do tego stopnia, że wódz miejscowych socjal-demokratów, b. minister pruski Severing, wbrew życzeniom Schumachera wziął udział w kongresie komunistów, chcąc w ten sposób wyrazić swe niezadowolenie z polityki Adenauera; nawet we własnej partii izolował wpływy bardziej liberalnego Jacoba Kaisera, który reprezentuje w partii CDU strefę radziecką. Słowem, zrobił wszystko, co mógł, aby uspokoić swych mocodawców, że demokracji w Niemczech nie będzie.

Wszelka koncentracja władzy gospodarczej musi doprowadzić w końcu do utraty wolności i do wzrostu biurokracji. Wszystko jedno jest przy tym, czy koncentracja ta znajdzie się w rękach państwa czy też związków zawodowych — oświadczył na wiecu w Wuppertalu pan Adenauer. „Złote słowa” te pochodzą z ust człowieka, który jak najbardziej kategorycznie przeciwstawia się dekartelizacji przemysłu niemieckiego, stając przy każdej sposobności w obronie trustów, koncernów i monopolu. Nie są dla niego groźnym *memento* wojennym zakłady Goeringa, Kruppa, Boscha czy I. G. Farben, natomiast „utrata wolności” ma czelność nazywać nacjonalizację przemysłu względnie jego socjalizację pod egidą związków zawodowych!

Jakichże to argumentów nie używa tu ten przyjaciel przestępcy wojennego bankiera *Pferdmenges*a z Kolonii? Raz odkrywa nagle, że nacjonalizacja przemysłu niezgodna jest z postanowieniami konwencji haskiej, wobec czego nie może być „narzucana” narodowi niemieckiemu, innym razem ubolewa Adenauer nad losem drobnych akcjonariuszy wielkich stalowni nadreńskich, których najbardziej dotknie upaństwowienie fabryk-mamutów. Jego bowiem zdaniem, nacjonalizacja przemysłu jest zarządzeniem antydemokratycznym, gdyż wyzuwa z praw własności drobnego ciułacza, który cały swój majątek zawierzył właśnie wielkiemu przemysłowi. Obłuda tego demagogicznego chwytu politycznego polega na tym, że przyciąganie robotników do fabryk było jedynie zręcznym manewrem wielkich przemysłowców, za którymi stały kapitały zagraniczne. W ten sposób właściciele koncernów z jednej strony zabezpieczali się przed atakami liberalów weimarskich, z drugiej strony byli pewni swej

władzy, mając w zanadru — na wszelki wypadek — interwencję zagraniczną. Dzięki niej przetrwali i czasy hitlerowskie i teraz znajdują opiekę i pomoc. Ostatnie bowiem wypadki ze skupem fabryk przez zagranicę oraz awantury o Siemens'a oraz I. G. Farben wykazały dobitnie gdzie i co się kryje za wystąpieniami pana Adenauera.

Po zabezpieczeniu tyłów, dr Adenauer przystąpił ostatnio do ofensywy.

Nie tylko, że przeciwstawił się wszelkim projektom socjalizacji — na landtagu westfalskim projekt ten wysunięty przez KPD i SPD upadł głosami CDU i jej satelitów — ale wręcz oświadczył na zebraniu partyjnym, że „będzie bardzo szczęśliwy, jeśli kluczowe gałęzie przemysłu niemieckiego znajdą się jak najszybciej w godnych zaufania rękach niemieckich”. Przemysłowcy bardzo niecierpliwą się swoją bezczynnością i naciskają swego kandydata na przyszłego kanclerza, jeśli nie całych Niemiec, to przynajmniej owego tworu politycznego, który w raporcie marszałka Sokołowskiego na Radzie Kontroli w Berlinie wystąpił pod nazwą *Westdeutschland*. Cóż to byłby za raj dla przyjaciół Kruppa czy Thyssena, gdyby tak Niemcy przepołowić i oddać im na powrót władzę do ręki?!

Myśl ta nie daje ani im, ani panu Adenauerowi spać po nocach, skoro pogłoski te powtarzają się uporczywie i to zawsze wtedy, gdy między aliantami zaistnieje jakieś nieporozumienie, choćby tylko taktycznej natury. Wziąć w pacht zachodnie Niemcy, odseparować je od „zarażonych” bakcylem demokracji wschodnich obszarów — to marzenie i cel karierowicza politycznego dra Konrada Adenauera, największego konkurenta Schumachera do roli „małego Hitlera” i niemińszego wroga Polski i jej zachodnich granic.

Ilekrót więc natknijemy się w sprawach przyszłości Niemiec na to nazwisko, powinniśmy pamiętać, kim jest wódz CDU, Adenauer.

10. „HEIL KOBUS!”

Poruszałem już przedtem sprawę młodzieży niemieckiej. Wychowana prawie bez wyjątku w duchu hitlerowskim, młodzież ta jest dzisiaj niebezpiecznym rozsądnikiem brunatnego bakcyłu, a ostatnie wypadki w Erlangen oraz Stuttgartcie wykazały, że wszelkie dotychczasowe próby reedukacji — jak to się szumnie nazywa w różnych okólnikach alianckich — spaliły na panewce. Lwia część młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej nie

pragnie żadnej odmiany w duchu demokratycznym, a sennymi marzeniami, jakie nie dają jej spać po nocach — są „sny o szpadzie”. Tego zdania są również nieliczni postępowcy niemieccy, grupujący się wokół pism takich, jak *Aufbau* lub *Weltbühne*, gdzie można od czasu do czasu znaleźć rozsądną wypowiedź w tej sprawie.

Oczywiście, że sytuacja młodzieży niemieckiej jest ciężka, nie ona też ponosi w gruncie rzeczy główną winę za swe błędy. Winowajcą okazał się zdruzgotany wojną system hitlerowski, który wypaczył moralność młodych ludzi, który nakazał im grabić i mordować w imię rzekomych „ideałów”. Zbrodnie te ciężko jest naprawić „na jednej nodze”, gdyż nie przyniosłoby to w konsekwencji żadnych rezultatów. Problem reedukacji młodych Niemców, dotkniętych brunatną gorączką niczym tropikalną chorobą, jest zasadniczą częścią moralnego rozbrojenia Niemiec, jeśli świat będzie sobie oczywiście życzył długotrwałego pokoju.

Tymczasem z czystym sumieniem można powiedzieć, że w pierwszych dwóch latach niczego na tym odcinku nie dokonano, oczywiście poza całym szeregiem planów, programów i pomysłów, które zresztą spoczywają w szufladach alianckich reformatorów.

Gdy Anglosasi chcą zbawić Niemców wielkimi reformami, ich pupile tymczasem wcale nieźle sobie poczynają. Stosują przy tym dwie metody. Gdy starsi wołają, że „ideały młodzieży leżą w gruzach; dajcie jej nowe ideały, inaczej grozi jej zagłada” — młodzi Niemcy czynnie dokumentują, że ich przywiązanie do starych idei nie zmalało ani na jotę. Dowodem tego są i wygwizdanie Niemoellera przy Erlangen i bomby w Stuttgarcie na komisję denazyfikacyjną i liczne organizacje paramilitarne w lesie i tajne gazetki w mieście. Aresztowanie swego czasu Axmanna wykazało, jak rozgałęziona była jedna z takich właśnie organizacji. Jeden z redaktorów postępowego dziennika w Berlinie pokazywał mi plikę listów, jakie otrzymał ostatnio od anonimowych korespondentów. Prawie wszędzie zarzucano mu zdradę narodu, grożąc śmiercią przy pierwszej lepszej okazji. Styl i sposób myślenia wykazywał niezbitcie, że autorami tych anonimów była młodzież do 18 lat.

Kurt Schumacher, gdy przemawiał w Cambridge do studentów angielskich, powiedział na temat młodzieży niemieckiej: „Spójrzcie na młodą generację w Niemczech z większą uwagą i wyrozumieniem niż dotychczas. Młodzież niemiecka jest dziś pełna dobrych chęci, jak i zatrwajającej nieświadomości...”.

I wódz desantu niemieckiego na Anglię znów powrócił do bajeczek o straconych złudzeniach i ideałach tej młodzieży, Schumacher mówił z takim przekonaniem, jakby współczesna młodzież niemiecka codziennie budziła się ze snu z lęklwym pytaniem, czy już nareszcie jakiś „nowy ideał” otrzymała w prezencie od starych ciotek i brodatych magistrów.

W rzeczywistości młodzież niemiecka dnia dzisiejszego zajmuje się czynnie polityką, choć często nielegalnie. Gromadzi broń i marzy o dniu „zmarłychwstania” Hitlera lub Bormana. Ciesząc się wielką swobodą, próżnując, a do szkół chodząc raczej dla towarzystwa (jak wykazały ostatnie raporty szkolne, młodzież jest mało pilna i samowolnie opuszcza wykłady lub lekcje w szkołach), młodzi ludzie i wyrostki mają czas na zabawę polityczną, która poza tym urzeka ich podobnie, jak ongiś urzekała gromadę Hitlera, gdy szaleniec ten z Braunau nad Innem zdążył do Monachium.

Wiele znajdziemy tu analogii. Choćby np. w ostatnim procesie zamachowców ze Stuttgartu, gdzie 11 młodzieńców odpowiadało przed trybunałem za zamach bombowy na komisję denazifikacyjną. Jeden z oskarżonych, niejaki Hellmut Klumpp, oświadczył zupełnie poważnie, że główny zamachowiec Kobus, dawny major SS, stał na czele organizacji politycznej, która dążyła do opanowania rządów w Niemczech. Kobus miał zostać kanclerzem Rzeszy, która miała być kontynuacją hitlerowskiego reżimu. Postanowiono nawet wprowadzić oficjalne powitanie *Heil Kobus*. Oficer SS *Weelessmann* miał zostać *Reichsführerem* SS na miejsce Himmlera, a dla matki swej Kobus rezerwował stanowisko pani *Scholtz-Klink* — przywódczyni *Frauenbundu*. Pozostali oskarżeni mieli otrzymać teki ministrów w rządzie Kobusa, stolicą Rzeszy miał być Stuttgart.

Prasa niemiecka, podając z licznymi komentarzami przebieg procesu, starała się zachować w artykułach i sprawozdaniach kpiarski ton. — Ostatecznie — pisano — grupa dzieciaków chciała zabawić się w rząd. Chciała się czymś wslawić i wyjść z marazmu szarego życia codziennego, który jak gęsta mgła beznadziei opanował żywot młodzieży niemieckiej.

W tonie prasy wyczuwało się chęć rozgrzeszenia.

Tak samo pisała prasa niemiecka po sławnym puczu Hitlera w dniu 9 listopada 1923 roku.

I wtenczas nieznany nikomu bliżej szaleniec z małą grupą ludzi wdarł się na salę starej piwiarni w Monachium, wskoczył na stół, oddał dwa strzały w sufit i rozbawionym piwoszom bawarskim ogłosił: „rewolucję narodową”. Następnie podzielił teki

ministerialne, dla siebie zachowując stanowisko kanclerza. Stolicę przeniósł do Monachium. Reszta jest znana.

Na procesie Hitler zachowywał się tak, jak dziś Kobus. Podobnie potraktował go wtedy trybunał, a więzienie w Landsberg było raczej przyjemnym odpoczynkiem, niż karą za zbrodnię, jakiej wówczas dokonał.

Czytając przebieg procesu Kobusa, nie trudno się domyślić, na kim wzorował się „nowy Hitler”, który chciał rządy w Niemczech zacząć od zreformowania okrzyku hitlerowskiego.

W takiej atmosferze wychowuje się dziś dojrzała młodzież niemiecka. Powracający z obozów anglosaskich młodzi żołnierze niemieccy podniecają jeszcze bardziej ten niebezpieczny ogień nacjonalizmu uświadomionego. Nie ma bowiem bardziej zaciętych wrogów demokracji jak jeńcy, którzy powracają teraz z Anglii lub Ameryki. Oni zaś mają teraz — jak mówi się — stać się ośrodkiem „nowego” ruchu młodzieżowego.

A wszystko to dzieje się w przededniu konferencji pokojowej z Niemcami. Jest to jeszcze jeden etap niemieckiej ofensywy na przedpolach pokoju światowego.

PRZED OFENSYWĄ GOSPODARCZĄ

1. KU CZEMU DĄŻĄ NIEMCY?

„Dzień 27 stycznia 1932 jest pamiętnym dniem w historii NSDAP”, pisał w jednej ze swoich książek z zadowoleniem Otto Dietrich, szef prasowy Hitlera, przebywający obecnie w jednym z obozów na Zachodzie, gdzie napisał ponoć jakiś rewelacyjny pamiętnik, który gotów jest sprzedać za paczkę papierosów... Tak w każdym razie oświadczył korespondentowi United Press jeden ze strażników tego obozu.

Dzień 27 stycznia jest zresztą podwójnie pamiętny: dokładnie pięć lat wcześniej spotkał się führer „socjalistycznej partii robotniczej” z *Emilem Kirdorfem*, przedstawicielem wielkiego kapitału niemieckiego, który na walnym zgromadzeniu właścicieli kopalń w Gelsenkirchen (Westfalia) w dniu 13 lutego 1915 roku zawołał: „Rząd *Bethmanna-Hollwega* idzie niebezpieczną drogą, jeśli pertraktuje z tak zwanymi związkami zawodowymi. W zakładach przemysłowych decydować mają tylko przedsiębiorcy”.

Pogląd ten bardzo odpowiadał Hitlerowi i dlatego przez cztery godziny wykladał on Kirdorfowi na konferencji w Monachium 27 stycznia swoją teorię, którą ujął potem w broszurze agitacyjnej. O tej właśnie broszurze pisał 3 stycznia 1937 roku w *Preussische Zeitung* Herr Kirdorf, założyciel i władca westfalsko-reńskiego syndykatu węglowego: „Broszurę Hitlera kolportowałem osobiście w przemyśle i gospodarce niemieckiej; w następstwie tego nastąpiły później liczne spotkania między wybitnymi osobistościami przemysłu niemieckiego a Hitlerem”.

Ale władcy przemysłu niemieckiego byli ludźmi przezornymi. Wprawdzie okazywali wiele sympatii nowemu ruchowi politycznemu, wprawdzie gotowi byli udzielić mu gwarancji pieniężnych, ale pewne teorie socjalistyczne zawarte w programie Hitlera — które zresztą autor po prostu przepisał z książek Gottfrieda Federa — nie były dla nich zupełnie bezpieczne. Dlatego też

królowie stali, żelaza i węgla postanowili przekonać się o właściwych intencjach nowego „wodza”, zanim ulokują swe grube miliony w dość jeszcze mętne teorie nowego ruchu. Zaprośili go więc 27 stycznia 1932 roku do swego klubu w Düsseldorfie, aby — jak wyraził się wtedy producent armat Krupp von Bohlen und Halbach — „spojrzeć na niego twarzą w twarz”.

Owe sześć godzin popołudniowych 27 stycznia zadecydowały o losach narodu niemieckiego — pisał później b. prezydent Reichstagu Paul Loebe. Zebrała się tutaj śmietanka magnaterii niemieckiej: Flick i Thyssen, Zangen i Diehn, Voegeler i von Strauss, i von Borsig i Duisberg, Schmitz i Diehrings, Haniel i hrabia Donnersmark, Poensgen i Silberberg, Krupp i Kirdorf. Z nieukrywaną radością, jak pisze świadek owej konferencji — dali oni wszyscy wyraz swemu zadowoleniu, widząc w człowieku z wąsikiem realizację swych planów nieograniczonych zbrojeń. Armaty przestaną wreszcie ziewać, kominy westfalskie zaczną znów buchać kłębiastym dymem!

Delikatne zastrzeżenia pewnych bankierów co do „socjalnego programu” nowej partii rozwił Hitler powiedzeniem, że „są to tylko teoretyczne koncesje w walce z komunistami”. Obiecał przy tym, że w nowym rządzie gotów jest zawarować pewną ilość tek przedstawicielom *Herrenklubu* i kapitału — w osobach Papena, Hugenberga i innych. Kapitał zbrojeniowy może spokojnie patrzeć w przyszłość — Hitler go nie rozczaruje...

Taka była treść owej poufnej konferencji 27 stycznia 1932 w Düsseldorfie. Pakt kapitału z militarystem został podpisany.

A że nie oszukał swych mocodawców, najlepiej świadczą słowa wypowiedziane przez innego rekina kapitalizmu pruskiego, Alberta Voegelera, na bankiecie z okazji brylantowego jubileuszu *Bergvereinu* w Essen, w dniu 29 września 1933 (w parę miesięcy po dojściu Hitlera do władzy): „Adolf Hitler urzeczywistnił to, o czym na próżno marzyliśmy, zawsze bez szans powodzenia: jedność narodową i „pokój pracy”, który realizuje obecnie *Arbeitsfront dra Leya*. Dziś przemysł niemiecki nie jest już więcej w opozycji do rządu, jak to było podczas ostatnich lat czterestu. Dziś ręka w rękę walczy on wraz z rządem o siłę i władzę naszej ojczyzny nad wrogami — wewnątrz i na zewnątrz kraju”.

Taki był początek końca tragedii niemieckiej.

* * *

Niemcy wzięli się rażno do pracy. W Europie podziwiano „geniusza”, który potrafił w tak krótkim czasie pokonać zmorę

republikii weimarskiej — olbrzymie bezrobocie. Wszyscy zostali wciągnięci w plan „odbudowy” Niemiec, na który pieniądze płynęły i ze Sztokholmu i *Wall Street* i z *City* londyńskiej. Gdy jednak niektórzy publicyści zaczęli — acz jeszcze dyskretnie odsłaniać rąbek tajemnicy niemieckiej, było już prawie za późno. Wiedeń, Praga, Warszawa — to dalsze etapy „odbudowy” Niemiec. Świat osłupiał, gdy po siedmiu latach rekonstrukcji Rzeszy zobaczył, że jest zagrożony w swym istnieniu. Pierwsi ocenili sytuację Anglosasi. Byli jednak za słabi, aby poradzić sobie z kolosem hitlerowskim. Z pomocą przyszła Rosja, która, brocząc krwią, ofiarą swych najlepszych synów uratowała Europę przed zagładą. Świat odetchnął z ulgą, ale nazajutrz po zwycięstwie postępował tak, jakby tragedia ostatniej wojny była tylko koszmarnym snem. I nic ponadto. Przebudzono się i zaczęto myśleć jakby tu pomóc tym biednym Niemcom. Zapomniano i o Hitlerze i o skłonnościach tego narodu, dla którego legenda o wodzu nie jest tylko mitem. Jeszcze odczuwano dla wiący ucisk hitlerowskich szponów wokół własnych gardzieli, a postępowano tak, jakby Niemcy tylko żartowali. Zmarnowano denazifikację. Poblazliwość anglosaska nie ma granic. Wystarczy przejechać się po zachodnich Niemczech, aby stwierdzić, że wszystkie kluczowe pozycje w przemyśle i finansach są dotąd w tych samych rękach. Pamiętamy raport komisji lorda Vansittarta i Edwarda Herriot o wpływach hitlerowskich w powojennych, pokonanych Niemczech. Tajne organizacje kwitną i otrzymują pomoc w walce z odradzającą się — choć powoli — demokracją niemiecką. Zbrodniarze wojenni wracają na dawne stanowiska. Siemens, Dinkelbach, Reemtsman, Stinnes i cała dawna mafia bankierska żąda zwrotu swych majątków i otrzymuje zaspokojenie swych roszczeń. Powiernikami majątków zbrodniarzy wojennych — są ich pomocnicy lub krewni. Na miejsce usuniętego jednego wielkiego hitlerowca przychodzi trzech mniejszych, ale niemniej wiernych swemu patronowi...

Posłuchajmy choć części tych raportów, jakie mam właśnie przed sobą.

W Hanowerze, Düsseldorfie i gdzie indziej znalazły zatrudnienie wybitne osobistości przemysłu, które uciekły z Berlina, m. in.: dr *Goetze*, członek SS, obecnie w zarządzie stalowym Hanower, dr *von Oelfen*, stary Pg. w przemyśle stalowym Essen, dr *Karl Seewald*, członek HJ ze złotą odznaką partyjną, 6000 marek pensji miesięcznej przed wojną, dyrektor teatrów i koncertowych imprez na Zachodzie, *Herr Tosse*, aktywny nazi, w przemyśle stalowym w Düsseldorfie, dyrektor *Heinrich Midendorf*, Pg. *Volkssturmführer* i kapitan w puczu Kappa w Ki-

lonii, obecnie: dyrektor *Deutsche Werke Kiel AG*. W tymże koncernie na 15 kierowników — 12 jest aktywnych hitlerowców. W przemyśle metalowym w Wuppertalu, przewodniczącym jest teraz *Karl Becker*, Pg, od 1933, zaufany człowiek Hitlera na tym terenie tzw. *Wehrwirtschaftsführer* z rangą ministra bez teki.

Ostatnio na konferencji SED (partia Piecka i Grotewohla) odczytano kilkaset nazwisk wybitnych przemysłowców niemieckich, żarliwych nazi, którzy dotąd spokojnie pracują na kluczowych pozycjach przemysłowych. Tysiące mniejszych dzielnie im pomagają w tym patriotycznym zajęciu. Na tymże zebraniu konwentu Partii Socjalistycznej Jedności Niemiec stwierdzono, że okupanci anglosascy popierają ten ruch i dzięki ich tolerancji reakcja niemiecka znajduje coraz pewniejszy grunt pod nogami. Mało tego! Kapitałowi niemieckiemu, który teraz ma skrępowane ruchy, przybywa w sukurs kapitał zagraniczny. Międzynarodówka kapitalistyczna rozumie i własny interes i niebezpieczeństwo socjalizacji wielkiego przemysłu, o co walczą zwolennicy Grotewohla.

Członek Izby Gmin, *Elwyn Jones*, który był swego czasu w Polsce, w artykule na temat przemysłu niemieckiego w londyńskim *Reynolds News*, pisząc o koncernie *I. G. Farbenindustrie*, nazwał go „największym łupieżcą świata”. — Trusty niemieckie — pisze Jones, jeden z oskarżycieli w procesie norymberskim — potrafiły dobrze zamaskować swe stosunki z zagranicą; teraz umieją doskonale manewrować przyzywając na pomoc swych dawnych satelitów. Koncerny, tak jak *Stinnes*, liczą wciąż na pomoc Ameryki, Szwajcarii i innych krajów, które pozwoliłyby im uchronić się przed widmem nacjonalizacji. „Ciało tego polipa — pisze dalej Jones — jest jeszcze w naszych rękach, ale jego macki sięgają na cały świat”.

Zdawałoby się, że coś prostszego, jak obciąć je, idąc tropami myśli odważnego Anglika Jonesa.

Tymczasem nic takiego się nie dzieje. Przeciwnie, polip niemiecki zyskuje wciąż na sile, odżywiany kapitałem zagranicznym. *Borys Isaakow* odsłania w moskiewskiej *Prawdzie* kulisy niektórych posunięć anglosaskich na tym właśnie odcinku. „Stany Zjednoczone” — pisze autor — wydały od końca wojny więcej niż sto milionów marek na niemiecki przemysł samochodowy. Większość tych fabryk jest po stronie zachodnich aliantów, m. in. zakłady *Adama Opla*, a produkcja osiągnęła tu już 45 procent przedwojennej wydajności. *Isaakow* podaje dalej szczegóły finansowych kontaktów między *I. G. Farben* a amerykańskim koncernem *Dupont* oraz trustem *Standart Oil Company*. Nic więc dziwnego, że władze amerykańskie zachowują tak daleko

posunięty respekt przed zakładami *I. G. Farben* we Frankfurcie. Demontaż posuwa się mniej niż żółwim krokiem, a jedyne co uczyniono, to — wyprzedaż kilkudziesięciu mniejszych fabryk tego koncernu-*monstre* firmom szwajcarskim, które — jak się okazuje — kontrolowane są przez *Duponta*. I tak w kółko! Przemysł anglosaski spenetrował prawie całe Niemcy zachodnie. Agentów zagranicznego kapitału nie brak tu nigdzie, gdyż pod płaszczykiem takich czy innych urzędników władz okupacyjnych kryje się właściwie emisariusz monopolistów światowych.

Postępowa prasa niemiecka, która z trudnością toruje sobie drogę pośród lawiny propagandy reakcyjnej, pisze o tym bezustannie. Piętnuje dawnych zbrodniarzy, przypominając ich rolę w ostatniej katastrofie. Ale jest to tylko wołanie na puszczy. Ukazująca się w Hanowerze *Volksstimme* pisze np., że zbrodniarze wojenni, którzy częściowo zmuszeni byli opuścić swe stanowiska, znów powracają na nie. I tak przemysłowiec *Doležalek* z koncernu *Boscha* w Hildesheimie (strefa brytyjska), pomimo protestów załogi fabrycznej odzyskał nagle swoje stanowisko. Dyrektor *Wurm* z zakładów Rzeszy w Salzgitter, który oskarżony jest o wyniszczanie cudzoziemskich robotników, wciąż jeszcze pracuje jak dawniej. Przemysłowcy zbrojeniowi, *Bode sen.* i *jun.*, właściciele zakładów *Bode-Panzer*, nie stanęli nawet przed komisją denazifikacyjną. Zwolnieni przemysłowcy natomiast organizują całkiem jawne zrzeszenia *Unternehmer-Verbände* i prowadzą wspólną walkę przeciwko robotnikom oraz jak mogą i gdzie mogą sabotują fabrykację produktów pierwszej potrzeby, aby tylko przyczynić się do rozruchów i strajków.

Przemysłowcy niemieccy działają według planu. Wiedzą, że szukając pomocy u Anglosasów, chociaż nawet będą musieli wyzbyć się części swych wypchanych portfelów akcyjnych, zawsze przecież coś niecoś uratują. Wiedzą również, że okupacja nie będzie trwać wiecznie, a wobec tego ich szanse na odzyskanie w taki czy inny sposób straconych kapitałów — też nie są beznadziejne. Po pierwszej wojnie było prawie to samo, a jednak Krupp i Stinnes wyszli cało z opresji. W obronie swojej działają sprytnie. Bronią interesów swojej klasy. Wiedzą ku czemu mają dążyć, jeśli chcą żyć. Ale ich dążenia i żywot może być znów załącznikiem nowego kataklizmu. I to powinien zrozumieć cały Zachód, jeśli chce uniknąć nowej katastrofy.

Jedynym lekarstwem na „chorobę niemiecką” jest jak wiadomo: celowa denazifikacja, zupełna demilitaryzacja oraz upaństwowienie przemysłu kluczowego, a więc groźnego dla trwałego pokoju, i usunięcie dawnych rekinów i podlegaczy wojennych poza nawias społeczeństwa niemieckiego. Przemysł niemiecki po-

winien istnieć, ale tylko ten, który zapewnić może masom niemieckim egzystencję. Nie może natomiast istnieć kilkadziesiąt trustów, których zadaniem było, jest i będzie — przygotowanie nowej rzezi w imię ideałów przyświecających głosicielom „Tysiącletniej Rzeszy”.

O tym wiedzieć powinni ci wszyscy, którzy sąsiadują z Niemcami, a których niepokoić powinny — choćby i dobrze nawet maskowane — ruchy międzynarodowego kapitału w zachodnich Niemczech.

2. DOLAROWA POLITYKA

„Na rynkach walutowych zaobserwowano stale wzrastający popyt na akcje i papiery wartościowe, który spowodował ogólny wzrost kursów” — przeczytałem w dziele giełdowym oficjalnej *Neue Zeitung* w Monachium.

Jakież więc są przyczyny tego niezwykłego zjawiska na giełdach zachodnich Niemiec? Skąd ta jaskrawa sprzeczność z sytuacją gospodarczą na tych terenach, gdzie bezrobocie, głód i nędza walczą o lepsze z chorobami? Skąd ten optymizm rekinów giełdowych w kraju, gdzie produkcja osiągnęła zaledwie 25% przedwojennej, a bezrobocie rośnie z dnia na dzień? Zapowiedana nie od dziś chyba walka z kartelami oraz socjalizacja wielkiego przemysłu również spaliła na panewce, albowiem alianci robią wszystko, aby nigdy do tego nie doszło.

Skup akcji przez angielskich, amerykańskich i niemieckich kapitalistów i bankierów jest tylko zewnętrznym przejawem reakcji giełdowej. W istocie ta niespodziewana zwyczaj kursów do niedawna martwych jeszcze akcji niemieckich fabryk ma swoje źródło w zgoła innej sferze polityki ekonomicznej. Nie jest dla nikogo dziś tajemnicą, że właściciele karteli i trustów wiedzą dobrze, iż mogą zupełnie spokojnie lokować swoje kapitały w przemyśle zachodnio-niemieckim, gdyż Anglosasi nie godzą się na nacjonalizację kluczowego przemysłu, który znajduje się obecnie pod ich wojskową kontrolą. Mając zaufanie do „stabilizacji gospodarczej” pod skrzydłami gen. Robertsona i gen. Claya, kapitaliści zagraniczni skupują teraz, co się tylko da.

Mają zresztą dobrych informatorów i inspiratorów wśród samych Niemców. Dawni właściciele, których koneksje polityczno-gospodarcze nie od dziś sięgają w głąb Ameryki i Anglii, a którzy sami nie mogą teraz oficjalnie sięgać po swe zakłady, starają się wysunąć swych kolegów zza oceanu lub kanału La

Manche na czołowe stanowiska — dla siebie pozostawiając jedynie „ciche spółnictwo” oraz zarząd. Liczą bowiem bankierzy niemieccy, że z czasem będzie można wszystko odebrać i w ten sposób uratować ciężki przemysł i ciężkie pieniądze „od zagłady”. Stronnictwa reakcyjne na zachodzie i północy Niemiec — jak zresztą wykazała ostatnia afera z Hugenbergiem, który jeszcze niedawno usiłował zorganizować nowy kartel niemiecki — bazują oczywiście na fortunach finansjery niemieckiej, której wpływy dziś w Niemczech są wciąż potężne. Powrót Siemensu do fabryk, machinacje młodego Stinnesa, wypuszczenie na wolność 27 wielkich przemysłowców w Nadrenii, konferencja magnatów stalowych w Düsseldorfie i cały szereg innych aktów tego rodzaju — były niczym innym, jak tylko demonstracją kapitalistów niemieckich pod czułym okiem władz anglosaskich.

Nie od dziś bowiem wiemy dobrze, że najsilniejszą międzynarodową jest mafia przemysłowców i bankierów, która nie zna w swym pochodzie ani granic, ani barier.

Nie inaczej jest więc i dziś w Niemczech. Obie strony — niemiecka i anglosaska — zawarły szybko cichy pakt. Dawno już skończyły się czasy, kiedy i ci, co teraz kupują akcje, i ci, którzy je sprzedają — część zwykle zatrzymując jako wadium — wierzyli, że przemysł niemiecki będzie odpowiadał za podżeganie do wojny i wydatną pomoc w planach imperialistycznych Hitlera. Na próby socjalizacji czy nacjonalizacji pewnych grup przemysłu odpowiada się tylko uśmiechem, za którym kryje się pewność i siła. Nie można też się zbyt dziwić, skoro np. komisarzem zakładów na Zachodzie Niemiec jest zaciekle militarny generał Geissler, który jeszcze niedawno był w Wehrmachcie dowódcą dywizji. Kapitał niemiecki cieszył się, kiedy otrzymał wiadomość, że ten generał mianował swego przyjaciela, generała Wesslinga, powiernikiem aż ośmiu fabryk; pękał na pewno ze śmiechu, gdy Geissler mianował komisarzem dla spraw socjalizacji przemysłu... dawnego kierownika trustu stalowego i byłego *Wehrwirtschaftsführera* hitlerowskiego, niejakiego Dinkelbacha....

W takich rękach spoczywają losy niemieckiego przemysłu nadreńskiego, Zagłębia Ruhry, Hesji, Frankonii i tych wszystkich połaci krainy niemieckiej, gdzie zmasowana jest cała potęga przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego. Czyż więc nie mają wyżkować akcje na giełdzie? Czyż nie rosną serca niemieckie i nie puchną ich kabzy, gdy wszystko to widzą i czują? A że robotnicy głodują i w Hamburgu czy Hanowerze trzeba czuć, aby nie

wybuchły rozruchy — to fraszka dla ludzi takich, jak choćby *Storch* czy *Thyssen*.

Monopoliści anglosascy dali się przekonać swym kolegom niemieckim, zebranych niedawno na tajnej konferencji we frankfurckiej piwiarni *Bettermanna*, gdzie ongiś obradowali nadreńscy magnaci pod przewodnictwem *Schroedera*, kiedy postanowiono poprzeć *Hitlera*. A Niemcy są tak pełni nadziei, że gotowi nawet „za darmo” oddać swe fabryki, byle uniknąć zniecierliwionej socjalizacji przemysłu. Rodziny *Kruppów* i *Stinnesów* zrobiły wszystko, co było w ich mocy, aby „święte prawo własności” zachować dla swych klanów.

Jeśli dzisiaj pewne koła amerykańskie, zbliżone do wielkiego przemysłu stalowego, kwestionują nasze granice zachodnie, to bynajmniej nie z sentymentu dla Niemców — ale po prostu dlatego, że tracą fabryki, które skupili potajemnie — „na pniu”, jak to się mówi — od swych dawnych przyjaciół niemieckich. Ciekawa byłaby taka statystyka, ile i kto „zamarynował” pieńędzy w imprezę Śląska i jakie koncerny amerykańskie są finansowo zainteresowane w dawnym przemyśle niemieckim na naszym Śląsku. Oczywiście, że karteliści niemieccy działali tu również z pobudek „patriotycznych”, jeśli przez patriotyzm rozumieć miłość do „własnego folwanku”. Sądziłem bowiem że w ten sposób zainteresują kapitał anglosaski i zmuszą go do walki w interesie Niemiec. Zapomnieli jednak, że istnieją sprawy w których nawet złoto jest słabym argumentem.

W ten sam sposób należy szukać klucza do spraw Zagłębia Ruhry. Anglosascy monopoliści pragną przy poparciu magnatów nadreńskich uczynić z kraju tego cytadelę międzynarodowego kapitału. Znalazłszy sobie teoretyka w osobie *Johna Foster Dullesa*, doradcy republikanów w Kongresie — kapitaliści anglosascy pragną Ruhre zachować dla siebie, i to na prawach wyłączności. Stąd brak węgla w Niemczech, powszechne niezadowolenie i głód, które agenci w rodzaju *Schumachera* starają się przeznaczyć na stosunki polsko - niemieckie.

Oczywiście Niemcy nie myślą rezygnować ze swych praw. Gdy jedni walczą o upaństwowienie kluczowego przemysłu, wiedząc doskonale, że tylko tą drogą nastąpi szybka demokratyzacja, a co za tym idzie, spokój i pokój, inni — którzy stali się tubą niemieckiej finansjery — walczą jedynie o prawa dla swej klasy. Nic więc dziwnego, że przedstawiciel CDU w strefie brytyjskiej, dr *Adenauer* — konkurent *Kaizera* do władzy w stronnictwie i polakożerca z ciemnym podniebieniem — wyraził się niedawno, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby „kluczowe pozycje

przemysłowe w Niemczech możliwie szybko przeszły w godne zaufania ręce niemieckie, gdyż nacjonalizacja przemysłu byłaby posunięciem mocno niedemokratycznym wobec milionów drobnych akcjonariuszy niemieckich”.

Cienie Kruppa i Thyssena ukazały się znów na horyzoncie niemieckim.

3. ZA KULISAMI ROZGRYWEK O NIEMCY

W okresie konferencji londyńskiej, tygiel polityki niemieckiej rozpalony został do białości. Przywódcy poszczególnych partij starali się licytować w swych usługach wobec apatycznego narodu, któremu więcej w tej chwili zależy na worku węgla czy kartofli niż na różowej perspektywie „wiecznej szczęśliwości”, którą proponują mu pp. Kaiser czy Schumacher. Jeśli już jednak jakieś zagadnienie lub problem może poruszyć przeciętnego Niemca, to chyba sprawa granic niemieckich, a przede wszystkim — sąsiedztwo z Polską. Nic tedy dziwnego, że partie niemieckie robią wszystko, aby przynajmniej na tym odcinku przeciąć obojętność sceptycznego wyborcy i wyrwać go z letargu politycznego, w jaki naród ten popadł od czasu klęski majowej 1945.

Oczywiście, że licytacja o „dusze” zwykłych zjadaczy chleba alianckiego dochodzi czasem aż do absurdu, Niemcy bowiem w swych politycznych apetytach nie znają przeważnie granic ani umiaru. Wiemy o tym przecież nie od dziś. Czegoż można spodziewać się po wystąpieniach Schumachera, skoro taka np. Maria Sevenich z CDU ma odwagę oświadczyć, że z „wyjątkiem Rosji i komunistów, świat zarzucił już tezę o ogólnej winie narodu niemieckiego”. Jasne jest, że za podobnymi wystąpieniami niemieckich polityków kryje się coś więcej niż tupet lub głupota. Obserwując na zachodzie Niemiec dobrze wprawdzie zakonspirowaną działalność kapitału niemieckiego, wiemy kto i za czyje pieniądze popiera tego rodzaju wystąpienia polityczne. Kapitał niemiecki znalazł dziś silnego partnera, niemal sojusznika nawet w obozie alianckim.

Niebezpieczeństwo takiej polityki dla rozwoju nowych Niemiec podkreśla zresztą stale i lewica niemiecka. Tocząc ciężką walkę z polipem reakcji niemieckiej, młoda demokracja niemiecka demaskuje stale w swej prasie zarówno antyniemiecką jak i antypolską działalność koncernów i magnatów niemieckich. W dzienniku *Berlin am Mittag* ukazał się ciekawy artykuł póra Alberta Nordena pt. *Intrigen um Polen*, w którym autor de-

maskuje politykę międzynarodowych trustów, jako motorów anglo-amerykańskiego mieszania się w wewnętrzne sprawy polskie. Norden cytuje przykład postępowania amerykańskiego trustu miedziowego *Anaconda Copper Company*, który pragnie zmusić rząd polski do zwrotu koncernu *Georg Giesche* we Wrocławiu, albo do wypłacenia wysokiego odszkodowania. Agenci *Anaconda Copper*, związani z domem bankowym Morgana, pozostają dziś pod wpływem polskich emigrantów w Ameryce, którzy przyrzekają trustowi oddanie fabryk *Giesche*, jeśli tylko dojdą do władzy w Polsce.

W czasach hitlerowskich kierownikiem rady nadzorczej koncernu *Giesche* był Otto Fitzner, doradca gospodarczy rządu Rzeszy dla spraw gospodarki wojennej, prezydent izby przemysłowo-handlowej we Wrocławiu, kontrolujący ponadto cały przemysł metalowy, jako kierownik *Wirtschaftsgruppe Metall-Industrie*; Fitzner był oczywiście i w radzie nadzorczej *Deutsche Bank*, największej instytucji bankowej w Niemczech. Norden w swym artykule słusznie podkreśla, że kiedy Hitler napadł na Polskę, a koncern *Giesche* wraz z Goeringiem i niemieckimi arystokratami na Śląsku anektował polski przemysł, agenci trustu *Anaconda Copper* nie protestowali bynajmniej. Uczynili to właśnie teraz, kiedy naród polski przejął na własność fabryki *Giesche*.

Warto tu przypomnieć, że właściciele koncernu *Giesche* nigdy nie odznaczali się lojalnością wobec Polski. Już w r. 1926 usiłowali oszukać rząd polski, przyjmując nazwę *Schlesisch-Amerikanische Gesellschaft*, pragnąc w ten sposób — jako firma amerykańska — zapobiec przejęciu kopalń przez państwo polskie. Koncern *Giesche* w rzeczywistości był zawsze niemieckim przedsiębiorstwem, chociaż Amerykanie czerpali z niego zyski. Fakt, że Amerykanie popierają dziś roszczenia *Anaconda Copper* wobec Polski, pozostaje niewątpliwie w związku z tym, że na jednym z czołowych stanowisk amerykańskiej administracji w Niemczech, znajduje się mr *Philip Gaethke*, który przez wiele lat był delegatem *Anaconda Copper* przy koncernie *Giesche*, a dziś kieruje w ramach zarządu wojskowego sprawami kopalń niemieckich...

Albert Norden zaznacza, że przykład z trustem *Anaconda Copper* nie jest wcale odosobniony, gdyż 40 procent polskiego przemysłu przedwojennego znajdował się w rękach zagranicy, w poszczególnych gałęziach dochodząc nawet do 85 procent (np. nafta). W ciągu dwudziestu lat Polska była terenem intryg kapitału zagranicznego, knowanych przeciwko Rosji. Cóż więc dziwnego, że kapitałiści ci nie mogą pogodzić się z faktem utraty

swych wpływów i majątków na ziemiach nowej Polski. Majątków, które — powiedzmy sobie szczerze — były wielkie i wpływowe, a pochodziły przeważnie ze zdobyczy wojennych. Miesięcznik berliński *Die Weltbühne* cytuje ciekawe szczegóły grabieży śląskich magnatów w Polsce. Któż tu nie maczał palców? I książę *Waldeck und Pyrmont*, i diuk *Sachsen-Coburg-Gotha*, i książęta Hesji, Hohenzollernowie, herzogi *von Schaumburg-Lippe*, *von Oldenburg*, *Fürstenberg* i *Hohenlohe*, cała śmietanka arystokracji niemieckiej, która za cenę rabunku ofiarowała swe nazwiska Hitlerowi. Rabowali więc ci ludzie Polskę jak mogli, ale teraz włos im z głowy nie spada. Są na wolności, choć powinni znaleźć się na ławie zbrodniarzy.

Die Weltbühne pisze:

Po podbiciu Polski przez Hitlera książę Pless utworzył na Górnym Śląsku „Książęce Towarzystwo Kopalni Węgla” z kapitałem 40 milionów marek. Współ z koncernem *I.G. Farben* książę Pless (inaczej Pszczyński) przywłaszczył sobie „Kopalnię Książęcą” i elektrownię w Katowicach. Książę *Henckel von Donnersmarck*, hr. *Ballenstrem* i hr. *Schaffgotsch* dzielili między sobą majątki polskie pod patronatem Goeringa jak karty do gry. Ci trzej arystokraci otrzymali polskie majątki i fabryki w Katowicach, Sosnowcu, Dąbrowie i Krakowie. Słynne huty „Pokój”, „Laura” i inne wpadły w ich łapczywe ręce. W tych wszystkich skradzionych fabrykach i kopalniach robotnicy w 90 procentach składali się z cudzoziemców, zagnanych do pracy knutem SS-mana, a ich prawie bezpłatna praca pomagała arystokratom śląskim w osiągnięciu fantastycznych zarobków. W samym tylko kruscu hr. *Schaffgotscha* zatrudnionych było 25 tysięcy robotników polskich.

Skoligaceni z panującymi rodami w Anglii, Grecji, Holandii i Szwecji, magnaci niemieccy robią wszystko, aby powrócić do swych dawnych bogactw. Łożą więc pieniądze na te wszystkie partie, których program skierowany jest przeciwko nowej granicy z Polską. Stawiają na tych polityków, którzy budują swoje przyszłe sukcesy na szowinizmie narodu niemieckiego. Czując już za plecami poparcie międzynarodówki finansowej, dawni właściciele kopalń i trustów w Polsce nie zasypiają gruszek w popiele. Przeciwnie, organizują się. Znajdują zrozumienie i azyl w strefie brytyjskiej. Dziennik *Hannoversche Neueste Nachrichten* podaje:

W Hamburgu odbyło się zebranie członków stowarzyszenia „*Vertretung der ostdeutschen Betriebe*”, które dało przegląd w swej pracy nad zjednoczeniem b. właścicieli fabryk, leżących za linią Odry i Nysy, dotychczasowych osiągnięć oraz celów tego stowarzyszenia. Organizacja ta współpracuje ściśle z izbą handlową w Hamburgu, gdzie znajduje znaczne poparcie. Jednocześnie obecnie około 1.100 firm ze wschodu,

które znalazły znowu możliwość pracy w strefach zachodnich. Stowarzyszenie to rozpoczyna teraz wielką pracę organizacyjną i reprezentowane będzie na przyszłość również i w innych izbach okręgowych przez specjalnych mężów zaufania.

Pod takim aspektem rozpatrywać należy ofensywę niektórych polityków niemieckich w ich walce o nowe granice na wschodzie. Jurgieltnicy starego kapitalizmu niemieckiego, nawet na gruzach własnej ojczyzny, nie rozumieją ducha nowych czasów ani rzeczywistości politycznej w Europie.

4. GOSPODARKA NIEMIECKA NA ROZDROŻU

Głównym zagadnieniem w dziedzinie spraw wewnętrznych, które absorbują opinię społeczeństwa niemieckiego i są ośrodkiem polemik prasowych, jest sprawa zawartej niedawno gospodarczej umowy dwustrefowej, a więc ekonomicznej separacji strefy amerykańskiej i angielskiej od pozostałych terenów okupacyjnych. Jasne jest, że partie prawicowe, jak również SPD, przyjęły swego czasu bardzo optymistycznie podpisanie umowy anglo-amerykańskiej o gospodarczej jedności dwóch stref zachodnich.

I tak organ CDU w strefie brytyjskiej, pozostający pod wpływami osławionego sympatyka reakcji niemieckiej dra Adenauera, *Westfalenpost* podaje, że „pakt ten rozpoczął nową erę, gdzie nienawiść i nacjonalizm ustąpiły miejsca rozsądnym poglądom pokojowej współpracy”. Inne pismo CDU, *Die Rheinische Post* jest jeszcze bardziej entuzjastycznie nastrojone, skoro jego komentarz na temat umowy dwustrefowej głosi m. in. i takie poglądy:

Naród niemiecki może oczekiwać od umowy waszyngtońskiej wyraźnego polepszenia sytuacji. Dwa wielkie mocarstwa, posiadające decydujący wpływ na gospodarkę świata, doszły do porozumienia, ażeby wyrównać szkody wojenne, za które w mniemaniu świata ponosi odpowiedzialność naród niemiecki (sic!). Wielka Brytania i Stany Zjednoczone pragną przy pomocy olbrzymich kapitałów, przy pomocy towarów o realnej wartości pięciu miliardów marek niemieckich współuczestniczyć w losach obydwu terytoriów niemieckich, cierpiących niedostatek.

Nie ma tym koniec zachwytyw pras niemieckiej, pozostającej pod batutą zachodnich aliantów. Nawet organ Centrum *Neuer Westfälischer Kurier* wyraża zadowolenie z zawartej umowy angielsko-amerykańskiej. Wychodzący zaś w Kolonii organ SPD *Rheinische Zeitung* wyraża pogląd, że umowa waszyngtoń-

ska stanowi przejście do nowej epoki w polityce niemieckiej. Inny organ SPD, sławetna *Neue Ruhr-Zeitung*, która wyspecjalizowała się w atakach na Polskę i kraje słowiańskie, napisała w ferworze publicystycznym całą prawdę. Zdaniem tego pisma, „pożyczka dolarowa umożliwi Niemcom odbudowę zniszczonego kraju” i „Niemcy są trzecim partnerem umowy anglosaskiej na korzyść Niemiec.”

Anglosasi nie chcą zwracać zamrożonych kapitałów państwu okupowanemu dawniej przez Niemcy, nie mówiąc już o udzielaniu pożyczek na rekonstrukcję zniszczeń, jakich dokonali ich pupilkowie niemieccy, natomiast hojną ręką łożą na odbudowę przemysłu niemieckiego. Nie byłoby może to jeszcze takie oburzające, gdybyśmy wiedzieli, że przemysł ten ulegnie socjalizacji z pożytkiem dla wszystkich. Tymczasem wiemy doskonale, że układ dwustrefowy daje jedynie gwarancje dawnym właścicielom ciężkiego przemysłu i ich anglosaskim partnerom na giełdzie amerykańskiej, że wrócą oni kiedyś do swych fabryk i banków. Cieszą się więc potomkowie Kruppa i Siemens, że Anglosasi własnymi rękoma pracują na odsetki od ich kapitału. Układ dwustrefowy ostatecznie narodowi niemieckiemu, a w pierwszym rzędzie robotnikom nic nie przyniesie, czego dowodem jest i mała wydajność fabryk i stale rosnące bezrobocie, brak węgla i głód z chorobami włącznie. Stosunki gospodarcze np. w Zagłębiu Ruhry są doprawdy bardzo ciężkie.

Skoro kapitaliści pragną zachować swój majątek i władzę kosztem klasy robotniczej, trudno się im dziwić, że tak popierają umowę waszyngtońską, która daje im gwarancję powrotu do majątku. Że tak jest, rozumieją to już nawet niektórzy z dawnych zwolenników układu dwustrefowego. Jej przeciwnikiem staje się powoli nawet dr Victor Agartz, wysunięty przez Amerykanów przewodniczący niemieckiego komitetu gospodarczego, utworzonego układem dwustrefowym w Waszyngtonie. Doszło już i do tego, że sam generał Clay miał oświadczyć, że nie udzielił zezwolenia Agartzowi na wyzyskanie jego stanowiska, celem przeprowadzenia ustaw o socjalizacji przemysłu w obu połączonych strefach. Zresztą Agartz już w grudniu ub. roku naraził się Anglosasom swą krytyką umowy dwustrefowej oraz partykularyzmu zachodniego w gospodarce niemieckiej, nazywając umowę tę nawet aktem wielce niedemokratycznym. Dr Agartz, opierając się na przyrzeczeniach amerykańskich, udzielonych podczas podpisywania umowy waszyngtońskiej, zażądał przywrócenia politycznej i gospodarczej jedności Niemiec, podkreślając w swych wywodach, że niemieccy przemysłowcy przez popieranie Hitlera i realizację jego programu utracili prawo do kierowa-

nia przemysłem. Powrót tych ludzi—a to się dzieje właśnie teraz — do przemysłu oznaczać może tylko powtórzenie dawnych błędów z roku 1919, kiedy to tolerowanie takich ludzi, jak Hugo Stinnes, doprowadziło kraj do ruiny finansowej.

Słowa krytyki, jakich dr Agartz nie szczędził swoim patronom, nie mogły ująć bezkarnie i dzisiaj mówi się już całkiem otwarcie o ograniczeniu kompetencji dra Agartza, czego orędownikiem jest właśnie generał Clay, gubernator strefy amerykańskiej, jeden z tych ludzi, którzy popierają monopolistów amerykańskich na ziemi niemieckiej.

Wobec takiego stanu rzeczy zrozumiałe jest nastawienie do umowy dwustrefowej, jakie zajęły postępowe koła narodu niemieckiego. Centralny organ SED w Berlinie *Neues Deutschland* opublikował obszerną relację z przemówienia członka zarządu SED, *Waltera Ulbrichta*, które wygłosił on w Halle, na posiedzeniu *Landtagu* Saksonii. Powiedział on wtedy m. in. że „przywroćenie jednóści Niemiec jest zagadnieniem demokratyzacji we wszystkich częściach Niemiec. Godny ubolewania jest fakt, że istnieją niemieckie koła polityczne, które wbrew narodowym interesom niemieckim czynią wszystko, aby przeszkodzić utworzeniu jednóści Niemiec. Kołami tymi są właściciele koncernów, wielkich banków i innych organizacji monopolistycznych, obszarnicy oraz koła polityków reakcyjnych, którzy pragną podziału państwa na małe organizmy. Naród niemiecki sądził, że nowojorskie obrady ministrów będą dalszym krokiem naprzód na drodze do jednóści Niemiec. Tymczasem ministrowie anglosascy zawarli zamiast tego porozumienie o gospodarczym połączeniu strefy angielskiej i amerykańskiej. Obydwie strefy mają tworzyć w przyszłości jedną całość. Mają one również otrzymać wspólną walutę. Wobec tych usiłowań rozdarcia Niemiec, ogromna większość narodu niemieckiego uważa, że całe Niemcy winny być jednolitym organizmem państwowym, co zagwarantowane zostało w Poczdamie.

Dwustrefowa polityka gospodarcza zachodnich aliantów godzi więc w uchwały poczdamskie. Na tym stanowisku stoją nie tylko koła demokracji niemieckiej, ale i wiele państw, między nimi i Polska. Jesteśmy bowiem zdania, że rozbić Niemiec na drobne państewka przyczynić się może tylko do utworzenia niemieckiego Piemontu, a co za tym idzie i niebezpiecznej dla pokoju irredenty niemieckiej pod hasłem *zurück zum Reich*. Centralizacja natomiast daje możność demokratycznym elementom niemieckim opanowania rządu i zwalczania właśnie tych objawów hitlerowskich, jakie coraz wyraźniej dają znać o sobie w Bawarii czy Wirtembergii.

Dlatego musimy zgodzić się z wyznaniem Waltera Ulbrichta, kiedy mówi, że „po mowie ministra Byrnesa w Stuttgarcie pozwoliłem sobie w mojej odpowiedzi zwrócić uwagę, że istnieje niebezpieczeństwo rozdarcia Niemiec na skutek popierania polityki dwustrefowej w Niemczech”.

Przed konferencją pokojową trzeźwe głosy polityków niemieckich, którzy sprawiają wrażenie ludzi odpowiedzialnych, nie powinny ujść naszej uwadze, zwłaszcza po deklaracji polskiego ministra, że polityki naszej w stosunku do Niemiec nie będziemy opierać na nienawiści.

5. PIEMONT KAPITALIZMU NIEMIECKIEGO

Kohlenkrise, Industriekrise, Ernährungskrise — te trzy słowa powtarzały się, jak refren starej piosenki, na każdym kroku w potężnym ongiś Düsseldorfie. „Siedzimy na węglu — mówi stary górnik, członek KPD od 1926 r. — a marzniemy!”. „Kominy naszych fabryk ziewają — mówi inny robotnik, członek SPD — bo dawni właściciele jeszcze nie otrzymali ofert zza granicy. Siedzą spokojnie w swych dawnych mieszkaniach i głaszczą portfele nabrzmiałe akcjami. Papierki te znów skaczą w górę, jak rtęć w termometrze, bo Anglosasi walczą między sobą o strefy wpływów...”

Co innego drobnomieszczaństwo, na którym bazuje CDU Konrada Adenauera, który toczy zaciętą wojnę z SPD, nie mówiąc już o jego prowokacjach wobec miejscowych komunistów. Adenauer całkiem otwarcie powiada, że już najwyższy czas nadszedł, aby Niemcy przejęli cały przemysł Rury, albowiem socjalizacja jest imprezą nie do przeprowadzenia. Popierany w swoich dążeniach przez emisariuszy wielkiego kapitału anglosaskiego, od których roją się całe Zachodnie Niemcy (oni też lansują koncepcję tzw. Westdeutschland, która dałaby im wreszcie szerokie pole do popisu), Adenauer przyciągnął do siebie całą reakcję niemiecką — „Wszechniemców”, magnatów i rekinów przemysłu wojennego, którzy jedyny ratunek dla siebie i swych monopoli widzą w sojuszu z *Wall-Street* lub londyńską *City*.

Pod tym aspektem rozpatrując sprawę Zagłębia Rury, zrozumimy również tezę politycznego doradcy republikanów: w Ameryce, sławnego już i w Europie Johna Foster Dullesa, wroga Słowian i przyjaciela Churchilla — który tak namiętnie walczy o prymat kapitału amerykańskiego w Niemczech. Zrozumiemy z łatwością politykę człowieka, który popiera konserwę brytyjską, ponieważ wierzy w potęgę dolara i opanowanie przez

Piątą Aleję w New Yorku naszego kontynentu. Zrozumiemy ją może jeszcze lepiej, jeśli będziemy wiedzieli, że John Foster Dulles, który stale pisuje swoje paszkwile przeciwko Związkowi Radzieckiemu w *Life* i *Colliers*, jest dyrektorem międzynarodowego trustu niklowego, który poniósł w tej wojnie wielkie straty w związku z powrotem złóż niklowych w Petsamo do Rosji.

Jeśli dziś w Ameryce rządzi republikanie, a Dulles jest ich doradcą, czyż dziwić się można, że finansjera niemiecka popiera Adenauera, a kursy akcji rosną jak na drożdżach? Jeśli dziś niejaki dr Westrick, oskarżony o akcję szpiegowską na rzecz Niemiec, występuje jako obrońca trustu telefonicznego ITTG z ramienia firmy adwokackiej *Sullivan et Cromwell*, która prowadzi interesy partii republikańskiej i Dullesa — czyż można mieć pretensję do barona Schroedera z Kolonii, że wierzy w swych dawnych współpracowników ze *Standard Oil Company*?

Emisariusze z Wall Street amarchizują Ruhrę, powodując u jednych wiarę w fałszywe miły, u innych wywołując mary straconych już prawie złudzeń. A robotnik tymczasem głoduje, marznie i umiera.

Brytyjczycy nie bardzo są zadowoleni z penetracji kapitału amerykańskiego w ich strefę. Ale sami są zbyt słabi, aby konkurować z nim z wolnej stopy. Chwytają się więc innych sposobów. Władze wojskowe przejmują pod różnymi pretekstami poszczególne gałęzie czy obiekty przemysłowe. Tak stało się z kopalniami węgla, podobnie postąpiono z zakładami Kruppa w Essen, z koncernem *Reichswerke Hermann Goering* oraz z fabrykami *I. G. Farben*, o ile znajdowały się one na terenie okupacji brytyjskiej. Oficjalnie, konfiskaty te umotywowane były „zbyt wielką koncentracją gospodarczą przemysłu niemieckiego, której nie można było pozostawić bez kontroli”.

Ale jak jest w rzeczywistości?

W ciągu października 1946 r., całą kontrolę nad przemysłem stalowym i żelaznym oddano niemieckiemu urzędowi pn. *Verwaltungssamt für Stahl und Eisen* z siedzibą w Düsseldorfie. Urząd ten ustalać ma plan produkcji i rozdział surowców. Dyrektorem tego urzędu mianowano *Heinricha Dinkelbacha*, byłego członka zarządu potężnego koncernu *Vereinigte Stahlwerke AB*. Nominacja wywołała burzę protestów w związkach zawodowych, ponieważ każde dziecko tutaj wie, że Dinkelbach był mężem zaufania reżimu hitlerowskiego i członkiem NSDAP.

Dinkelbach otrzymał wielkie pełnomocnictwa. Może mianować kierowników poszczególnych oddziałów, bez porozumienia się ze związkami zawodowymi. Karierę swą Dinkelbach zawdzięcza przede wszystkim zaufaniu, jakie mają do niego Anglicy, że

nigdy nie zgodzi się na socjalizację przemysłu. Jego ściśle konneksje z kapitałem angielskim są gwarancją, że również i wędrujący kapitał amerykański będzie powstrzymywany w swych zapędach imperialistycznych w Niemczech, oczywiście na rzecz swego partnera brytyjskiego. Ale — jak mówią Anglicy — dla tego przecież okupujemy Niemcy i wydajemy 80 milionów funtów rocznie na wyżywienie tej strefy...

Gdy więc kapitał zagraniczny różnymi drogami kroczy do jednego celu, na ulicach Düsseldorfu oraz w innych miastach Ruhry, w Essen, Dortmundzie, Wuppertalu i Herne, robotnicy umierają na ulicach. Gdy biedota widzi, jak ich niedawni władcy znów rozbijają się w autach, w najlepszej komitywie prowadząc interesy z okupantem, czy można się dziwić, że rozdmuchiwane przez miejscową prasę niemiecką spod znaku Adenauera słowa o „zachodniej demokracji” stają się frazesem.

Czy w ten sposób ma się odbywać „demokratyzacja” Niemiec, której pełne są gazety anglosaskie? Owa ponura demokratyzacja, która w tych warunkach skończy się podobnym fiaskiem, co i osławiona już „denazifikacja”.

Niebo nad Düsseldorfem, klejnotem Zagłębia Ruhry, staje się coraz bardziej brunatne.

6. SIEMENS, PFERDMENGES et Co

Ostatnie afery magnatów reńskich, uwolnienie 27 przemysłowców w Düsseldorfie, z których połowa przynajmniej powinna stanąć przed trybunałem wojennym, dziwne postępowanie wobec starego Kruppa, który jakimś cudem uratował się od ławy norymberskiej, szacunek, jakim cieszą się u władz okupacyjnych panowie Flick, Thyssen, Hugo Stinnes et tutti quanti, kampania przywódcy CDU w strefie brytyjskiej, dra Adeanuera, który sprzeciwił się nacjonalizacji ciężkiego przemysłu, i tym podobne wyczyny reakcjonistów bawarskich, którym zlecono „opiekę” nad opuszczonym majątkiem zbrodniarzy wojennych, — ten długi katalog powiększył się ostatnio o dwa dalsze wielkie skandale.

Policja przypadkowo „nakryła” w Kolonii znanego bankiera, milionera *Pferdmengesa*, który sam mieszkał w swej czterdziestopokojowej willi. Stwierdzono że w spiżarni tego pana znajduje się 110 funtów szynki, 65 funtów słoniny, 96 funtów mięsa w konserwach, nie licząc innych produktów. Na pytanie zdziwionych urzędników, skąd wziął tyle żywności, *Pferdmenges* odpowiedział, że przywiózł to sobie ze swego „majątku na

wschodzie". Przy dalszym badaniu wyszło na jaw, że bankier ten był jedną z najważniejszych osobistości w życiu finansowym hitlerowskich Niemiec oraz że miał wybitne zasługi dla NSDAP, choć sam członkiem NSDAP nigdy nie był.

Węc gdy Nadrenia głoduje i uchodźcy marzną na ulicy, pan Pferdmenges mieszka w 40 pokojach, mając spiżarnię obficie zaopatrzoną niż batalion wojska amerykańskiego! Wypadek ten jest również świetnym przykładem braku ustawy denazifikacyjnej, która nie zajmuje się zupełnie członkami NSDAP. A wiemy przecież dobrze, że właśnie specjalnie „zasłużeni” przemysłowcy celowo nie wstępowali do partii, aby móc łatwiej nawiązywać kontakty z przemysłem anglosaskim, bardzo czułym na znaczek partyjny w klapie. I Papan, i Schacht, i von Neurath nie byli partyjnikami — nie przestając być jednakże mężami zaufania partii hitlerowskiej.

Jeszcze bardziej symboliczna dla tego wszystkiego, co się dzieje teraz w Niemczech, jest przygoda pana Ernesta von Siemens w Berlinie. Przybył on nagle z Monachium do Berlina, aby sprzedać swój koncern Anglosasom, wiedząc, że jako przestępca wojenny wpierw czy później straci prawo do swego majątku. Chciał więc po prostu ratować, co się da. Jego zausznicy podjęli już dawniej rozmowy z amerykańskim koncernem *General Electric Company*, którego przedstawiciel, dyrektor Hiessen, bawił w Berlinie — oraz z delegatem trustu brytyjskiego *Caxton Electric Company*, w osobie Mac Evena, byłego urzędnika *Military Government*, który po zdemobilizowaniu powrócił z Londynu do Berlina w charakterze emisariusza kapitału angielskiego.

Robotnicy zakładów *Siemens et Halske* słusznie uznali pojawienie się Siemensza za prowokację, gdyż od wielu tygodni rady zakładowe domagały się od władz brytyjskich upaństwowienia fabryk. Przyjazd dawnego właściciela nie wróżył nic dobrego. Magnat ten chciał bowiem początkowo wsadzić swoich ludzi do zarządu, aby w ten sposób opanować radę zakładową. Pan Siemens miał jednak pecha, gdyż przypadek rzucił, że w walizce jego znaleziono tajny plan, ułożony przez dawnych dyrektorów koncernu Siemens. Znaleziony dokument wykazuje, jak silne są jeszcze wpływy rekinów ciężkiego przemysłu w Niemczech, za którymi stoi kapitał światowy, jako opiekun wszelkiej reakcji na ziemi.

Na siedmiu stronach maszynopisu spadkobiercy Karla von Siemensza — Ernst i Hermann Siemensowie — ułożyli cały plan gry oraz sposób wyprzedaży poszczególnych części koncernu, ustalając przy tym, kto ma w zakładach pracować, jakie mają być stawki płac, rodzaj produkcji, bilanse. Słowem przygotowali

się z jednej strony do objęcia fabryk, z drugiej — do szybkiej likwidacji majątku na rzecz kapitału anglosaskiego, pozostawiając sobie tylko tyle, ile wymaga tzw. ciche spółnictwo — na wszelki wypadek. Plan przewiduje rozwiązanie rad zakładowych i powrót do „dawnych dobrych czasów” sprzed roku 1919, kiedy ich ojciec był leaderem niemieckiego przemysłu.

Po ujawnieniu zamiarów Siemens w Berlinie wybuchł wielki skandal. Nikt nie mógł bowiem zaprzeczyć, że zarówno Siemens, jak i firmy anglosaskie nadużyły prawa o nacjonalizacji zakładów przemysłu wojennego, które przyjęte było na plenum magistratu Berlina i potwierdzone uchwałą Rady Kontroli. Władze brytyjskie, w których sektorze znajduje się koncern, zmuszone były pod presją opinii publicznej położyć kres ciemnym machinacjom Siemens i zarekwirować fabryki. Mianowano powierników, którzy zajmą się przygotowaniem sprawozdania o stanie zakładów. Zabroniono jednak dokonywania jakichkolwiek transakcji kapitałem zakładowym koncernu.

Prasa lewicowa uważa tego rodzaju załatwienie za niewystarczające. Organ SED, *Neues Deutschland*, pisze o tym, że:

rekwizycja przez władze wojskowe nie może być równoznaczna z socjalizacją zakładów i oddaniem ich na własność narodu niemieckiego. Oznacza jedynie profit dla okupanta.

W świetle tego komentarza rozpatrzyć trzeba cały szereg innych spraw. Fakt, że w Berlinie Siemens poniósł porażkę, nie dowodzi jeszcze niczego. Gorzej jest — jak wiemy z raportów komisji Vansittarta — na zachodzie Niemiec, gdzie decyduje politycznie czynnik reakcyjny będący całkowicie pod wpływem kapitału niemieckiego. Fabryki są tam potajemnie wyprzedawane zagranicznym łowcom akcji lub demontowane bez kontroli. Mówiąc słowami pewnego Amerykanina, który wrócił niedawno z Essen, strefy anglosaskie połączone obecnie gospodarczą umową, są „dzikim zachodem” przemysłu niemieckiego gdzie można przeprowadzić każdą transakcję, byle tylko za pieniądze.

7. MANEWRY GOSPODARCZE

Ostatnia afery Ernsta von Siemens odbiła się głośnym echem w całych Niemczech. Zwróciła ona jeszcze raz uwagę na sytuację gospodarczo - polityczną, jaka w tej chwili panuje na zachód od Elby. Wydawanie kluczowych pozycji przemysłu na łup dawnych rekinów hitlerowskiego reżimu jest zjawiskiem tak pospolitym, że tylko jakiś większy skandal może jeszcze tutaj poru-

żyć opinię publiczną. Wszystkie bowiem obietnanki o szybkiej socjalizacji i upaństwowieniu majątków zbrodniarzy wojennych rozwały się wraz ze wzrastającą penetracją obcego kapitału w Niemczech. Podczas gdy na wschodzie akcja socjalizacji postępuje szybko i konsekwentnie, na zachodnich terenach Niemiec poszczególne obiekty gospodarcze są terenem walki konkurencyjnej między poszczególnymi kartelami i trustami anglosaskimi, którym wtórują unisono chóry niemieckich magnatów węglowo-stalowych, widzących tylko w tym stanie rzeczy możliwy jeszcze ratunek rozpadającego się na wschodzie bogactwa.

Walce potentatów finansowych wtóruje oczywiście pojedynek prasy lewicowej z kliką reakcyjną, która obsiadła i posiadała większość gazet niemieckich. A trzeba przyznać, że krzyk, jaki podnoszą coraz odważniej publicyści z lewicy, niemało dobrego zdziałał w tych nierównych jeszcze zapasach, gdzie potężne kapitału przeciwstawia się wiara w lepsze jutro, odradzającej się jak Feniks z popiołów demokracji niemieckiej.

Hannoversche Volksstimme opublikowała niedawno list otwarty do ministra brytyjskiego w Niemczech, Pakenhama, zwracając w nim uwagę na niebezpieczeństwo wypływające z faktu, że życie gospodarcze strefy brytyjskiej opanowane jest przez elementy nazistowskie. Pismo wylicza cały szereg osobistości z czasów hitlerowskich zajmujących nadal wpływowe stanowiska. Gazeta wymienia m. in. osobę Dinkelbacha, który z ramienia koncernu *Herman Goering — Werke i Vereinigte Stahlwerke* obrabował holenderski przemysł stalowy i żelazny. Jego prawa ręka, niejaki Müller, był czynny w latach 1942 — 45 w *Reichs-Rüstungs-Amt* i „przejmował” do zbrojowni niemieckiej zakłady przemysłowe w podbitych krajach Europy. W przemyśle węglowym w ogóle dotychczas nie rozpoczęto czystki. Np. urząd rozdziału węgla w Minden spoczywa w rękach wpływowego działacza CDU, dra Sogemeiera, hitlerowca i długoletniego kierownika *Reichsvereinigung Kohle*. Cała dyrekcja kolejowa w Bielefeld — to dawne ministerstwo komunikacji Adolfa Hitlera. Ilość tych elementów stale wzrasta, gdyż obciążeni urzędnicy kolejowi w strefie wschodniej masowo uciekają przed denazifikacją do strefy brytyjskiej. Na ich czele znajduje się dyrektor generalny Walter Wetzler, zagorzały zwolennik brunatnego reżimu od 1933 roku i członek NSDAP. *Hannoversche Volksstimme* kończy swój list apelem do ministra Pakenhama, aby przyczynił się do szybkiego usunięcia tych wszystkich elementów z życia gospodarczego strefy brytyjskiej, gdyż inaczej plan socjalizacji nie zostanie nigdy zrealizowany, nawet przy najlepszych chęciach władz okupacyjnych.

Gdy więc z jednej strony reakcja niemiecka czuwa nad swoimi interesami, z drugiej strony w sukurs przychodzą jej machinacje monopolistów zachodnich. Rodzinka kapitalistów międzynarodowych objęła rozczłonkowany korpus niemiecki jak polip, mackami swymi sięgając do wszystkich stref. Sprawa tajnego wykupu zakładów Siemensu w samym sercu Berlina jest jaskrawym dowodem beczelności światowego związku podżegaczy wojennych. Pod okiem robotników i rady załogowej koncernu *Siemens et Halske*, dwie potęgi — *General Electric Company* i *Caxton Electric Ltd.* licytowały się o prawo pierwokupu zakładów, które zgodnie z postanowieniami Rady Kontroli powinny były już być od dawna upaństwowione i przekazane Berlinowi. *Berliner Zeitung* pisze:

Wielki kapitał amerykański propaguje wolną sprzedaż kopalń i fabryk, gdyż w ten sposób może on wykorzystać nadmiar pieniądza we własnym kraju i zabezpieczyć sobie dalszy udział w eksploatacji bogactw przemysłowych w Niemczech zachodnich. Londyńskie *City*, znajdujące się w krytycznej sytuacji finansowej, co zmusza je znowu do szukania obcego kapitału bankowego celem finansowania kredytów, pragnęłoby zatrzymać formę organizacyjną wielkich koncernów, gdyż stwarzają one lepszą możliwość lokaty międzynarodowego kapitału. W tej dziedzinie kapitał brytyjski zrobił już wiele. Niedawno pod auspicjami *Federation of British Industries* odbyły się rokowania pomiędzy firmami holenderskimi i brytyjskimi, przedmiotem których był przyszły rozwój życia gospodarczego w Nadrenii i Ruhrze. Bezpośrednio po tych rozmowach wystąpiła Holandia z żądaniem oddania jej niemieckich kopalń węgla nad Dolnym Renem. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że te same koła powtarzają wciąż, iż. Holandia, Belgia i Luksemburg muszą otrzymać miejsce w międzynarodowej kontroli przemysłu Zagłębia Ruhry, dojdziemy do przekonania, że kapitał brytyjski szuka sprzymierzeńców w rozgrywce z konkurentami amerykańskimi o eksploatację przemysłu niemieckiego.

W ostatnich tygodniach odwiedzają strefę amerykańską przemysłowcy ze Stanów Zjednoczonych, jak np. przedstawiciele *Chicago Pneumatic Tool*, koncernu *Singer Sewing Co*, *National Ches-Register et Co* i in. W związku z tym dziennik *Neues Deutschland* dodaje, iż koła bawarskiego przemysłu konserwowego z tęsknotą wyczekują przybycia prezydenta amerykańskiego trustu konserwowego *U. S. Canning et Co*. Pisząc o tym, dziennik ten czyni uwagę, że wizyty tego rodzaju bynajmniej nie przyczyniają się do uzdrowienia gospodarki niemieckiej, wprost przeciwnie, wpływają one tylko na zwiększanie się wpływów kapitału amerykańskiego w Niemczech. Przemysłowcy ci bowiem przeprowadzają najpierw inwentaryzację przedsiębiorstw, aby później orzec, którym z nich można udzielić pożyczek na

odbudowę. Przy tym wiele przedsięwzięć koniecznych dla odbudowy niemieckiego życia gospodarczego zostaje zakwalifikowanych jako „nierentowne”. Jako przykład, gazeta *Neues Deutschland* podaje fakt niedopuszczenia do produkcji fabryk wytwarzających syntetyczną benzynę z węgla kamiennego, chociaż Sojusznicza Rada Kontroli zezwoliła na produkowanie syntetycznych środków pędnych. Nic zresztą dziwnego, skoro Niemiecko-Amerykańskie Towarzystwo Naftowe jest filią amerykańskiego *Standard Oil* i ubiega się o założenie sieci swych oddziałów w Niemczech zachodnich!

Inne pisma niemieckie, zbliżone do obozu lewicowego stale podnoszą sprawę wykupywania akcji niemieckich przez kapitał angielski i amerykański, komentując ożywienie się ruchu giełdowego faktem ustalenia poglądów, zwłaszcza u właścicieli karteli, że stabilizacja prawa własności jest już sprawą załatwioną.

Nawiązując do poruszonej już kwestii przenikania wpływów wielkiego kapitału anglosaskiego do gospodarki niemieckiej, dziennik *Tägliche Rundschau* (Berlin) opublikował cykl artykułów Alberta Nordena, specjalisty od „czarnych” machinacji i zakulisowych rozgrywek międzynarodowego kapitału, który zdemaskował współpracę koncernów hitlerowskich z kapitałem amerykańskim, która trwała aż do 1942 roku.

Norden przedstawił dzieje współpracy *Standard Oil* u z koncernem *I. G. Farben*, pomocy okazywanej przez trust amerykański *Duponta* hitlerowskiemu Niemcom, którego filia *Remington Arm Co* wzbraniała się jeszcze w roku 1941 sprzedawać amunicję krajom znajdującym się w stanie wojennym z Trzecią Rzeszą. Również kontrolowany przez koncern Morgana *International Telephon et Telegraph Corporation* posiadał ściśle związki z przemysłem hitlerowskim, opanowując właśnie za Hitlera 40 procent urządzeń telefonicznych w Niemczech. Warto zapamiętać, że trust ten finansował budowę niemieckich samolotów bojowych *Focke Wulff*, które były później postrachem właśnie lotników amerykańskich!

Przewodniczący rady nadzorczej firmy *Lorenz-AG* i *Standard Elektrizitaets - AG* w Berlinie, pozostającymi również pod wpływami koncernu Morgana, niejaki Gerhard A. Westrick, został wysłany w roku 1940 przez pana von Ribbentropa do Stanów Zjednoczonych, celem nakłonienia kapitalistów amerykańskich, aby w interesie kapitału międzynarodowego interweniowali u prezydenta Roosevelta w sprawie uznania europejskich grabieży Niemiec i polepszenia stosunków dyplomatycznych między Rzeszą a U. S. A.

Istotnie, jak się później okazało, wiceprezydent koncernu *monstre General Motors Company*, James D. Mooney usiłował poprowadzić akcję propagandową, za porozumieniem z Niemcami Adolfa Hitlera. Obecnie ten sam mr James D. Mooney zasiada w radzie nadzorczej przedsiębiorstwa *Opel-AG* w *Rüsselsheim* (strefa amerykańska)...

Te ścisłe związki dawniejsze nie mogły zostać i nie zostały też bez wpływu na kształtowanie się stosunków gospodarczych w strefach zachodnich. Niemieckie „grube ryby” przemysłowe, które musiały — jak same mówią „na razie” — zniknąć z pierwszego planu, starają się wszelkimi możliwymi sposobami przyciągnąć swych dawnych partnerów, aby wspólnymi siłami stoperdować wszelką myśl o socjalizacji kluczowych pozycji w przemyśle niemieckim. Gotowi są za byle co sprzedać pakiety swych akcji, byle tylko został im jeszcze jakiś cień nadziei, że po latach wszystko się im w dwójnásób zwróci. Nic przecież nie trwa wiecznie, a tym bardziej okupacja. Z kapitałem zagranicznym jakoś sobie poradzą przy zielonym stole.

Gorzej z robotnikami w upaństwowionych fabrykach.

To pachnie krwią i rewolucją. A jakżeż ci panowie słów tych nie znoszą!

8. GROŻNE CIENIE NIEMIECKIEGO PRZEMYSŁU

Na konferencji zwołanej w Nowym Yorku przez 50 wybitnych osobistości amerykańskich — m. in. przez panią Roosevelt, Alberta Einsteina, min. Sumnera Wellesa i min. Henry Morgenthaua — w sprawie przyszłości Niemiec, jeden z uczestników oświadczył: „Niemieccy przemysłowcy są bardziej groźni dla świata niż hitlerowcy”. Historia ruchu narodowo-socjalistycznego oraz dzieje ostatniej wojny wykazały, że istotnie tak jest. Gdyby nie kapitał niemiecki i jego wilczy apetyt zbrojeniowy, gdyby nie obawy przed utratą swych magnackich fortun, nigdy by Hitler nie doszedł do władzy pamiętnej nocy 30 stycznia 1933. Pieniądże Kruppów, Thyssenów i Schroederów uratowały partię hitlerowską od bankructwa i upadku. Wiemy o tym już dzisiaj wszyscy. Proces norymberski rzucił snop światła na kulisy Trzeciej Rzeszy. Nie wyświetlił jednak wszystkiego, ponieważ mafia międzynarodowego kapitalizmu bała się własnej kompromitacji. Wróble bowiem ćwierkały na dachu o związkach Stinnesa z Morganem i chemicznych fabryk Duponta z *I. G. Farben*.

Jedną więc z kardynalnych zasad nowego ładu w Niemczech jest zarówno konfiskata majątków przemysłowych zbrodniarzy i podżegaczy wojennych (ustawa nr 52 Sojuszniczej Rady Kontroli w Berlinie), wynikająca z uchwał jałtańskich, jak również daleko posunięta socjalizacja przemysłu i likwidacja koncernów prywatnych, czego domagają się partie lewicowe w Niemczech. Tymczasem dzieje się w Niemczech coś wręcz odwrotnego. Podział na cztery strefy doprowadził do tego, że każdy z okupantów uprawia własną politykę, często niezgodną z poprzednio uchwalonymi postanowieniami. A już zawarcie układu bizonalnego doprowadziło do wyraźnych rozdzźwięków między aliantami na temat polityki gospodarczej w Niemczech. Na Zachodzie klika reakcyjna, korzystając z milczącego zezwolenia władz, prowadzi własną politykę, godzącą w intencje uchwał między aliantami, z pożytkiem oczywiście dla własnych koncepcyj państwowych. Kilka dni temu na *Landtagu* westfalskim w Düsseldorfie został np. odrzucony wniosek SPD i KPD w sprawie przeprowadzenia plebiscytu, który by zadecydował o uchwaleniu socjalizacji przemysłu nadreńskiego. CDU wstecznika dra Adenauera i skrajna prawica FDP — Blüchera, odrzuciły nawet sam projekt plebiscytu! Czyż w tych warunkach można myśleć w ogóle o socjalizacji tak niebezpiecznych dla pokoju gałęzi przemysłu niemieckiego — jak nadreński?!

Nie inaczej w istocie przedstawia się sprawa przemysłu w Hesji. *Neues Deutschland* zamieszcza korespondencję z Frankfurtu, dotyczącą zagadnienia socjalizacji przemysłu kluczowego, zagwarantowanej artykułem 41 nowej konstytucji heskiej. Artykuł ten przewiduje socjalizację kopalń węglowych, rudy żelaznej, potasu, przedsiębiorstw metalurgicznych i elektrycznego przemysłu, zakładów energetycznych itp. Jednakże — jak się w praktyce okazało — art. 41 napotyka w realizacji na coraz większe trudności. Głównym niebezpieczeństwem są dążenia na *Landtagu* do wydania takich przepisów wykonawczych, które by wypaczyły jej istotny sens. Promotorem tych machinacji jest znów CDU, która dobrze pilnuje interesów swych mocodawców. Jednym z takich kruczków jest np. przepis, że socjalizacja może objąć tylko te przedsiębiorstwa, które w całości znajdują się na obszarze Hesji. Natomiast filie koncernów czy trustów nie podlegają już ustawie z art. 41 konstytucji heskiej. Oczywiście, że wtedy socjalizacja staje się mitem, gdyż — jak wiadomo powszechnie — właśnie na terenie Hesji znajdują się liczne fabryki i kopalnie, należące do Kruppa, Mannesmanna czy Roehlinga, których centrala znajduje się w Nadrenii! Co najwyżej filie tych zakładów mogą być oddane pod nadzór państwowy; jak wiemy, ko-

misarzami z reguły są Niemcy, często nawet i dawni dyrektorzy tych samych firm, jak to miało miejsce ostatnio w całym szeregu wypadków.

Słusznie pisze o tych sprawach ukazujący się w strefie francuskiej *Der Neue Tag*, twierdząc, że „nie można w środowisku kapitalistycznym przeprowadzić socjalizacji poszczególnych przedsiębiorstw. W warunkach kapitalistycznej konkurencji, specjalnie w naszych czasach, czasach wielkiej koncentracji kapitału, w okresie trustów, karteli i monopolów — pojedyncze przedsiębiorstwo, w którym będzie przeprowadzona socjalizacja, zostanie zmuszone również pracować wedle metod kapitalistycznych albo też zniknąć z powierzchni. Jedyne upaństwowienie kluczowych pozycji przemysłu może uzdrowić całą gospodarkę. Wszystkie rozmowy na temat socjalizacji nie posunęły się nawet jeden krok naprzód do celu, którym jest wyzwolenie ludu od wyzysku i nędzy. W obecnej sytuacji jest to raczej próba zdyskredytowania socjalizmu przez reakcję kapitalistyczną — nawet wtedy, gdy próba ta kryje się za szyldem „chrześcijańskiego socjalizmu”...

Jeśli w Berlinie udało się przeprowadzić ustawę o socjalizacji przemysłu, to może dlatego, że bliskie sąsiedztwo ze strefą radziecką, gdzie sprawę tę załatwiono w sposób szybki i celowy, wywarło jednak na wszystkie partie widoczny wpływ. Jedyne liberałowie z obozu dra Kueltza bronili koncernów, jakby dla podkreślenia, że jednak Niemcy nie są zdolni do pojmowania istotnego sensu demokracji, nawet jeśli idzie o ich własną kieszeń i własny los. Organ SED *Neues Deutschland*, jedynej partii w Niemczech, która głosi bezkompromisową walkę z rekinami przemysłu i osiąga na tym odcinku coraz znaczniejsze sukcesy, w komentarzu do tej ustawy pisze, że pomimo pewnych niedociągnięć związanych z pewnymi koncesjami na rzecz innych partii, uchwała berlińskiej rady miejskiej będzie dobrym przykładem dla Niemiec zachodnich. Berlin — pisze dziennik SED — był dawniej miastem koncentrującym towarzystwa akcyjne i wielkie przedsiębiorstwa. $\frac{1}{5}$ wszystkich towarzystw akcyjnych miała swą siedzibę w Berlinie, posiadając 25 procent ogólnego kapitału przemysłowego w Niemczech.

Ale i tutaj nie wszystko jest w porządku. Ustawę o nacjonalizacji berlińskiego przemysłu uchwalono wprowadzić z wielkim szumem, ale dotąd władze alianckie nie zatwierdziły ich, uniemożliwiając praktycznie realizację postanowień berlińskich. A więc jeszcze jeden papierek, podobnie jak w Hesji. Tymczasem co się dzieje!

Władze brytyjskie w Berlinie — w przewidywaniu konsekwencji nowej ustawy — konfiskują zakłady Siemens'a w brytyjskim sektorze Berlina. Francuzi demontują zakłady Borsiga w swoim. Amerykanie, uchwalając nową ustawę o dekartelizacji, wyłączają równocześnie cały szereg zakładów z *I. G. Farben* na czele. A marszałek Sokołowski, który na ostatnim posiedzeniu Rady Kontroli ostro wystąpił przeciwko polityce „wolność Tomku — w swoim domku”, przekreślającej całą robotę lewicy niemieckiej i powodującej tylko głód i chłód, musi w odpowiedzi na swe zarzuty wysłuchiwać niejasnych odpowiedzi marszałka Douglasa i generała Claya.

Pod takimi auspicjami odbywa się w Niemczech kuracja demokratyczna powojennych Niemiec. Trudno nie przyznać racji Eryce Mann, córce autora „Czarodziejskiej góry”, która skrytykowała na konferencji w Ameryce politykę Anglosasów wobec Niemiec, określając ją sloganem: „Przynosimy wam w darze demokrację”. Tylko świadomość klęski może złamać raz na zawsze tradycję Bismarków i Kruppów w Niemczech.

Im dłużej ziewać będą kominy fabryk niemieckich z łaski podżegaczy wojennych, tym groźniejsze będą ich cienie, padające na kontynent europejski.

W A L K A O N O W E N I E M C Y

1. CZY DOPRAWDY NIESPODZIANKA?

Mowa, którą minister Byrnes wygłosił w Stuttgarcie, a która jaskrawo uzupełniła fultońskie przemówienie Churchilla, żywo poruszyła opinię publiczną nie tylko Polski. Wywarła ona nieprzyjemne echo w tych wszystkich krajach, graniczących z Niemcami, które na własnej skórze zaznały dobrodziejstwa brunatnego reżimu.

Francja, Belgia, Holandia przyjęły wynurzenia min. Byrnese jako niespodziankę, uważając je bądź za grę polityczną, bądź też za chwilowy objaw słabości pod wpływem atmosfery jaka panowała w Stuttgarcie. Klimat bowiem, jaki potrafil Niemcy przy pomocy swych amerykańskich przyjaciół wytworzyć tego dnia w mieście i na sali, poza całą komedią à la Hollywood, mógł zaiste wywrzeć wpływ na mentalność takiego człowieka jakim jest Byrnes.

Po śmierci Roosevelta i jego doradcy Harry Hopkinsa, po wycofaniu się z życia politycznego Henry Morgentaua i prawnego doradcy Wielkiego Prezydenta Samuela Rosenmana, przy zupełnej apatii politycznej Bernarda Barucha, słynny „trust mózgów” został zupełnie rozbity, zwłaszcza że polityka Trumana i jego doradców od pierwszej chwili szła właśnie w tym kierunku. Gdy ponadto fotel Hulla objął wreszcie Byrnes, sytuacja stała się jasna. Odeszli z Białego Domu i *State Department* wszyscy ci, którzy mieli szczerzy zamiar obezwładnić oraz izolować Niemcy i Niemców na szereg lat od reszty kontynentu, zanim nie dopełni się pokuta za dokonaną zbrodnię. Górę wziął kierunek znacznie bardziej umiarkowany, pozostający pod wpływami takich ludzi, jak senator Theodore Bilbo, zwolennik niewolnictwa i duchowy ojciec Ku-Klux-Klanu.

Dla wtajemniczonych stało się jasne, że Truman i jego politycy nie będą popierali większych, choćby najbardziej słuszných roszczeń narodów sąsiadujących z Niemcami, a to dla tej pro-

stej przyczyny, że Amerykanie pragnąc wycofać się z tzw. afery niemieckiej chcą jednocześnie zapewnić sobie rynki zbytu w środkowej Europie i zyskać sympatię niedawnych przeciwników. Obojętne im są losy tych czy innych małych narodów, skoro widzą swój interes polityczny w utrzymaniu przewagi w narodzie liczebnie wielkim. Nie bez znaczenia jest również propaganda, jaką trzydzieści bez mała milionów Amerykanów niemieckiego pochodzenia, ludzi przeważnie wpływowych i majątnych, prowadzi wśród reszty społeczeństwa za oceanem. Niemcy ci, którzy wprawdzie nienawidzili Hitlera, ale nie przestali nigdy kochać swej dawnej ojczyzny, robią teraz wszystko, co jest w ich mocy, aby nie tylko odwrócić nienawiść świata od swych ziomków, ale przede wszystkim aby im pomóc politycznie i gospodarczo. Dziś istnieją komitety pomocy Niemcom oraz stowarzyszenia sprawiedliwego pokoju dla Niemiec. Niemcy amerykańscy wydają dziesiątki gazet w języku niemieckim w Ameryce, starając się wszelkimi możliwymi drogami dotrzeć do moźnych tego świata. Kwesty publiczne i zbiórki towarów cieszą się, jak podają pisma amerykańskie, wielką popularnością. Pisma, które zwracają na to uwagę oraz publicystów, którzy mają odwagę napiętnować podobne akcje, kwakrowie i mormoni z Michigan i Oregon, nazywają... komunistami.

Niedawno czytałem kilka artykułów poważnego publicysty Wiliama L. Shirera, który w sposób kategoryczny zażądał kontroli nad propagandą niemiecką w Ameryce, przybierającą wprost skandaliczne rozmiary. Autor rozprawił się przy tej sposobności z prasą niemiecką w Stanach, nazywając ją bez ogródek ostatnią harfą Goebbelsa.

Drugą stroną tego zagadnienia jest propaganda, uprawiana na terenie Stanów przez Niemców, którzy po przewrocie Hitlera dostali się do Ameryki. Ci długo milczeli, gdyż sytuacja ich była niewyrażna a wojna zaciepła. Skoro jednak reżim Hitlera skończył się wraz z upadkiem Berlina, emigranci ci, którzy przez kilkanaście lat potrafili zyskać sobie zaufanie wielu wpływowych osobistości w Ameryce, a książkami bądź też sztuką trafić do serc tysięcy sentymentalnych Amerykanów, ruszyli ławą w sukurs swym pokonanym braciom. Nie kto inny, jak właśnie b. kanclerz Rzeszy Brüning, który jest teraz profesorem prawa międzynarodowego na jednym z uniwersytetów amerykańskich, dowodzi na swych wykładach, że Polska nie ma prawa do Ziemi Zachodnich. Łatwo domyślić się, co o tym sądzą młodzi studenci, skoro słyszą przez radio przemówienie Byrnesa, potwierdzające słowa ich profesora. I tak jest na wielu fakultetach rozsianych po rozległym konty-

nencie amerykańskim. Wiemy po czyjej stronie są sympatie tych, którzy już jutro mogą decydować o losach świata.

Poeci, pisarze, malarze, uczeni niemieccy, są moim zdaniem, szóstą kolumną, która za zadanie postawiła sobie ratować Niemcy. I to wszelkimi sposobami.

Jednym z tych sposobów jest infiltracja Niemiec. Niedawni emigranci dziś w mundurach amerykańskich idą do Niemiec. Obejmują poważne stanowiska w armii, w administracji, w prasie, w radio — na okupowanych terenach. I chociaż noszą obce mundury, serce ich jest zawsze niemieckie. I mają tu wielkie pole do popisu. Oni są doradcami pocziwych generałów, oni decydują w wielu drobnych na pozór sprawach, które łącznie składają się na to, co nazywamy teraz odradzaniem się ducha niemieckiego.

Nie ma dziś urzędu ani komórki politycznej, gdzieby za biurkiem nie siedział jakiś Niemiec w mundurze amerykańskim. Mało tego! Nawet korespondenci, którzy przyjeżdżają tu z ramienia wielkich koncernów amerykańskich, w wielu wypadkach okazują się Niemcami, którzy jeszcze nie tak dawno pracowali w prasie Hugenerga. Tu ekspertami są fachowcy i inżynierowie Niemcy. Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Nie darmo generał Collins, który świeżo przybył do Berlina z Waszyngtonu, dał wyraz swemu oburzeniu, zwracając uwagę korespondentom amerykańskim, aby zabrali się poważnie do pracy i nie pisali bzdur i głupstw na błahe tematy. To bagatelizowanie niemieckich tematów jest czasem w prasie amerykańskiej wprost zastanawiające. Oczywiście dla człowieka, który nie zna panujących stosunków.

Tutaj też tkwi niepowodzenie denazifikacji i buta pp. Kaisera, Schumachera czy Högnera. Znając łatwowierność Amerykanów, czują się bezpieczni pod ochroną Niemców zza oceanu, którzy królują w OMGUS czy w Głównej Kwaterze.

Nie bez znaczenia i wpływu są również wyczyny amazonek niemieckich, które opanowały umysły i zmysły tzw. GI czyli żołnierzy amerykańskich. Ich zasługi dla sprawy niemieckiej są równie wielkie jak groźne. Wiadomo jest natomiast, że żołnierze amerykańscy najlepiej czują się wśród Niemców, jak o tym nieraz czytamy w wojskowej prasie amerykańskiej. Łatwe zwycięstwa upajają tych chłopców, każą wierzyć w wyższość swej rasy. I to jest również bardzo niebezpieczne. Wielu bowiem z tych łatwowiernych ludzi wraca do domu, obejmuje tu różne stanowiska, stając się mimo woli orędownikami niemieckiej sprawy. Oni też będą głosować, bądź też sami zostaną deputowanymi. Łatwiej ich będzie pozyskać dla sprawy niemieckiej niż innej,

zwłaszcza że niejeden z nich będzie miał w domu małą Gretchen czy Käthe.

Biorąc pod uwagę wszystkie te elementy amerykańskiej rzeczywistości politycznej w Niemczech i za oceanem, dojdziemy do wniosku, że mowa Byrnese mogła wydać się niespodzianką czy zaskoczeniem tylko tym, którzy nie znali prawdy ani atmosfery politycznej pod okupacją amerykańską w Niemczech.

Tylko bowiem w takich warunkach mowa Byrnese mogła w ogóle stać się faktem.

2. KONIEC PRUS

Podczas gdy Amerykanie mają coraz większe i coraz bardziej kompromitujące nieprzyjemności z denazifikacją, a Anglicy głód w swej strefie, gdy Schumacher jeździ do Londynu po błogosławieństwo, a Franz Neumann urąga Polsce, gdy w całych Niemczech zachodnich budzi się powoli lecz konsekwentnie duch oporu, miejscami nawet buntu, na wschodzie „tysiącletniej Rzeszy” mamy do zanotowania pocieszający fakt: rozkład i upadek Prus. *Finis Borussiae!* — jak pisał zbliżony do kół Jacoba Kaira dziennik berliński *Der Abend*.

Prawie w naszych oczach rozpadła się na części oaza militarizmu i niewyczerpany, zdawałoby się, śpichlerz buty i zachłanności niemieckiej, kraj milczących i ponurych ludzi, którzy słowo „mord” podnieśli do godności wiary, a słowo „litość” wykreślili z mowy żyjących. Sejmiki prowincjonalne w Poczdamie i w Halle powzięły niedawno uchwałę, że dotychczasowy samorząd zostaje przemieniony w rząd prowincjonalny. Miasto Berlin stało się „krajem” (*Land*), podobnie jak Hamburg. Prowincje Hanower, Braunschweig i Oldenburg złączyły się w nowy kraj: *Land Niedersachsen*. Westfalia wraz z północną częścią Nadrenii również stała się oddzielnym krajem, podobnie jak prowincja Hessen-Nassau (wraz z wielkim księstwem Hessen). Wschodnie ziemie dawnego królestwa Prus, które Fryderyk II zawojował od Polski, następnie zaś od Austrii, przypadły Polsce. W ten sposób znikło możne państwo ongiś Hohenzollernów, którzy przez trzysta lat decydowali o obliczu politycznym i moralnym Niemiec.

Z dala od hałasu codziennych kłopotów niemieckich i z Niemcami dokonał się akt historyczny. Prawie niepostrzeżenie dokonano operacji usunięcia Prus z organizmu niemieckiego, jak złośliwej narośli, która co pewien czas powoduje paroksy-

my bólu i szaleństwa. Narośl ta była tym dokuczliwsza, że stara i nie do wyleczenia.

Elektorat brandenburski był małym krajem o małych wpływach w cesarstwie, gdy Fryderyk Wilhelm I w roku 1640 objął rządy. On to był ojcem tego tak znienawidzonego w Europie pruskiego militarysty. Powołał bowiem pierwsze stałe wojsko o wyraźnym obliczu politycznym, wojsko, które zaważyło na losach państwa pruskiego. Król ten położył podwaliny pod przyszłą biurokrację pruską, nauczył swych poddanych pracować, milczeć i słuchać. Powoli, w ciągu lat, narodziło się to, co później często nazywano „duchem pruskim”. Duch ten był ojcem obozów koncentracyjnych.

Prusy rozpoczęły swe życie od porażenia mniejszych organizmów państwowości niemieckiej, dążąc z całych sił do supremacji. Po Fryderyku, pogromcy Austrii, przyszła era Bismarcka. Swoją energią i tupetem, przy braku jakiegokolwiek oporu wśród rozleniwionych nieróbstwem książąt niemieckich, Bismarck rozdmuchał raczej Prusy, niż je powiększył. Twór jego był od pierwszej chwili sztuczny i opierał się raczej na niechęci jednych Niemców do drugich niż na uroku państwa pruskiego. Reszty dokonał policyjny system rządów berlińskich.

Już pierwsza wojna zadała cios prusactwu. Budowla Bismarcka zaczęła pękać. Republika weimarska zrównała bowiem wszystkie kraje, a wtedy od razu wyszły na jaw różnice między Nadreńczykami a Westfalczykami lub między Ślązakami a mieszkańcami Prus Wschodnich. Po załamaniu się prymatu Prus, narody, w skład ich wchodzące, nie chciały dłużej znosić kaprysów biurokracji berlińskiej. Nie było też mowy o współpracy między wschodem a zachodem Prus w republice weimarskiej. Prusy żyły raczej tradycjami Hindenburga i *Herrenklubu* von Papena niżli własnym autorytetem.

Odżyły Prusy dopiero za rządów hitlerowskich. Gorącym ich orędownikiem był Goering, dla którego stały się one odskocznią do wielkiej kariery. Traktował je też późniejszy skazaniec norymberski, jak udzielne księstwo, gdzie hodowano stary bakcył prusactwa i militarysty z wielką miłością i zapamiętaniem. Aspiracje polityczne Goeringa znajdowały tutaj właściwy upust. Prusy też stały się, zgodnie z tradycjami, kolebką światoburczych planów, które miały świat cały rzucić do stóp klki Hitlera. W Prusach mógł Goering buszować, zbierać pieniądze, robić eksperymenty, tutaj bowiem ambitny premier pruski i marszałek nie napotykał na opór poddanych. Byli przecież od wieków przyzwyczajeni do „buta pruskiego”. Tak było za Alberta Niedźwiedzia. Inaczej więc nie mogło być za Hermanna Goeringa.

W pruskim mateczniku Hermann Goering rządził, mordował i bogacił się. A biedny minister skarbu Opitz, który należy do ofiar 20 lipca, pozwalał na wszystko Goeringowi, bo tak każe stara tradycja pruska, że władca musi mieć wszystko. Ta sama tradycja pozwoliła bezkarnie mordować, jak ongiś komturowie czynili to w starych Prusach. Powoli „duch pruski” zamieniał się w „ducha hitlerowskiego”.

Preceptorzy brunatnych bonzów, wywołując stare duchy z teutońskich lasów, cnoty dawnych Prusaków wynosili pod niebiosą. Na wszelkie sposoby starano się wzorować na dawnych tradycjach i naukach filozofów pruskich. Prusactwo odżyło w całej pełni, wraz z hakatą, *Drang nach Osten*, antysemityzmem, feudalizmem i kastą junkrów. *Mark Brandenburg*, prakolebka militarystyki pruskiej, stała się miejscem uświęconym dla przyszłych zdobywców świata, którzy w istocie okazali się karłami o złych sercach i zatrutych duszach.

Republika weimarska przepała Prusy. Odsunęła je od władzy, ale pozwoliła na ich odrodzenie. Tłący ogień militarystyki odżył podsycony ręką Hitlera. Początkowo nieśmiało, później z wielkim hałasem i tupetem, następnie zaś na skutek sromotnej porażki powoli lecz konsekwentnie, rozpałał on „święty ogień” pruskiego narodu. Gdy w r. 1933 wybuchł wielkim płomieniem pożar militarystyki pruskiej w kilkanaście lat później mógł go ugasić dopiero ocean przelanej krwi niewinnej.

Dziś Prusy rozpadły się. Poszczególne kraje rządzą się same. Powinniśmy dążyć teraz, do wytrzebiecia resztek prusactwa, które w różnych miejscach raz po raz wybuchają jak zasypane na pustyni gejzery.

Państwo niemieckie bez Prus — to jedyne państwo niemieckie, które może nie być groźne dla pokoju.

3. DESANT KURTA SCHUMACHERA

Podróż nieoficjalnego ambasadora Niemiec, przywódcy niemieckiej partii socjal-demokratycznej, dra Kurta Schumachera do Londynu wywołała w Niemczech, jak i poza ich granicami, wstrząs podobny temu, jaki wywołała w swoim czasie mowa ministra Byrnese. Anglicy zrewanżowali się Ameryce, nie chcąc w ogólnej grze o dusze niemieckie pozbawić się atutów propagandowych. Amerykanie byli wyjazdem Schumachera nie mniej zaskoczeni, niż Anglicy mową Byrnese. Obaj partnerzy, mimo pozorów współpracy, pilnie strzegą swoich ogródków strefowych.

W okresie szumacherowskiej pielgrzymki jedna z wpływo-
wych osobistości amerykańskich w Berlinie wyraziła się publicz-
nie: „To są zupełnie hinduskie zabawy, z tym, że w Indiach
nie ma czterech stref. Nie rozumiem, jak mogli Anglicy popro-
sić tylko socjalistów Schumachera, a pominać delegatów pozor-
stałych stronnictw. To nie była gra *fair*...”

Aby zrozumieć zaproszenie Brytyjczyków i wyjazd Schuma-
chera, należy sięgnąć nieco głębiej w stosunki, panujące od dłuż-
szego czasu w strefie brytyjskiej.

Anglia otrzymała strefę na wskroś przemysłową. Spichle-
rzem tej strefy był wschód niemiecki, a największą troską hitle-
rowskiego ministra aprowizacji Backego podczas wojny, było
zaspokojenie żołądków robotniczych. Dziś istnieje ten sam pro-
blem z tą różnicą, że Anglicy nie mają skąd tej żywności brać,
skoro w samej Brytanii jest ciężko. Amerykanie sprowadzają
żywność zza oceanu, bo są bogaci. Anglia natomiast należy dziś
do krajów dłużniczych i nie stać jej na żywienie Niemców kosz-
tem olbrzymich nakładów finansowych. Płatnik brytyjski bun-
tuje się, czego dowodem liczne interpelacje w Izbie Gmin.

Czyż wobec tego Anglicy mieli zrezygnować z prymatu
w Niemczech?

Oczywiście, że nie! Skoro nie mogą dać „*panem*”, pozostaje
„*circenses*”....

Pozwala się więc głodnym Niemcom nosić stare mundury
z orderami, pozostawia im się dawne tytuły, denazifikację zaś
sprowadza się do rzędu przeżytków, z których można kpić
w kabaretach. Zezwala się na śluby z Niemkami, podnosi się
upadłych na duchu, dając miraż rychłego zmartwychwstania.
Traktuje się wreszcie Niemców jak zubożałych krewnych, któ-
rym nie powodzi się w życiu, ale którym pomagać wypada i na-
leży. Cała ta sceneria obliczona jest na mentalność „niemieckie-
go człowieka”, który zawsze dostatnie jedzenie uważał za spe-
cjalny przywilej.

Do rzędu takich samych szopek należy zaliczyć i wyjazd
Schumachera. Był on o tyle na czasie, że w Hamburgu i Hano-
werze dochodziło już prawie że do rozruchów głodowych. Sy-
tuacja była bardzo napięta, Ruhra głodowała i głoduje, a obie-
cankami nawet Anglicy nie potrafia długo żywić ludzi głodnych
i zrezygnowanych.

Wtedy Brytyjczykom przyszedł z pomocą Kurt Schumacher,
pupil pana Bevina i brytyjskiej Partii Pracy. Człowiek ambitny,
zdolny, nieprzejeđnany wróg Słowian i Francuzów, człowiek,
którego sami Niemcy przewali *der kleine Hitler* dla jego na-
miętności oratorskich i patetycznych gestów. Polityk, który

wmówił Niemcom, że właśnie Anglicy otworzyli im drzwi na świat, ale który jednocześnie na wiecu w Hanowerze powiedział otwarcie, że „musimy odgraniczyć się od naszych sąsiadów i stać się panami we własnym domu. Partia socjal-demokratyczna gotowa jest rozszerzyć się, ale nie dopuści do infiltracji innych grup”. A więc na starą modłę, która nie od dziś przypada jego ziomkom do gustu, walka o jedynowładztwo partyjne.

Duszą tego ruchu jest człowiek, który podobnie jak Hitler zaczął swoją karierę polityczną od atakowania traktatów pokojowych. Gdy pierwszy wystartował od napaści na Wersal, jego następca uczynił to z Poczdamem. „Uchwały poczdamskie nie są wykonywane, wobec tego są niepotrzebne!” — wołał Schumacher w kilka miesięcy po wojnie na ulicach Berlina i Hamburga. Dzisiaj on i jego zwolennicy uważają Poczdam za nieporozumienie i w tym duchu pouczają — ku chwale Anglii — swych stronników. A Niemcy, którzy wiele już wygrali w dziejach na protestach, są przecież mistrzami od gmatwania polityki.

Nienajgorszym rybakiem w mętным stawie niemieckiego mściciela politycznego okazał się Kurt Schumacher. Został więc zaproszony do Londynu, skoro Anglia nie ma chleba dla jego ludzi. A czas rzeczywiście nagił.

Tego samego dnia bowiem, kiedy Anglicy przygotowali desant Schumachera na ziemię angielską, biuro informacyjne SPD w Hanowerze ogłosiło odezwę komitetu partii do wszystkich członków. Ciekawy ten i nieznany dokument jest najlepszą ilustracją tego, co się dzieje za „żelazną kurtyną” okupacji brytyjskiej w Niemczech. Jest on równocześnie przyznaniem się do porażki, jaką SPD poniosła na zachodzie, tak pod względem politycznym, jak i gospodarczym.

W odezwie tej czytamy:

Wyżywienie i aprowizacja ludności artykułami pierwszej potrzeby stoi w obliczu katastrofy. Winnym za ten stan jest system kapitalistyczny, który widział zbawienie w ustroju hitlerowskim. Silniejsi gospodarczo sabotują zarządzenia. Lwia część aparatu wykonawczego nie funkcjonuje zupełnie, podczas gdy inni kombinują z ciężkim przemysłem. Korupcja i wyzysk opanowały życie codzienne. Nikt zresztą za to nie jest ścigany...

Tak wyglądała sytuacja w kraju, rządzonym przez protektorów Schumachera na dzień przed jego startem do Londynu. Misja jego miała więc zupełnie wyraźne oblicze. Była zrecznie wyreżyserowanym *circenses*...

Niewiele dała ona zresztą Niemcom. Powrót Schumachera, poza pierwszym oszołomieniem, był bardzo żalorny. Pozostałe partie wykazały w prasie i na wiecach całą nicość kierowanej przezeń polityki. Jeśli Schumacher pragnie jednowładztwa dla swej partii w Niemczech, dlaczego u siebie nie potrafi opanować sytuacji? — pytano powszechnie. — Nie chcemy, aby mydlono nam oczy! — wołał Jacob Kaizer, największy konkurent Schumachera do sławy führera i pupilek Amerykanów — my chcemy pracy i chleba, nie zaś cukierków...

Prasa niemiecka, przeciwna Schumacherowi podkreślała nie bez racji, że desant na Anglię po raz drugi skończył się klęską Niemiec. „Niczego nie dokonał, ale znów poruszył całą opinię europejską przeciwko nam”. — Po jego wizycie — pisał ktoś w Berlinie — okazało się, że mamy jeszcze więcej wrogów niż nazajutrz po klęsce. Nie możemy sobie dziś pozwolić na luksus drażnienia sąsiadów — czytałem gdzie indziej.

Takich głosów było wiele. Niemcy byli wściekli na Schumachera, oczywiście poza kliką zakapturzonych faszystów i pozostałych szumowin hitlerowskiego piwa.

Słusznie pisał też *Manchester Guardian* po wizycie Schumachera, że „trudno jest wprost pojąć postępowanie Anglików, którzy zapraszają polityka niemieckiego do Londynu, aby przemawiał imieniem nacjonalizmu niemieckiego, zanim jeszcze sojusznicy w ogóle zaczęli się zastanawiać nad przyszłością Niemiec. Paryska *Humanité* nazwała postępek ten — prowokacją.

W każdym razie to co powiedział w Londynie pan Schumacher nie może być trafniej nazwane. Tylu impertynencji nie wysłuchał świat od czasów szaleńczych mów Hitlera. Ze wszystkich fragmentów, jakie prasa podała z Londynu, jedno powiedzenie Schumachera utkwilo mi dziwnie w pamięci. Zacytuje je dosłownie:

„Mówi się wiele o demokracji — powiedział Schumacher — ale próbkę jaką nam pokazano mogę nazwać jedynie biurokracją. Weźmy chociażby sprawę obozów dla uchodźców niemieckich ze wschodu. Można o nich tylko jedno powiedzieć: Belzen bez SS”.

Świat powinien być właściwie wdzięczny Anglii za wyprawę Kurta Schumachera. Wiemy przynajmniej, co myślą tzw. postępowcy niemieccy.

A znałem takich fantastów, którzy w prostocie ducha sądzili, że jednak ostatnia klęska i ogrom wyrządzonych krzywd wpłynę na zmianę mentalności niemieckiej, że może teraz będzie można jakoś ułożyć współzycie z Niemcami. „Przecież chyba jest w Niemczech tysiąc sprawiedliwych — mówili — z którymi

można te czy inne problemy przedyskutować w europejskiej atmosferze.

Biedni przyjaciele z *Weltbühne* Carla Ossietzky'ego! Okazało się w świetle „programowych” przemówień Schumachera, który sam był więźniem obozu koncentracyjnego, że jesteście niedobitkami wyrżniętej w pień demokracji niemieckiej, tak antycznej jak stara kultura grecka, która tyle ma wspólnego z obecną Grecją, co „demokrata” Schumacher z Lessingiem.

4. HISTORIA SIĘ POWTARZA...

Dotychczas stale podkreślaliśmy, jak wielkie niebezpieczeństwo kryje się w tolerancji — jeśli nie użyć mocniejszego słowa — w stosunku do byłych właścicieli koncernów lub wysokich dygnitarzy partyjnych, którym powierzono „opiekę” nad przemysłem niemieckim. Niejednokrotnie też cytowaliśmy nazwiska oraz staż polityczny ludzi, którzy wespół z militarystami niemieckimi ponoszą dziś odpowiedzialność za to wszystko, co się stało w Europie. Nie były to odosobnione wypadki; przeciwnie, jak wykazała dotychczasowa praktyka — była to nawet metoda w przyciąganiu „grubych ryb” brunatnego reżimu w orbitę interesów gospodarczych anglosaskich okupantów, pod płaszczykiem ich nieodzowności lub braku fachowych sił w procesie regeneracji „pokojowego” przemysłu w zachodnich Niemczech. Słusznie też alarmowała postępową prasę niemiecką, wskazując na historię puczów Kappa i Hitlera, że właśnie ci „nieodzowni” kapitaliści niemieccy skorzystają z pierwszej nadarzającej się okazji, aby — jawnie czy potajemnie — zorganizować swoje wpływy na odcinku gospodarczym w konkretną formę polityczną.

Nie inaczej postępował kiedyś Stinnes, Krupp czy Schroeder lub Hugenberg. Dzięki ich finansom mógł powstać *Stahlhelm*, różne *Freikorpsy*, a wreszcie brunatne koszule.

A jednak stare błędy znów się powtarzają!

Praca byłych magnatów i rekinów przemysłowych wydaje już owoce. Raz po raz dochodzą do nas wieści, że tu i tam, na terenie Niemiec, powstają nowe i wciąż nowe partie o „nieskrytalizowanych” jeszcze celach politycznych, ale o wyraźnej fizjonomii ideowej. Dowiadujemy się, że partie te wydają własne gazety, a przywódcy tych efemeryd politycznych znajdują na wszystko środki materialne. Czytamy światoburcze deklaracje, podlane brunatnym sosem, dochodzą do nas głosy dyskusji, na których stale padają takie słowa, jak: „niesprawiedliwy pokój”;

„Niemcy wiedzą, gdzie ich miejsce w nowej wojnie”. „Polacy nam jeszcze zapłacą”; „socjalizm — to wymysł szatana”; itp. Złote słówka wszechniemieckich szowinistów pokroju Trevira-nusa...

Przyzwyczailiśmy się już do „domowych” niejako sporów czterech głównych partii niemieckich: CDU, SPD, SED, LDP. Wiemy, że na zachodzie istnieje dość silna KPD. Ale gdy przeglądamy prowincjonalną prasę Hesji, Nadrenii, Westfalii czy Zagłębia Ruhry, uderza nas natychmiast intensywność życia politycznego tych na pozór małych organizacji partyjnych. Ruchliwość zaś owych drobnoustrojów politycznych przypomina niszczącą siłę złośliwych bakterii, które dopóty toczą organizm, póki go nie zniszczą.

Nie chodzi tu bynajmniej o jakieś efemerydy polityczne, których zwykle nie brak w czasach chaosu organizacyjnego. Te wszystkie nowotwory polityczne wykazują od razu zadziwiającą prężność i wyraźne skłonności nie tylko do stabilizacji, ale i do przewodnictwa. Gdy się czyta wypowiedzi owych licznych „mężów stanu”, ich deklaracje ideowe i poglądy socjalne, wie się od razu, co w trawie piszczy. Orientujemy się, czyją tubą są owi „zbawiciele narodu niemieckiego” i jakie są ich poglądy — mimo że często maskują się szyldem demokracji.

Ale to my wiemy, którzy do Niemiec przyszliznęli z nieufnością w sercu i z przestrogą w plecaku. Ale czy wiedzą o tym wszyscy Niemcy i czy chcą w ogóle wiedzieć! Jasne jest bowiem dla nas, że nie potrafili oni — jak dotąd — znaleźć wspólnego języka na bazie istotnej demokracji — natomiast znów chętnie ciągną ku prawicy. Każde dalsze posunięcie na prawo przyjmowane jest z ufnością niepomnych kłęski głupców, którym niebaczną polityka zachodnich sojuszników znów ukazała miraż po prusku pojmowanej swobody.

Szowiniści niemieccy oklaskują F. Blüchera, wodza tzw. *Freie Demokratische Partei*, który stale złorzeczy Polakom, który nienawidzi Czechów i który stale podjudza przeciwko Rosji. A przecież partia, którą reprezentuje, nazywa się szumnie „Wolna Partia Demokratyczna”! Ileż nadziei musi w kryptohitlerowcach wywoływać powstanie w Bawarii nowej partii p.n. *National-Demokratische Deutsche Arbeiter-Partei*, czyli NDDAP, zamiast NSDAP? Partia ta na pierwszym wiecu otwarcie wyznała, że walczyć będzie z komunizmem i socjalizmem. I prasa niemiecka podała tę wiadomość na czołowych miejscach, nie racząc nawet zająć odpowiedniego stanowiska. Albo ów Herr von Ostrau, który zorganizował w Goettingen swą *Demokratische Kaiserpartei*. Gdy dziennikarze zapytali go, jakim sposobem zdołał zwabić

na swój wiec tylu słuchaczy, pan von Ostrau odpowiedział dosłownie: „Panowie, powtórzę za Cezarem *veni, vidi, vici*—wszedłem na salę i powiedziałem: nienawidzę reformy rolnej, zwalczam marksizm, jestem wrogiem denazifikacji i jestem za monarchią. Wszyscy plakali z radości. Tłum demonstrował później na ulicy. Wprawdzie kilku robotników protestowało, ale moi studenci przekonali ich, że nie mają racji. Całkiem zresztą demokratycznie, gdyż byliśmy w większości. A jednak demokracja to jest pożyteczna rzecz...”

Podobnie jak dawniej wszystko rozpoczynało się od nazional, tak dzisiaj namiastką źle skrywanych nadziei reakcyjnych jest tyle już razy w dziejach świata nadużywane słowo „demokracja”. Niemcy bowiem uważają za swój obowiązek być „demokratami”, bo tak wypada wobec aliantów, wobec wrogów i wobec własnego narodu. Uważają demokrację za coś, co pozwala im zrećnie maskować właściwe zamiary.

Obecnie znów w sektorze amerykańskim Berlina powstało nowe ugrupowanie polityczne. I znów z nieodłązną „demokracją”. Tym razem chodzi o nowotwór p.n. *Freikonservativ-Demokratische Reichspartei*. Czegóż w tej nazwie nie ma! „Reich” i „konserwa” i „demokracja” — polityczny bigos *à la Prusse!* Kucharzem tego bigosu jest niejaki dr Paul Leutwein, syn byłego gubernatora niemieckich kolonii w Afryce, jego zaś pomocnikiem — Paul Ritter, przywódca *Stahlhelmu* na Berlin-Mitte. Założyciele nie omyśleli oczywiście natychmiast zwrócić się do żyjącego jeszcze wodza *Stahlhelmu*, pułkownika Theodora Düstemberga, prosząc go, aby wstąpił do ich partii, która walczyć będzie pod czarno-biało-czerwonym sztandarem. Dziennik berliński *Tägliche Rundschau* cytuje treść listu Paula Ritтера do Düstemberga, z którego wynika, że nowa ta partia jest niczym innym, jak wskrzeszeniem ducha dawnych Wszechniemców spod znaku Hindenburga i Seldtego.

Oczywiście, że cytowane wyżej przykłady nie są czymś wyjątkowym na firmamencie politycznym Niemiec. Można by takich wypadków cytować do woli, wybierając niejedną rodzynekę z tego ciasta, ugniatanego brunatnymi łapami podżegaczy wojennych. Chcieliśmy tutaj tylko wskazać na niebezpieczeństwo, które coraz wyraźniej daje znać o sobie, a które zawdzięczamy fatalnej polityce zachodnich aliantów na ziemi niemieckiej.

Tolerowanie bowiem koncernów i trustów niemieckich oraz sabotowanie uchwalonych już nawet tu i ówdzie ustaw dekartelizacyjnych lub bojkotowanie socjalizacji kluczowego przemysłu — jest jeszcze jedną szansą reakcji niemieckiej.

5. *TREVIRANUS REDIVIVUS!*

Konferencja moskiewska wywołała w prasie niemieckiej ukazującej się na terenach zachodnich lub będącej pod wpływami reakcji niemieckiej istny szal publicystyczny. Ze szczególną zjadłością prasa ta atakuje Polskę i sprawę naszych granic nad Odrą i Nysą.

Podczas gdy inne odłamy polityczne na razie milczą albo — jak np. organy SED — zachowują w swych wystąpieniach ton bardziej pojednawczy, przestrzegając przed wykorzystywaniem panujących w Niemczech nastrojów szowinistycznych, dzienniki ukazujące się pod egidą stronnictw Schumachera i Kaisera nie krępują się bynajmniej.

Wiedząc jak słaba byłaby ich szansa w razie porozumienia się aliantów na konferencji w Moskwie, politycy ci idą na „calego”, nie dbając już ani o styl wypowiedzi, ani o formę.

W Berlinie *Der Kurier*, którego redaktor naczelny został przez prasę polską zdekonspirowany, jako publicysta hitlerowski, nie opuszcza żadnej okazji, aby wtrącić do spraw polskich swoje trzy grosze, a dzielnie mu na tym terenie sekunduje szumacherowski *Der Sozialdemokrat*.

Ledwie uspokoiła się kampania przeciwko Polsce w związku z nieszczęśliwymi wypadkami zamrażnięcia repatriantów niemieckich w transportach z Polski, a już cała prawie prasa ruszyła ławą przeciwko oświadczeniu ministra Modzelewskiego, że „nie ma żadnej możliwości współpracy z drem Schumacherem, którego program żąda rewizji polskich granic zachodnich. Taka polityka musi pewnego dnia doprowadzić do nowej agresji”.

W ten sposób — pisze *Der Kurier* — już padło ze strony niemieckiej słowo „rewizja”, zaś ze strony polskiej słowo „agresja”...

Kampanię prasową zainicjowało oświadczenie Schumachera w Berlinie, który powiedział, że „nie możemy uznać polityki faktów dokonanych — zarówno na zachodzie jak i na wschodzie. Terytorialne przypadkowości nie są dla nas miarodajne. Chcemy faktów, nie wymagających żadnej dalszej rewizji”. Za tym oświadczeniem popłynęła natychmiast cała fala nienawiści przez prasę zachodnich Niemiec.

Bardzo ciekawe wynurzenia znajdujemy w artykule wstępnym ukazującym się w Augsburgu *Schwäbische Landeszeitung* — gdzie autor wyraża smutek z powodu decyzji polskiej pozostania na Odrze.

W Warszawie wiedzą, że ostateczna walka o polskie granice zachodnie będzie ostra, dlatego też czynione są do tego wszelkie możliwe przygotowania. Wykorzystuje się nawet materiały historyczne, aby udowodnić, że mamy tu do czynienia z „prastarą ziemią polską”. Nie można zaprzeczyć, że aktywność polska, szczególnie na Śląsku, jest nadzwyczaj wielka. W niektórych kopalniach okręgu walbrzyskiego produkcja węgla miała przekroczyć nawet stan przedwojenny..

— pisze dalej z przekazem dziennik augsburski.

W związku z orędiem noworocznym przewodniczącego CDU w strefie brytyjskiej, Adenauera, który oświadczył, że żaden polityk chrześcijańsko - demokratyczny nie podpisze traktatu pokojowego, uznającego linię Odry i Nysy, *Der Kurier* donosi z Düsseldorfu, że kierownik konferencji partyjnych prelegentów Wolnej Partii Demokratycznej (FDP), Maier - Boden, oświadczył:

„iż nigdy nie myślano nawet o tym, aby położyć podpis pod traktat pokojowy, zawierający postanowienia o linii granicznej na Odrze i Nysie. Byłoby bardzo pożądane, aby takie stanowisko stało się oczywiście dla każdej partii niemieckiej.

Jeszcze dalej poszedł wpływowy dziennik CDU w Kilonii *Kieler Nachrichten*, który niedawno zamieścił dłuższy wywód prawniczy prof. Herberta Kruegera. Autor artykułu napada na fakt przyłączenia Ziemi Odzyskanych do Polski i broni tezy, że „Polska nie posiada podstaw prawnych do aneksji”. Uważa on, że Niemcy przywiązują wagę do tych ziem nie tylko powodowani względami materialnymi, ale przede wszystkim — prawem i sprawiedliwością. W rzeczywistości nie ma żadnego prawa, które by pozwalało rościć pretensje do tych ziem jakimkolwiek innemu narodowi prócz niemieckiego. Polacy rozumieją widocznie całkowicie bezprawność swoich zdobyczy, inaczej nie usiłowałiby tak pośpiesznie (w oryginale „kurczowo”) stwarzać faktów dokonanych. Zresztą na ziemiach tych nie mieszkali nigdy Polacy, tylko inne drobne szczepy zachodnio-słowiańskie i jeżeli Polacy wysuwają dziś pretensje do tych tworów przeszłości, to nie można przewidzieć, czy nie zechcą oni uczynić jutro tego samego wobec innych szczepów zachodnio-słowiańskich, np. wobec Czechów lub Słowaków...

Załatwiwszy się ze stroną „prawną” krzywdy niemieckiej, prof. Krueger pisze dalej słowami pełnymi patosu:

może wypadki, rozgrywające się nad Odrą są dla niejednego mieszkańca Bawarii, Hesji lub Nadrenii tak dalekie, jak gdyby toczyły się co najmniej w Turcji. Ale z czasem staną się one wszystkim nam coraz bliższe, kiedy po zniknięciu najelementarniejszych trosk w narodzie

niemieckim powstanie, świadomość bólu, że Kant wykladał w „Kalinigradzie“ (dawny Królewiec) i jakiego podziękowania doznał Herder od narodów słowiańskich...

Byłoby rzeczą niesprawiedliwą, gdybyśmy wszystkie wychodzące na terenie Niemiec pisma zaliczyli w poczet pism antypolskich. Oczywiście większość prasy niemieckiej, podobnie jak i większość polityków i narodu niemieckiego, jest antypolska i daje temu przy każdej sposobności wyraz. Z zadowoleniem przyjmujemy każdy głos niemiecki, który piętnuje w sposób wyraźny kampanię antypolską, jako działalność przynoszącą szkodę narodowi niemieckiemu. Ale przyznać trzeba, że i ci odważni ludzie napotykają na opór, przekraczający ich możliwości. I tak np. znajdujemy w dzienniku CDU w Bielefeld *Westfalen-Zeitung* — następującą polemikę z oświadczeniem członka rady miejskiej w Halle, Schmidta, według którego naród niemiecki winien być zadowolony, że Polska poprzestaje na granicach na Odrze i Nysie:

Pozbawione całkowitej znajomości tematu oświadczenie pana Schmidta będzie wodą na młyn polskich aneksjonistów, którzy zgłosili nawet pretensje do terenów połabskich, między Łabą i Saalą... Jeśli się już znalazł Niemiec, który popiera pretensje Polaków do linii Odry, wówczas należy słusznie obawiać się, iż podczas nadchodzących rozmów w sprawie granic wschodnich, podobne świadectwo mieszkańca Halle może nabrać dla Niemiec fatalnego znaczenia. Ludzie wypędzeni z niemieckiego wschodu winni sobie te słowa przedstawiciela komunistów w Halle dobrze zapamiętać. W przeciwieństwie do tych słów, które stanowią właściwie zdradę interesów niemieckich, znajduje się oświadczenie dra Adenauera w sprawie granic, który jak zwykle zajął jasne i śmiałe stanowisko, oświadczając, że „żaden polityk chrześcijańsko-demokratyczny nie podpisze traktatu pokojowego, uznającego linię Odry - Nysy.

Starą piosenkę powtarza dziennik *Centrum Neuer Westfälischer Kurier*, w którym znajdujemy statystyczne dane, usiłujące przedstawić konieczność powrotu terenów na wschód od Odry do Niemiec. Autor sądzi, że Polska nie jest w stanie znaleźć wystarczającej ilości fachowców dla utrzymania wysokiego poziomu przemysłu, jak również wątpi, aby Polska potrafiła utrzymać na należytych poziomach gospodarkę rolną na ziemiach zaodrzańskich.

Przewodniczący Partii Liberalno - Demokratycznej, dr Wilhelm Kuelz oświadczył dziennikowi *Der Abend* w Berlinie, że wierzy iż „zwycięzcy przyznają Niemcom część obszarów, znajdujących się obecnie pod administracją polską. Wizyta Komisji Sojuszniczej dałaby całemu światu dowody, że Polacy nie są

w stanie wystarczająco zaludnić te zdewastowane ziemie. Wojna wykrwawiła — powiada cynicznie dr Kuelz — Polskę tak dalece, że nie posiada ona po prostu wystarczającej ilości ludzi, aby móc administrować tak rozległymi terenami.

Reakcja niemiecka rozpoczęła ofensywę na całym froncie i nie uważalibyśmy tego ich kroku za specjalny ewenement polityczny, gdyby wszystkie te, jakże często kłamliwe i jednostronne naświetlenia prasowe nie cieszyły się specjalną opieką niektórych władz alianckich. Przemykają one już zbyt wyraźnie oczy na wybryki swych pupilów. A że tak jest i że w ocenie zjawisk niemieckiego życia politycznego nie jesteśmy bynajmniej ani jednostronni, ani zaślepieni, najlepiej świadczą głosy tej prasy niemieckiej, która docenia znaczenie winy Niemiec w tej wojnie, a z drugiej strony pragnie porozumienia z innymi narodami bez wygrywania szowinistycznych nastrojów społeczeństwa niemieckiego.

Do takich głosów należy zaliczyć artykuł wstępny *Berliner Zeitung*, który nie od dziś zajmuje pozytywne stanowisko wobec nowej Polski. Dziennik ten stwierdza na wstępie, że wszyscy niemieccy demokraci życzą sobie co prawda, aby obecne ukształtowanie granic na wschodzie było ostateczne, ale nie wszyscy Niemcy, którzy wyrażają to życzenie, są demokratami. Pismo stwierdza dalej, że należy rozróżnić dążenia wypływające z chęci zabezpieczenia Niemcom warunków do egzystencji, od uzyskania rewizji granic dla celów imperialistycznych. A potem dziennik pisze nie bez racji:

Ośrodki kampanii antypolskiej nie znajdują się w Niemczech, zas Niemcy biorący udział w tej kampanii są tylko figurkami na szachownicy innych sił, dla których zrealizowane w Polsce reformy społeczno-ekonomiczne są cierniem w oku.

Podobnie rozsądne słowa znaleźliśmy w ubiegłym tygodniu jeszcze w kilku innych dziennikach, jak *Volksstimme* w Kolonii i *Freie Presse* w Giessen. Są one jedyną dla nas nadzieją, że przecież nie wszyscy Niemcy stracili zdrowy rozsądek i może kiedyś potrafią powstrzymać swych rodaków, którzy już znajdują się na równi pochyłej.

6. WILKI W OWCZEJ SKÓRZE

Memorandum polskie w sprawie Niemiec przedstawione na konferencji londyńskiej przez ambasadora Wierbłowskiego stało się osiłą ponownej antypolskiej kampanii w Niemczech.

Obok merytorycznej strony pierwszego wystąpienia Polski w sprawie przyszłości Niemiec, praca lewicowa podkreślała również i wagę moralnego znaczenia tego memorandum, które w kołach tutejszych dziennikarzy i polityków uchodzi za doskonale przemyślany i dokładnie sprecyzowany krok polityczny odra- dzającej się dyplomacji polskiej.

W powodzi artykułów, które w miejscowej prasie pojawiły się na marginesie wystąpienia polskiego w Londynie, na szczególną uwagę zasługuje zarówno treść jak i ton prasy niemieckiej ukazującej się w strefie francuskiej. Szczególnie żywo „interesowała się” ona żadaniami polskimi, wysuniętymi we wspomnianym memorandum. Nie jest to zresztą jakieś specjalnie odosobnione stanowisko tej prasy w sprawie polskiej. Już od dłuższego czasu rejestrujemy dowody wyraźnej niechęci tego odłamu prasy niemieckiej, który pozostaje pod kontrolą władz w Baden-Baden. Widocznie komuś tam specjalnie zależy na jątrzeniu spraw niemiecko-polskich, nie tyle chyba z pobudek patriotycznych, ile z motywów, które w języku Goethego określane bywają jako *Schadenfreude*.

Cenzorzy francuscy — większość z nich, jak wiadomo, rekrutuje się spośród skompromitowanych zwolenników rządu Vichy, którym w Paryżu grunt już zbyt mocno przypiekał stopy, woleli więc zrezygnować z kariery na rzecz majątków w nadreńskich Eldorado — z zazdrością spoglądają na przemysł śląski, snując w skrytości ducha marzenia, jakby to pięknie było, gdyby tak partycypować w tych bogactwach. Czyż nie prasa francuska — mówiąc o umiędzynarodowieniu Zagłębia Ruhry — wysunęła niedawno postulat dopuszczenia kontroli międzynarodowej na terenach polskich? Widząc jednak całą beznadziejność swoich snów politycznych, życzliwi Niemcom francuscy urzędnicy okupacyjni inspirują przynajmniej podległą jej prasę niemiecką do złośliwych uwag...

Tym też chyba można wytłumaczyć fakt, że najbardziej antypolsko nastawiony jest właśnie berliński *Der Kurier*, ukazujący się z licencji francuskiej, pod redakcją osławionego już Paula Bourdin, dawnego współpracownika propagandy Goebbelsa.

Organ CSU we Fryburgu (strefa francuska) *Südwestdeutsche Volkszeitung* wystąpił dla odmiany z artykułem pt. „Gospodarka niemiecka i linia Odry — Nysy”. Warto przypomnieć, że to właśnie pisemko wystąpiło niedawno z relacją o zjeździe kościelnym w Uelzen koło Hanoweru, w którym wzięło udział 4 tysiące wygnańców z „tymczasowo przez Polskę administrowanych obszarów” oraz pastory z Poznania, Prus Wschodnich i Galicji, którzy wnosili modły o „powrót do Rzeszy odłączonych prowincji”.

cji", nie szczędząc znów złośliwości Polsce. Otóż teraz ten ukazujący się z błogosławieństwa francuskiego dziennik wywodzi, iż zdaniem państw anglosaskich niemieckie ziemie wschodnie zostały oddane Polsce tylko „pod tymczasową administrację”, a jedynie rząd polski, opierając się na oświadczeniach ZSRR, traktuje sprawę tę jako przesądzoną, stwarzając poprzez wysiedlenie ludności, konfiskowanie przedsiębiorstw gospodarki rolnej i przemysłowej oraz przez zaludnienie tych terenów przez chłopów polskich fakty dokonane, z którymi — jak wierzą Polacy — pogodzi się i konferencja w Moskwie. Pismo zaznacza, że rozwiązanie sprawy przyszłych granic niemieckich na wschodzie jest rzeczą zasadniczą, gdyż ziemie te, zamieszkiwane dawniej przez 10 milionów Niemców, dostarczały od 20 do 30 procent ogólnej produkcji rolniczej Niemiec. Przemysł śląski w dziedzinie produkcji węgla, żelaza i stali znajdował się na drugim miejscu po Ruhrze, jeśli chodzi zaś o cynk — zajmował pierwsze miejsce w Europie.

Następnie wychodzi sztych z worka, *Südwestdeutsche Zeitung* bowiem pisze, że pozostawienie niemieckich terenów Polsce przyczyniłoby się do ogromnego rozkwitu gospodarczego Polaków:

Cyfry polskie o osiągniętych dotychczas rezultatach w dziedzinie osiedlania repatriantów jako też gospodarczej odbudowy niemieckich ziem wschodnich są często przyjmowane w prasie światowej z widoczną rezerwą. Wedle prasy tej Polacy nie są w stanie pokonać olbrzymich trudności przy zaludnianiu wielkich terenów ani też zapewnić intensywnę gospodarki rolnej. Według źródeł polskich miano tam osiedlić 4—5 milionów ludzi, co odpowiadałoby połowie dawnej ludności niemieckiej. Rozległe tereny na wschód od Odry i Nysy dotąd leżą odłogiem, grożąc ustępowieniem, podczas gdy na zachód od Odry, zmniejszone o 20% swego terytorium Niemcy, które ponadto przyjęły 12 milionów uchodźców ze wschodu, muszą wyżywić tyleż ludności co w roku 1936 (tj. 66 milionów).

Miedzy wierszami tego artykułu wyczuwa się obawę, że w przyszłości Polska jednak tereny te zagospodaruje i stanie się potężnym sąsiadem osłabionych Niemiec. Nie inaczej sądzi też berliński *Der Kurier* w swej gospodarczej ocenie zachodzących na wschodzie przemian. Dziennik ten wylicza szczegółowo przemysłową strukturę „odłączonego wschodu”, opierając się na cyfrach z roku 1933, zastrzegając się jednakże, że liczby te nie oddają wiernie obrazu sytuacji, gdyż właśnie po dojściu Hitlera do władzy, przemysłowa wartość odłączonych obecnie ziem wschodnich wielokrotnie się powiększyła.

Należy pamiętać, że właśnie podczas wojny, ze względu na bombardowanie zachodnich Niemiec, przeniesiono wiele gałęzi przemysłu,

jak np. chemiczny, maszynowy, elektrotechniczny, cementowy i precyzyjny z Niemiec zachodnich na wschód, tak że przy końcu wojny za Odrą znajdowało się 10 procent całego przemysłu niemieckiego

— pisze *Der Kurier*.

W sukurs biadoleniom *Der Kuriera* przychodzi organ Centrum w strefie brytyjskiej, *Die Rhein-Ruhr-Zeitung* z Essen, który, zajmując się również sprawą memorandum polskiego, wychodzi z założenia, że źródłem nieszczęść narodu niemieckiego jest fakt, że Niemcy po bezwarunkowej kapitulacji zdane zostały „na łaskę i niełaskę zwycięzców”. Omawiając dalej sprawę roszczeń polskich, dziennik ten sądzi, że Polsce zależy na tym, aby gospodarcza odbudowa Niemiec nastąpiła dopiero po odbudowie tych krajów, które zniszczył oręż hitlerowski. Polska — zdaniem tego pisma — nie chce dopuścić do tego, aby gospodarka niemiecka przewyższyła gospodarkę państw sąsiednich. *Rhein-Ruhr-Zeitung* pisze więc:

to żądanie Polski, usiłujące z Niemców uczynić naród drugiej kategorii, nie ma nic wspólnego ze słusznymi żądaniami pokojowymi. Jest ono sprzeczne z poglądami czterech mocarstw i spowodowałoby tylko powstrzymanie i utrudnienie realizacji planów „wielkiej czwórki”, jeśli nie całkowite przekreślenie ich zamierzeń. Nie leży w interesie Europy, aby 66-milionowy naród, serce Europy, miał być z powodu zazdrości konkurencyjnej zdegradowany do rangi „wiecznego heloty”, nawet wówczas, jeśli naród ten skapitulował bezwarunkowo.

Niemcom możemy na to odpowiedzieć krótko:

— Nie przychodzimy do was z nienawiścią, jakbyście na to zasługiwali, ale ze słusznymi żądaniami. Utrata — jak sami powiadacie — 10% waszego przemysłu jest tylko zadośćuczynieniem za krzywdy, jakie naród polski i kraj nasz zaznał od waszych okrucieństw i zniszczeń. Waszej gospodarki nie rujnujemy tak, jak wy byście uczynili z naszą, gdyby Hitler wygrał wojnę. 66 milionów ludzi wyżywicie z łatwością, jeśli przeprowadzicie konsekwentnie reformę rolną — o co walczą wasi demokraci w wschodniej strefie, a co wy sabotujecie ze wszelkich sił w zachodniej — jeśli zdobędziecie się na produkcję i eksport towarów „pokojowych” w olbrzymich centralach przemysłowych Nadrenii, w Ruhrze i Saarze, jeśli przemysł swój i jego kluczowe pozycje odbierzecie dawnym podlegaczom i zbrodniarzom wojennym, przekazując wreszcie na własność narodowi, jeśli w końcu oczyścicie atmosferę niemiecką z trujących oparów hitleryzmu i marzeń o rewanzu.

Wtedy i wasi sąsiedzi i w ich liczbie Polska, chętnie będą współpracować z Niemcami. Nie jesteśmy bowiem hitlerowcami, aby żyć w nienawiści dla nienawiści.

7. ORĘDOWNICY ZŁEJ SPRAWY

Żaden chyba naród w Europie zdewastowanej przez Hitlera nie cieszy się taką sympatią rozmaitych reformatorów i zbawców świata, co Niemcy. Od przeróżnych biskupów do pań miłosiernych, odwiedzają Niemcy raz po raz dobrodziejów „prześladowanego” narodu. Oczywiście, że Niemcy, którzy wiedzą, gdzie szukać opieki i jak na nią zasłużyć, za każdym przyjazdem jednego ze swych patronów starają się wykorzystać naiwność tych ludzi aż do granic przesady. Tak było, gdy w Niemczech gościł angielski maniak, Żyd z pochodzenia, wydawca londyński, Victor Gollancz, twórca bractwa pn. „Save Germany now” (Ratuj Niemcy teraz!), którego najbardziej zaciekle reakcyjniści bawarscy gotowi byli uznać za germańskiego świętego; tak było, gdy do Niemiec zawitał Byrnes i pani Roosevelt; tak było, gdy zachwycał się mądrością narodu niemieckiego biskup Griffith. Ostatnio Niemcy przypuścili szturm na lorda Williama Beveridge’a oraz na Herberta Hoovera.

„Nie tylko demontaże maszyn i fabryk muszą wreszcie znaleźć swój koniec, ale i demontaż ludzi, tj. denazifikacja musi ustać. Nie chcemy teraz mówić o winie i karze, ale pragniemy pomóc w odbudowie Niemiec”. Tak powiedział niedawno przedstawicielowi tygodnika *Die Welt* lord Beveridge. A my możemy mu odpowiedzieć słowami raportu komisji lorda Vansittarta: „Niemcy pełne są nazistów. Ich wpływ stale rośnie. Mają kluczowe pozycje w swych rękach i usiłują inne pozyskać. Europa musi czuwać!”.

Beveridge, który odbył konferencję z prawie wszystkimi działaczami w Niemczech, oświadczył korespondentowi pisma *Der Abend* w Berlinie:

„Nie zauważyłem na ulicach waszego miasta ludzi przygnębionych. Pomijając tych, którzy nie mają pracy, jest godne podziwu, z jaką radością berlińczycy spełniają swe zajęcia”.

Raport zaś Komisji do zagadnień europejskich powiada:

Organizacje tajne działają w trzech kierunkach: 1) sabotują w przemyśle, utrudniając wykonywanie produkcji, 2) w okręgach rolniczych wpływają na chłopów, aby opóźniali względnie nawet odmawiali dostaw, 3) puszczają w obieg wiadomości, że władze okupacyjne całą żywność zabierają na swoje potrzeby lub na eksport.

Za daleko nieco posunął się angielski socjolog w swojej gotowości do przekreślenia całej przeszłości niemieckiej i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. A niebezpieczeństwo podobnych wypowiedzi, które coraz częściej spotykamy u różnych wpływowych

osób ze świata anglosaskiego, staje się tym większe, gdy otrzymujemy raporty w rodzaju właśnie badań komisji Vansittarta i Herriota.

Jeśli wpływowy człowiek, jakim jest niewątpliwie lord Beveridge — który zresztą nie kryje się bynajmniej ze swymi sympatiami do narodu niemieckiego, jak niedawno powiedział, „w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości” — zajmuje wymienione wyżej stanowisko wobec denazifikacji, cóż może o tym sądzić przeciętny Niemiec lub tzw. szary Pg? Po prostu zaczyna wierzyć, że lada dzień i te drobne kłopoty, jakie teraz ma jeszcze ze swoją rehabilitacją, nareszcie znikną i „wszystko będzie dobrze”. Jeśli jawni i zakonspirowani dotąd sprytnie hitlerowcy otrzymują pomoc od osób tak miarodajnych, jak lord Beveridge, szanownego członka Izby Parów, trudno im się dziwić, że zaczynają nawet spiskować. Powiada stare przysłowie niemieckie: „Apetyt rośnie w miarę jedzenia”.

Nie inaczej jest w polityce.

Proces von Papena wykazał jasno do czego prowadzi pozbliżliwość. Jest ona najlepszą formą pomocy dla wstecznych elementów. Niemcy stoczyły się w przepaść i chciały utopić świat cały w morzu krwi, choć zdecydowane stanowisko ludzi pokroju Beveridge'a we właściwym momencie mogłoby zapobiec katastrofie, jaką wywołał kataklizm hitlerowski owej ponurej nocy 30 stycznia 1933.

„Narodowy socjalizm jest ostatecznie sprawą Niemiec” — pocieszali się wtedy oszukani politycy europejscy — „wtrącanie się do wewnętrznych spraw niemieckich jest przeciwne demokracji” — wołali inni, sami chyba nie wierząc w to, co głosili. Historia lat następnych wykazała, ile ofiar kosztowała ludzkość podobna interpretacja słowa „demokracja”. Krótkowzroczność orędowników złej sprawy skierowała się później przeciwko ich własnym narodom, przez swoje kunktatorstwo stali się katami własnych braci.

Dziś, gdy wszyscy wiemy, jak małe postępy robi w Niemczech demilitaryzacja i denazifikacja, dwa słowa tak trudne do wymówienia i jakże trudne do realizacji, gdy słyszymy zewsząd o objawach niepokojącej ruchliwości reakcji niemieckiej, gdy słyszymy wybuchy bomb w miastach niemieckich, gdy wreszcie widzimy jak kluczowe pozycje wojennego przemysłu niemieckiego powracają znów do rąk swych „prawych” właścicieli, jakimż smutkiem i troską napelniają nas słowa wypowiedziane publicznie przez błędnych rycerzy w rodzaju Beveridge'a, którzy zamiast nam pomóc w reedukacji Niemców i przystosowaniu

ich do życia kulturalnych narodów, powagą swego imienia — bezwiednie często — przyczyniają się tylko do podtrzymania Niemców w zacięłym oporze przeciwko wszystkiemu co wolne i sprawiedliwe. Kazaniami nie nauczymy Niemców demokracji.

Karą i skruczą, choćby i kosztem pewnych ofiar, ciężką pracą dla wyrównania strat, jakie wyrządzili nam wszystkim Niemcy, rzetelnym wysiłkiem, a nie pustymi frazesami o ekspiacji, której nawet śladów nie widać, mogą Niemcy dowieść, że godni są przyjęcia do wielkiej rodziny miłujących pokój narodów. Nie szukamy zemsty, nie palamy nienawiścią, ale chcemy widzieć po drugiej stronie Odry i Renu dowody zrozumienia ideałów, za które walczyły narody z najazdem Hitlera.

8. PARADOKS NASZYCH CZASÓW

Kiedy przed miesiącem na konferencji prasowej z generałem Clayem, gubernatorem wojskowym strefy amerykańskiej, jeden z kolegów zapytał go, co sądzi o raporcie „Międzynarodowego komitetu dla badań zagadnień europejskich” w sprawie Niemiec, generał odpowiedział: „Nie jest wcale tak źle, więcej przesady niż konkretnych faktów...” W parę tygodni później, na drugiej konferencji z Clayem w sprawie denazifikacji, generał oświadczył dosłownie: „Uważam, że denazifikacja została najlepiej przeprowadzona w strefie amerykańskiej”.

Podczas gdy alianci spierają się między sobą, kto lepiej i w jaki sposób oczyszcza Niemcy z brunatnego osadu, hitlerowcy powoli, ale konsekwentnie realizują testament Hitlera i zarządzenia Bormanna. Przypomnijmy, że w ciągu ostatniego tylko roku, poza zamachami bombowymi oraz innymi aktami sabotażu na terenie całych Niemiec, wykryto już dwie dobrze zorganizowane organizacje. Pierwsza, na której czele stał Axmann, wódz młodzieży hitlerowskiej, miała charakter „normalnej” roboty podziemnej, długofazowej i długofalowej, druga — którą właśnie teraz odkryto — miała charakter czysto wojskowy, na której czele stali generałowie oraz wyżsi dowódcy SS, poszukiwani zresztą przez aliantów za zbrodnie wojenne. Trudno oczywiście mówić jest o denazifikacji, jeśli setki oficerów niemieckich porusza się zupełnie swobodnie po zachodnich Niemczech i myślą o wojnie bakteriologicznej, którą prowadzić będą przyszłe Niemcy. Jeśli wyższy oficer SS mógł być majordomusem generalskiego kasyna we Frankfurcie (chodzi tu o Wenera Roepke) i donosić o wszystkim swej organizacji, trudno oczywiście podzielać

optymizm generała Claya o sprawności denazyfikacji u Amerykanów...

Odkryty w parę tygodni po raporcie Komisji lorda Vansittarta spiszek wojskowy wykazuje do jakich paradoksów doprowadza niezgodność poglądów na sprawę denazyfikacji wśród aliantów. Odnosi się wrażenie, że niektórzy generałowie anglosascy są bardzo niezadowoleni, jeśli ktoś postronny — tym razem Komisja Vansittarta — wtrąca się w „nie swoje interesy”. Mało tego! Zaprzeczają, fałszując obraz rzeczywistości niemieckiej, który wszyscy w Europie powinniśmy znać!

Cóż bowiem powiedział Vansittart?

Oświadczył, że na podstawie szczegółowych badań stwierdza się silne natężenie tajnego ruchu hitlerowskiego w Niemczech. I cóż się dzieje w parę tygodni potem? Anglosasi, którzy zlekceważyli raport Komisji, nagle wpadają na trop dobrze zorganizowanego spisku wojskowego, o którym sam londyński *Times* napisał, że „jest ostrzeżeniem dla władz okupacyjnych w Niemczech”.

Oczywiście Komisja Vansittarta miała rację. Wszyscy w Niemczech wiedzą, że tysiące zawiedzionych młodzieńców należą do tajnych organizacji, które posiadają tysiące sympatyków i oparcie w narodzie. Słusznie powiada Vansittart, że centra propagandy hitlerowskiej znajdują się i poza granicami Niemiec. Uratowane podczas wojny kapitały niemieckie — 250 milionów funtów w Południowej Ameryce, 75 milionów — w Szwecji i tyleż w Szwajcarii — są obecnie przeznaczone na wspomaganie akcji sabotażowej w Niemczech. Kraje, które — mówiąc otwarcie — sympatyzowały z Hitlerem podczas całej wojny — i dziś mają jeszcze odwagę stać się azylem dla podpalaczy świata. Ruch nielegalny wśród Niemców stale wzrasta. Wiemy, że są *Wehrwolfy*, ale to jeszcze nie wszystko. W Norymberdze działa organizacja *Acht und Acht*, w Hanowerze — „Szarotka” (*Edelweisspiraten* — tak siebie nazywają), w Nadrenii — tzw. *Höllenwegbande*, w Szlezwiku — *Irma-Grese-Geheimbund* (pamiętna z procesu w Dachau), w Lüneburgu *Rana (Radikal-nazi)*, w Rastacie — znów *Stecknadelkopf* itd. itd. Trudno zresztą przypuszczać, aby bomby w Stuttgarcie, Norymberdze, Esslingen, Backnang, Ansbach — spadły z nieba! Jeśli cytujemy te wypadki — to dlatego, aby udowodnić, że optymizm niektórych generałów, odpowiedzialnych za to co się dzieje w Niemczech, jest bardzo szkodliwy dla sprawy pokoju. Bo jeśli zwalnia się bez sądu tysiące partyjników z obozów, jeśli internowanym pozwala się prowadzić królewskie życie, jeśli komisje denazyfikacyjne robią wszystko, co jest w ich mocy, aby zrehabilitować każdego

petenta, czyż można się dziwić, że spiski są i będą trwały nadal. Nikt nie domaga się terroru wobec Niemców, ale trudno doprawdy obojętnie przypatrywać się polityce denazifikacyjnej, która kieruje się metodą „kozła ofiarnego”.

Tolerancję wobec tych spraw, wykorzystują oczywiście i politycy niemieccy. Reakcja opacznie rozumie niektóre posunięcia aliantów, sądząc, że „złe czasy, jakoś — dzięki Bogu — minęły, skoro można i mieszkanie zachować i fabrykę zatrzymać i trochę akcji Amerykanom czy Anglikom sprzedać”. Nie kto inny jak właśnie „nowy mesjasz niemiecki”, Kurt Schumacher, będąc w Londynie oświadczył apodyktycznie: „Ruch podziemny w Niemczech nie ma żadnego znaczenia”. A jego poplecznik Arno Scholz pisał w dwa miesiące później w *Telegrafie* na marginesie raportu Komisji Vansittarta: „doniesienia tej komisji są zwykłą przesadą. Absurdem jest po prostu mówić, że w Niemczech istnieją koła, które pragną wskrzeszenia idei hitlerowskiej”.

Rozumiemy sens takiej polityki. Rozumiemy, że politycy niemieccy muszą zdobywać sobie sympatyków oraz ich głosy. Trudno im się zresztą dziwić, gdy obserwują taniec, do jakiego aliantci ich zapraszają.

Ale doprawdy trudno zrozumieć ludzi z obozu aliantów, którym obojętne, że taniec ten mógłby stać się znów kiedyś „tańcem śmierci”.

9. PRZYPOMNIENIE NA CZASIE

Wskazywaliśmy już na tym miejscu na błędy, jakie Amerykanie i Anglicy popełniają w swej polityce okupacyjnej. Niejednokrotnie miałem też sposobność pisać o politycznym bezwładzie okupacji amerykańskiej, jak i o tym, że bardziej przewidujący politycy i publicyści amerykańscy raz po raz ostrzegali i nadal ostrzegają swoje społeczeństwa przed skutkami impasu, w jakim znalazła się polityczna myśl amerykańska — czy to z powodu niedoceniań niebezpieczeństwa niemieckiego, czy też po prostu z lekkomyślności lub braku doświadczenia kolonialnego.

Jasne jest, że Amerykanie nie traktują Niemców jako pokonanego wroga i to wroga ludzkości, ale po prostu jak pokonanego partnera sportowego. Wprawdzie wydawane przez zarząd wojskowy broszury i czasopisma pełne są sukcesów na polu demilitaryzacji i tzw. denazifikacji amerykańskiej strefy, ale my, którzy byliśmy w Niemczech przez ostatni rok, wiemy najlepiej, że to wszystko w praktyce sprowadza się do zera. Szopka i więcej nic!

Nie ulega dziś wątpliwości, że jeśli Niemcy finansowo może nie mają się najlepiej w tej strefie, to moralnie wykazują niewielej równowagi. Stąd też ciągle niepokoje wśród młodzieży, na uniwersytetach i na ulicach. Nie gdzie indziej jak właśnie w strefie amerykańskiej Niemcy wykazują, że znów potrafią być *frech*.

Wystarczy przejść po biurach i urzędach amerykańskich, gdzie z reguły cały niższy i techniczny personel jest niemiecki, aby przekonać się, jak daleko te sprawy poszły i jak ciężko dziś nawet Amerykanom wycofać się z tego interesu. Amerykanie tracą po prostu swój autorytet, a i fraternizacja, która przybrała nienormalne wprost rozmiary (czego dowodem są choćby ostatnie zarządzenia generała Claya), wyrządziła niemało szkód. Niemcy dziś już nie boją się Amerykanów, traktując ich raczej jako swych dobroczyńców i opiekunów. I to niektórym kwakrom nawet imponuje. Zbyt wiele krwi niemieckiej płynie w żyłach amerykańskich, zwłaszcza wśród personelu pracującego w Niemczech, aby ten i ów officer czy *civil servant* mógł przejść nad tym do porządku dziennego. Imponderabilia, jak zwykle, ważkie i decydujące. Nie ustawa bowiem rządzi życiem, ale ludzie, którzy mają ją wykonywać.

Nic więc dziwnego, że właśnie strefa amerykańska stała się po prostu Piemontem myśli politycznej Niemiec powojennych i tu dojrzewają i znajdują pożywkę najbardziej reakcyjne prądy wśród Niemców. I Amerykanie wszystkie te zachowawcze prądy, jeśli nie oficjalnie, to w każdym razie faktycznie — popierają.

Chwaląc się swoją demokracją, Amerykanie zbyt często zapominają, że naród niemiecki, w epoce Hitlera, nie dorósł jeszcze do demokracji i że niczego przecież nie dokonano na polu reedukacji, aby ludziom tym, którzy noszą na sobie dotąd piętno kainowej zbrodni (niektórzy dosłownie, w postaci tatuażu SS na przedramieniu) dać tyle swobód i czasu na rozpamiętywanie minionych dni „chwały”. Zapominają również, że obiektywizm, jaki starają się wykazać w stosunku do Niemców, czy to w Norymbdze, czy też na każdym innym odcinku swej polityki okupacyjnej, jest w konsekwencji bardziej szkodliwy niż jakiegokolwiek objawy lekkomyślności.

Rozumiemy, że nie można mordować ani wymorzyć głodem narodu niemieckiego. Nie jesteśmy Niemcami, aby tak sądzić. Ale w rok po wojnie, kiedy cała Europa jeszcze krwawi z ran wojennych, zadanych katowską ręką Niemiec, tolerować wybryki Niemców, ronić krokodylowe łzy nad niemieckimi dziećmi, patrzeć przez palce na awantury studenterii niemieckiej w Erlangen i gdzie indziej, urządzać zabawy dla hitlerowskich skau-

tów, żenić się z Niemkami, zbierać żywność dla nich, kiedy Francja i Polska głodują — czyż nie zbyt wiele przesady tkwi w tym wszystkim?!

Amerykanie starają się, jak powiadają przy każdej okazji, być sprawiedliwi i obiektywni w ocenie zjawisk powojennego życia Niemiec. Ale zapominają, a może i nie widzą, że ich szlachetne odruchy mijają się z celem, gdyż Niemcy, zamiast cenić i szanować miłosierdzie Amerykanów, poczytują je za zwykłą słabość, jeśli nie za kompleks niższości. Tak!

Nie chcę być gołosłownym. Przytoczę parę przykładów jako ilustracje do cytowanych wyżej myśli.

Amerykański obrońca w procesie w Malmedy, o wymordowanie w bestialski sposób lotników USA, którzy lądowali przymusowo na ziemi niemieckiej, pułkownik Everet, wezwał na świadka odwodowego amerykańskiego lotnika, ppłk. Hal Mc. Cowna w sprawie jednego z głównych zbrodniarzy, *SS-Standartenführera* Joachima Peipera. Świadek umyślnie przybył samolotem z Ameryki i rzeczywiście złożył odciażające Peipera zeznania. Miał to być pewien symboliczny dla sprawiedliwości amerykańskiej gest, że Amerykanie są obiektywni, nawet gdy chodzi o SS. Nie pomija się żadnej okoliczności, gdy chodzi o sprawiedliwość i prawo.

A teraz coś z innej beczki. Profesor historii na uniwersytecie w Chicago, Arnold Nash, przybył specjalnie do Hamburga, celem zwiedzenia Niemiec. Na pytanie dziennikarzy o celu swej podróży, Nash odpowiedział m. in. „Każdy uczony ma dwie ojczyzny, swą własną i — Niemcy”. Pięknie powiedziane i zgodne z zasadami polityki amerykańskiej.

Ale jaki teraz efekt, jeśli chodzi o mentalność przeciętnego Niemca?

Powiem wam, co sądzą czytając w swych gazetach o powyższych faktach.

Herr Mueller albo Frau Noske, podając kawę, mówi:

— Aha! Widzicie!!! Nawet SS-manom niczego udowodnić nie można. Teraz już nawet ci wielcy panowie przylatują z Ameryki, aby to przyznać!

Albo:

— No i co! Już nawet i ich naukowcy kręcą się po naszym przedpokoju. Cóż by zrobili bez nas, ci panowie? Jeszcze nie ma pokoju, a już rzędzą im miny!

I ten lub ów zaczyna pod nosem nucić refren *Horst-Wessel-Lied*.

Niemcy nie dorosli jeszcze do tego stanu, aby mogli zrozumieć wielkoduszność zwycięzców albo obiektywizm mądrych narodów.

Rozpoczyna się konferencja pokojowa. Poruszać się będzie i zagadnienia przyszłych losów Niemiec. Jeśli nasi przyjaciele anglosascy będą nadal krótkowzroczni lub lekkomyślni, przełana krew i cierpienia milionów ludzi pójdą tak na marne, jak na marne poszły łzy i ból ofiar pierwszej wojny.

KONIEC



SPIS RZECZY:

ZAMIAST WSTĘPU	5
I. NA PERYFERIACH NORYMBERGI	
1. Nadzieje i złudzenia.	9
2. Nadzieja pruskiego militaryzmu.	18
3. Mit 20 lipca.	22
II. PRAWEM MIMIKRY	
1. <i>Bereit sein — ist alles.</i>	26
2. Amazonki znad Sprewy.	29
3. Demontaż na Parnasie.	32
4. 8-8 i Niemcy.	38
III. FIASKO DENAZYFIKACJI	
1. <i>Kleiner Pg. — was nun?</i>	43
2. Wieczne zmartwienie.	46
3. Denazyfikacja, czyli <i>Pax Germanica</i>	50
4. <i>Maier contra Maier.</i>	57
5. Czystka w roku 2018.	63
IV. <i>AUF DEN STRASSEN DES SIEGES</i>	
1. Armia niemiecka jeszcze istnieje!	66
2. Dywizja 999.	69
3. Zaczęło się od Erlangen...	72
3. <i>Operation „Nursery“.</i>	76
V. AMERYKANIN W NIEMCZECH	
1. Berlin bez przekleństw.	79
2. Dlaczego powinniśmy okupować Niemcy?	82
3. Wyznanie rozsądnego Amerykanina.	83
4. Co sądzą o tym żołnierze?	88
5. John Dos Passos i Niemcy.	91
6. Niemki wolą Murzynów.	94
7. G I Joe.	97

VI. LAMPA DIOGENESA	
1. Rzeka przeznaczenia.	101
2. Saga rodu Stinnesów.	105
3. Grabarz republiki weimarskiej.	110
4. Proces, o którym mówiły całe Niemcy	113
5. <i>Kristallnacht</i>	118
6. O czym myślą dzieci niemieckie?	121
7. Brunatny Hamburg.	125
8. Kariera podżegacza wojennego nr 1.	128
9. Konrad Adenauer — puklerz reakcji niemieckiej.	132
10. <i>Heil Kobus!</i>	134

VII. PRZED OFENSYWĄ GOSPODARCZĄ	
1. Ku czemu dążą Niemcy.	138
2. Dolarowa polityka.	143
3. Za kulisami rozgrywek o Niemcy.	146
4. Gospodarka niemiecka na rozdrożu.	149
5. Piemont kapitalizmu niemieckiego.	152
6. <i>Siemens, Pferdmenges & Co.</i>	154
7. Manewry gospodarcze.	156
8. Groźne cienie niemieckiego przemysłu.	160

VIII. WALKA O NOWE NIEMCY	
1. Czy doprawdy niespodzianka?	164
2. Koniec Prus.	167
3. Desant Kurta Schumachera	171
4. Historia się powtarza.	173
5. <i>Treviranus redivivus</i>	176
6. Wilki w owczej skórze	179
7. Orędownicy złej sprawy.	183
8. Paradoks naszych czasów.	185
9. Przypomnienie na czasie.	187



10839

1